



15882/72

1822







Józef Skaliński

Tejże autorki wyszło drukiem:

Mieczysław I. książę polski — dramat wierszem w 5 aktach,
druk Buszczyńskiego w Toruniu.

Pieniądz, czy osoba? — komedia w 3 aktach prozą,
druk Buszczyńskiego w Toruniu.

Na naszej glebie — obrazek ludowy w 2 aktach ze śpiewami
i tańcami, uwieńczony pierwszą nagrodą na konkursie Toruń-
skim, muzyka Dembińskiego z Poznania. Druk i nakład
B. Milskiego w Gdańsku.

Kachna — obrazek ludowy w 3 aktach z piosneczkami, muzyka
Zaremby ze Środy, druk i nakład B. Milskiego w Gdańsku.

Na służbie — sztuka ludowa w 5 aktach z piosenkami i tańcami,
muzyka Zaremby ze Środy, druk i nakład W. Simona,
Poznań.

Kwiaty i kolce — obraz sceniczny w 5 aktach.
druk Tomaszewskiego w Poznaniu.

Pod błogosławieństwem matki — dramat.
druk i nakład B. Milskiego w Poznaniu.

Dwa żywioły — powieść współczesna w 3 częściach,
druk i nakład B. Milskiego w Poznaniu.

O chatę — powieść, w druku, nakład Miarki w Mikołowie.

Z mojej teki — poezye, w druku, nakład B. Milskiego w Poznaniu.

Stryj Agapit — komedia w 3 aktach, w druku, nakład P. Pa-
lędzkiej w Gdańsku.

Nabyć można w następujących księgarniach:

w Poznaniu: u pp. A. Cybulskiego, Leitgebera, Księgarni Polskiej.

w Toruniu: u Zabłockiego.

we Lwowie: w Księgarni Polskiej.

w Krakowie: u pp. Gebethnera i Ski

w Warszawie: u pp. Gebethnera i Wolffa.

Z Bardzkich Anna Karwat.

Józef Skaliński

Powieść w czternastu pieśniach,
osnuta na tle faktów historycznych i stosunków współ-
czesnych ze zaboru Pruskiego, z okresu 1871—1891.

Cichy, dobry pracownik równo zawsze czuje,
Ogrzewa jednym ciepłem najdroższe spuścizny,
Światło nieci w ciemnościach, radę ciągle snuje,
Gdy rozpacz tłumi wiarę i sączy trucizny.

(Z poematu niniejszego.)

Kraków MCMIV

Nakładem i czcionkami Drukarni Narodowej.

LP I 2g

372812
II

K. 72/15882
8. 12. 75



Mężowi swemu utwór niniejszy w darze składa

Autorka.

SPIS RZECZY:

Pieśń I. W komnacie dziadunia. (Wspomnienia z lat 1872 1873, 1874, 1875	1
Pieśń II. W Topolinie	24
Pieśń III. W Troce	42
Pieśń IV. Przy kominku (wspomnienia z r. 1848.) . . .	68
Pieśń V. Wielki post	85
Pieśń VI. Rok 1884 — Banicya	106
Pieśń VII. Szczere uczucia	128
Pieśń VIII. Zaloty i wesele	146
Pieśń IX. Bratnia pomoc	176
Pieśń X. Wieczór wigilijny	208
Pieśń XI. R. 1886. Kolonizacja	224
Pieśń XII. Cios	241
Pieśń XIII. Walka o byt i honor	258
Pieśń XIV. Przedświt	275

Pieśń I.

W komnacie dziadunia.

(Wspomnienia z lat 1871—75).

Szumiał wicher i jęczał po nad dachem dworu,
Staremi miotał lipy, konary podrywał,
Bijąc nimi po oknach, pędził wprost ku boru,
Naginał rosłe sosny i świsty wygrywał.
Razem z wichrem śnieżycą rozsypuje pióra
I bieli pola, sady, a w gwiazd swych miliony
Stroi krzewy i zioła. Zimy biała córa
Pohulać z wiatrem lubi, gdzie nasze zagony.
Biedne, małe ptaszyny wystraszone tańcem
Powietrznej, możnej pani, pod gzymsy uciekły;
Słabszym zima to wojna, jakby bój z pohańcem,
Silniejsze, kruki czarne, sfrunęły i skrzekły.
W oknie wielkiem, narożnem, stanął tejże chwili
Poważny, blady starzec, a widząc te ptaki,
Słyszając głos ich chrapliwy, spokój w sobie sili,
W pamięci jednak stają żołnierskie te szlaki,
Które przebył w zadymkę: Kruki wietrząc trupy,

Leciały całem stadem nad głową żołnierza,
Albo żadne zdobyczy obsiadały słupy,
Ostrzyły sine dzioby, czyściły je z pierza.
Widzi łuny, pożogi, słyszy łoskot broni
I tętent kopyt końskich i rzenie rumaków,
Jęk też głuchy i straszny ciągle w uszach dzwoni...
Towarzysz ranny zemdłał i zapadł w gąszcz krzaków.
Wojsko poszło ku lasom, nieprzyjaciół ściga...
Poległych zwłoki ptactwu na pastwę zostały,
Trzeciej nocy nareszcie trupy żołnierz dźwiga
I w wspólnym kładzie grobie, — a grób ten niedbały!
Ani siostra zapłaczę, ani matka jęknie,
Zaledwie kilka westchnień uleci przez usta,
Nawet pielgrzym pobożny rzadko tutaj klęknie,
Mogiła poległego i smutna i pusta...
Starzec dumiał i wzdychał, łzami zasłzy oczy,
Różaniec wreszcie bierze, co wisi nad łóżem,
Szepcząc pacierz za zmarłych równą miarą kroczy
I czuje słabość ludzką w zrządzeniu tem Bożem.

Zcicha drzwi się otwarły, chłopiec skrzętny wchodzi
W strzeleckiej kurtce, niosąc i opał i drzazgę:
»Pewnie ogień rozniecić? Zimno zawsze szkodzi,
A drzewo dobre, smolne i suchą ma miazgę«.
Wicek czekał rozkazu, starzec kiwnął głową, —
Już wkrótce płomień buchnął na białym kominie,
Z światłem jakąś ochotę poroztaczał nową
I ciepłem rozgrzał serca, jakgdyby po winie.
Razem z panem komnata zaczerpnęła życia:
Portrety bohaterów jaśniały i blade,

Błysły szable i herby, nawet z swego skrycia
Wyglądał łeb jelenia, co charty dopadły.
Wicek okiem ciekawem mierzył wszystkie ściany,
Nareszcie wzrok zatrzymał na świętym obrazie,
Długo patrzył i wzdychał, w twarzy zoczył rany...
Nie dostrzegł zamyślenia Skaliński na razie,
Powiódł okiem za chłopcem, drżącym mówiąc głosem:
»To Marja Częstochowska, to Matka — ta nasza!
Ona czuwa nad dziećmi, płacze sierot losem,
Wytrwałość w bólu wielkim u Syna wyprasza.
Święty Łukasz oblicze Matki wymalował,
Bliznami Tatar znaczył, a Szwed w swej wściekłości
Moc chcąc zniszczyć krajowi, klasztor w noc szturmował,
Nazwany Jasną Górą — lecz próżne te złości!
Mury kule odbiły, działa Szweda wała,
A święta Pani błyszczy niebiańską jasnością,
Obejmuje ramieniem wieże, które palą,
I gasi pożar, darząc swobody błogością.
Król z wdzięczności »Królową« głosi Matkę Boga,
Oddając cały naród w opiekę Jej świętą,
Wskazał dokąd prowadzi w uciśnieniu droga:
Przez Matkę prosimy Syna, bo w Niebo jest wziętą.
Szanuj obraz ten święty, drogi dar po bracie,
To spadek bardzo cenny i szable na ścianie,
Chociaż w rdzawej, spłowiałej, widzisz skarby szacie,
Miliony warte one!« — »Rozumiem już, panie«. —
Szepnął Wicek w zadumie; widział zawsze rano,
Jak starzec w ręce drżące ujmował pamiątki,
Długo modlił na klęczkach, zanim pokarm dano —
I ręce wznosząc w górę i święte te szczątki,
Krzyże wielkie nakreślał w cztery świata strony;
Rodakom pragnie pomódz, obronić przed nędzą,

Żeby popęd do pracy młody, wytężony,
Nie zmroził swego kwiatu, lecz okrył go przędzą...

Starzec spoczął w fotelu wielkim, poręczowym,
A oczy załzawione na komin spojrzały:
Ogień buchał płomieniem jasnym, złotym, nowym,
Lecz prędko zwęglił drzewo, popioły zostały.
Z boku tliła się gałęź, zcicha, wolno, długo,
Rzuciła światło, ciepło, gdy płomień już ściemniał.
**Czyli prawym ten synem, albo wiernym sługą,
Co krótko miłość żywił, z jej blasku oniemiał?**
**Cichy, dobry pracownik równo zawsze czuje,
Ogrzewa jednym ciepłem najdroższe spuścizny,
Światło nieci w ciemnościach, radę ciągle snuje,
Gdy rozpacz tłumi wiarę i sączy trucizny.**
Myśli takie Skaliński długo rozpościera
I Wicek wreszcie dociekł w swej młodej głowinie,
Czemu ręka panienki tylko pyły ściera
Z obrazu, z szabli sławnej — i rad był przyczynie.
Jego ręce surowe, z pracy poczerniałe,
Niegodne takich skarbów... panienka, aniołek,
Złote nosi kędziory, śnieżne szaty białe,
Więc dziaduś wnuczce zlecił świętości swych kolek.

Ciszę długą przerwały spieszne jakieś kroki,
Walenty, sługa stary, oznajmił przybycie
Miłych gości, proboszcza, także pana z Troki,
Henryka, hrabię Borno. — Skaliński wizycie
Ucieszony niezmiernie, kazał zaraz prosić;
Uściskał dłoń proboszcza, posadził przy sobie,

Kochał księdza Wojciecha. — Wicek zaczął znosić
Fotele miękkie, drogie. — »Tu miejsce ci zrobię!«
Woła starzec do hrabi. Henryk wybrał krzesło,
Z naciskiem lekkim mówiąc: »Hartować się trzeba!«
»Słuszna, słuszna uwaga, życie miękkie wniosło
Zepsucia dużo wszędzie! Nie wiedząc, co Nieba
Raczą ludom udzielić — ćwiczymy duszę, ciało,
By wynieść wspólną chwałę uznania z cnej sprawy!
Chociaż w trudnych warunkach zdobyć można mało,
Niech uczczą ludy bratnie i pot nasz już krwawy.
Pokolenie zaś młodsze niechżeż przykład bierze,
Niech pojmie świętość sprawy — i broni, co dobre,
Zacne, swoje, szlachetne! Chęć swą garnie szczerze
Do pracy umięjętnej! Więc słowa twe chrobre,
Zacny, młody sąsiedzie, rodzą takie zdanie
W mej głowie skołatanej cierpieniem i troską«. —
— »Myśli zacne podnoszą duszę naszą, panie,
Są darem wielkim Nieba i częstką tą boską,
Która łączy nas ludzi z niebieskimi duchy,
Otwiera raje niebios i rodzi rozkosze
Niepojęte i wielkie! — Życząc szczerzej skruchy
Nam wszystkim, młodym jeszcze, o rady poproszę
Ciebie, zacny szermierzu; słowa twoje, czyny
Przewodnią błyszczą gwiazdą, zachętą są całą!« —
Godnie Henryk odpowie: — »Wielkie, wielkie winy,
Na rodach naszych ciężą, lecz wiarą wytrwałą
Służyliśmy i Bogu, również Kościołowi,
Więc wierność zrównoważy i zmaże te grzechy
Ojców, dziadów, pradziadów, szczęście lepsze wznowi,
Miłością łącząc, zetrze omszałe już cechy!«
Zapał buchał z młodzieńca, oczy zaszły łzami,
A w głębi żarzył płomień, rozpałił i drugich.

Proboszcz zerwał się z miejsca, objął ramionami
I trzymał hrabię mocno w uściskach swych długich.
»Będzie ludziom pociecha z tego pokolenia!« —
Zawołał w uniesieniu. — »Jeżeli wytrwają!« —
Dodał cicho Skaliński. — »Okoliczność zmienia!
Lecz zapal, chęci szczere, już pewnośc nam dają«.
Wtrącił znowu nasz proboszcz. — Henryk spuścił oczy,
Posmutniał, lica zbladły, Skaliński go przybił;
Uczuł boleść głęboką, w dalsze progi kroczy,
By duszę uspokoić. — »O, żebym to chybił,
Żebym zawsze się mylił w posądzeniu mojem!« —
Skaliński westchnie z cicha: — »Niepewna rodzina!« —
»Trudno przecież uwierzyć podejrzeniom twojem,
To młodzian zacny, zresztą nie jego w tem wina«, —
Proboszcz powie z nienacka — »jeśli ojciec błądzi,
Mydlane chwyta bańki, podpada złudzeniu.
Niechżeż syna opinia inną miarą sądzi,
Bo łatwo dusza młoda ulegnie zwątpieniu!« —
Henryk wrócił po chwili, opanował siebie,
Błyszczały szlachetnością i czoło i oczy,
Jakby mówić zamierzał: — »Widzi Bóg na Niebie,
Że serce moje szczere i nigdy nie zboczy!«
Starzec badał młodzieńca przenikliwym wzrokiem,
Wrażenie było dobre, więc wesół zawoła:
»Zacny panie Henryku,« — zbliżył nawet krokiem —
»Oceniam dobre chęci, uchylam i czoła
Z należytym szacunkiem; chwałę siłę duszy,
Co gardzi pychą grzeszną i rady przyjmuje,
Ona wszystko zwycięży, nawet skałę skruszy...
Więc usta wyszeptaly, co serce me czuje«.
Starzec w pierś się uderzył, potem szarpnął dzwonek:
Walenty przyniósł wino, herbatę, przekąski,

Nalał pełne kielichy. — Wicek wyszedł z sionek,
Na komin kładąc drzewo, rozbierał je z wiązki;
Z boku patrzył ukradkiem, nadstawiając uszy,
Bo młody, piękny hrabia za serce go chwytał.
Komin pełen już polan, chłopiec drzazgę kruszy,
Lecz starzec spostrzegł Wicka i nagle zapytał:
»Może nasi już jadą? Wyrzuj tylko z sieni,
Dziś przecież wrócić mają; już tydzień jak goszczą
Czesławostwo u córki. Powrót zaraz zmieni
To życie nasze nudne, bo teraz to poszczą
Wszyscy nasi domowi, tylko Lachatt', Werner,
Kłótliwym sporem budzą klasztorne zacisze.
Gdyby takie rozmowy słyszał kiedyś Körner,
Powstałby zaraz dramat. O, warto tej pysze
Cudzoziemców tych dwojga śmiało spojrzeć w oczy:
Ta bona Tadzia, Lachatt', z francuskiej krainy,
Dumna niby królowa, pewną drogą kroczy;
Wytyka Wernerowi, że wszystkie ich czyny,
Postęp wszelki u Niemców, z Francji tylko płynie!
Guwerner w złości w zamian wyszydza intrygi,
Kłótnie, spory, i twierdzi, Francja wkrótce zginiel
Językiem bona z Niemcem wyprawia wyścigi;
Jeśli skutki zbyt małe, biorą udział ręce,
Więc sceny mamy piękne, uliczne, wspaniałe!
Trudno zresztą zapobiedz tajnej dwojga męce,
Bo dusze sprzeczek żadne i pychę nabrzmiałe«.
Ledwie skończył Skaliński, słysząc obok głosy,
W stołowej sali siedzą Lachatta i Werner,
W ciche szepty się bawią, pospuszczali nosy,
Herbatę pijąc wonną. Wtem zerknął guwerner,
Zoczył puder sąsiadki, malowaną brewkę,
Podskoczył cały z sykiem: — »Francuska się zgubi,

Francja zginie z próżności!« — zaczął starą śpiewkę, —
»Rzetelną prawdą gardzi, obłudą się chlubi!« —
»Francję zawsze czcić będziesz, panie Werner, proszę!«
Zawoła w gniewie Lachatt', — »Europie przoduje,
Francja światło roznosi! Przygan moc nie znoszę!
Kto kraj mój tylko wspomni, kapelusz zdejmuję.
Panie Werner się skłonisz, bardzo, bardzo nisko!« —
»O, tego jeszcze trzeba! ja, Niemiec zabity
Będę czołem bił Francji!« — mówiąc skoczył blisko
I łys swój wstrząsnął cały peruką pokryty.
Słyszy swary Skaliński, cicho drzwi odmyka:
Ciekawie goście patrzą, a starzec się śmieje,
Lachatt' cała w purpurze, dziwna myśl jej strzyka,
Wyciąga ręce obie, zamierza się, chwieje,
Wreszcie ruchem gwałtownym Wernerowi zrywa
Fałszywe, ryże włosy, o ziemię je ciska:
»Hołdy składaj peruką, mojej Francji! — wzywa —
Próżności niechaj próżność pokłoni się z bliska!« —
Werner świadków spostrzegłszy, zalał krwią się cały,
Ścisnąwszy pięści grozi, perukę porywa,
Wpada gromem do sieni, nawet drzwi zadrzały,
Koziołka zwija w progu i sobą pokrywa
Duże, czarne to pisko, które strzeże domu.
Dyana skomli z bólu, lecz mściwa z natury,
Chwyta nogę Wenera, który biada z sromu!
Skaliński widząc krzywdę, spoziera ponury,
Grozi palcem Francuzce; Lachatt' spuszcza oczy,
Lecz łoskot zwabił służbę: więc kucharz nadbiega,
Kasia, rądel trzymając, spieszną stopą kroczy,
Walenty, Wicek wypadł, Jagusia za szpiega
Z kuchni drugiej, czeladniej; nawet koty śpiące
I wyżły faworyty skoczyły spłoszone.

Narobiło się wrzawy, oczy palające
Wydały Lachatt' z czynu, błyszczały też one!
Wicek spostrzegł jej tryumf, szepnął służbie w ucho,
Więc czeladź jednym wielkim krzyknęła wiwatem:
»Niechaj żyje Francuska! z tamtym pono krucho...« —
Zmieszany Werner drapnął, pogardził tym światem.
»Wróćcie zaraz do pracy!« — ostro pan zawoła,
Więc służba milczkiem poszła i Lachatt' wybiegła
»Pardon, pardon« — rzucając. — Starzec schylił czoła,
»Nienawiść plemion« — szepnął — »wzajemna, przebiegła!
Gdyby ludy rozumne były sprawiedliwe
I więcej pojmujące potrzeby i drugich,
Życie inneby kwitło, jako raj szczęśliwe;
A świat nie znałby biedy, ni wojen tak długich».
»Dużo wody upłynie« — odparł proboszcz żywo —
»Daleko światu jeszcze do takiej mądrości!
Ludzie kroczą manowcem, myśli wiedzą krzywo
I chyba burza zmiecie i zniszczy podłości!« —
»Były silne wstrząśnienia, nikły prawa, trony,
A jeszcze duchy ludów nie wiedzą, gdzie droga
Prosta zacnej prawości! tylko gmin zwątpiony
Wyciąga chciwie ręce, bo zdobycz jest mnoga«.
Rzucił Henryk poważnie: — »Przykład idzie z góry;
Gdy władze obcą własność zagrabią bez skruchy,
Gnębiąc ducha w niewoli, kręcą bicz ze skóry,
Na własne swoje skóry! Zawistne wybuchy,
Narzekań i skargi, znikną tylko wtedy,
Gdy równość sprawiedliwa rozgości się wszędzie,
Jeśli prawo potrzeby uzna ludzkiej biedy,
Obyczaj, język, wiarę, szanować tu będzie!« —
»Złości wszelkie wynikiem chęci panowania,
A z dumy ona idzie, bo zazdrość jest kumą!« —

Zauważył tu proboszcz. — »Przykre wojowania
Za powód mają pychę, zatrute jej dżumą.
Każde takie natarcie kończy smutna klęska,
Marnieją ludy dzielne, a siła zwycięża,
Siła nieraz brutalna, małego kęska
Swobody żałująca, lecz wściekłość wyteża,
Rada zetrzeć na popiół wszystko obce zgola!« —
»A jednak zetrzeć trudno, więc ducha tu krzepi
Materjalny ubytek!« — starzec z mocą woła —
»O, dowód macie jasny, co siłę tu szczepi!
Ileż ciosów w nas mierzą tryumfatorowie
Po wojnie z dumną Francją, a jednak żyjemy!
Duchem wyżej płyniemy — niby aniołowie
Do tronu Pana swego — i winy myjemy!
Jakież były te ciosy, które Prusy dały?
Na wiarę pierwszy napad, zniesienie wydziału
W katolickich tu sprawach, dar ten króla cały,
Zniszczono silną ręką z tryumfu i szału!
Potem **Lutza ustawa** idzie świata znana:
Roztwiera więzień bramy kapłanom gorliwym,
Biorą dozór duchownym, szkoła traci pana,
Zacnego opiekuna w tym czasie burzliwym.
Innowiercy w niej rządzą, biedna diatwa nasza
Zostaje otoczona wskroś obcą opieką;
Cnota zacna się chwieje, wiary duch rozprasza,
A ciężkie łzy rodziców za ucisk pocieką.
Przyszedł zamach na klasztor, pędzą Jezuitów,
Sercanki, Urszulanki i wszystkie zakony!
Prawo nowe już sięgło najsłabszych szczytów,
A lud nasz tracąc mistrzów, spoziera strwożony!
Iluż nagle ubyło pracowników dzielnych
Na niwie świętej, bożej, gdzie każdy nam bratem!

Szatan kąkol dziś sieje, dysze moc piekielnych,
Co ziemi niesie hańbę, ludzkości jest katem!
Idzie wreszcie wielkanoc... dopełniają czary...
Jest jajko wielkanocne z duchową trucizną:
Każą dzieci w języku obcym uczyć wiary,
Tej wiary, która wnukom po dziadach spuścizną!
Wiosna daje rozkosze, przyszedł maj uroczy,
Świeżością wonną tchnący... **zakwitły znów prawa**
Kościółowi majowe! Państwo śmiało kroczy,
Papieską gardzi władzą, powagę jej skrawa.
Obdarzony znów Kościół Falka ustawami,
Do dwójki zliczył piątkę, więc razem siedmioro!
Otóż grzechy te główne wiodą manowcami,
Wzmacniając ciernie, chwasty, co rosną tak sporo!« *).

*) *Rok 1871* po wojnie zwycięskiej z Francuzami przynosi nam: 1. *Hasło do wojny z »ultramontami«*, zachwalając starokatolików. 2. *Zniesienie w ministerstwie pruskim osobnego wydziału dla spraw katolickich*, który to wydział istniał od lat trzydziestu, t. j. od 14 lutego 1841, kiedy to król Fryderyk Wilhelm IV wydział ten po sprawiedliwości był ustanowił. 3. *Ustawę Lutza na kaznodziei*: Duchowny, któryby przez wykonywanie swego powołania publicznie sprawy państwa ogłaszał, lub roztrząsał, w sposób narażający spokojność publiczną na niebezpieczeństwo, ma zostać ukarany więzieniem, lub aresztem fortecznym aż do dwóch lat.

Rok 1872. W lutym odjęto prawem uchwalonem duchowieństwu dozór nad szkołami katolickimi. Wygnano zakon Jezuitów, a po za nim wszystkie inne zakony: Sercanek, Urszulanek, Felicjanek, Reformatów, Franciszkanów, Dominikanów i Karmelitów, które tyle lat pracowały nad poprawieniem obyczajów w Królestwie Pruskim i Cesarstwie Niemieckim.

Rok 1873 — wielkanoc. Nauka religii ma być wykładaną w tym samym języku, co inne przedmioty, t. j. po niemiecku.

Rok 1873 — maj. Cztery ustawy:

»Wiele kościoł przecierpiał,« — proboszcz ciężko wzdycha —
»Lecz wszystkie jęki, trudy, to perły kosztowne!
Anioł zbiera je skrzydły, niesie w chmury zcicha,
W obliczu Boga składa piękniejsze i główne.
W Niebie splata korony, palmy niemi stroi,
A święci dary Stwórcy składają u tronu.
Chrystus rany dotkliwe Kościołowi goi,
Wkładając znaki zwycięstw nowego zakonu!«

»Dużo, dużo przeboleć przyszło księżu tobie,
Choć znane dzieje życia, lecz powtórz je jeszcze.

1. *O kształceniu duchowieństwa i obsadzaniu duchow-
nych posad (d. 11 maja).*

2. *O władzy karnej w Kościele i ustanowieniu trybunału
dla spraw kościelnych (d. 12 maja).*

3. *O granicach, w których kary kościelnej używać wolno
i o środkach karnych (d. 13 maja).*

4. *O wystąpieniu z kościoła (d. 14 maja).*

Rok 1874 — styczeń. Dwie nowe ustawy Falka: *O za-
rządzie wakujących biskupów katolickich. — O wygnaniu sług
kościoła.*

Rok 1875 daje pięć nowych ustaw:

1. *Ustawa o zarządzie majątku kościelnego.*

2. *Ustawa o wstrzymaniu wypłaty wszystkiego tego, co
się ze skarbu publicznego wypłacić należało biskupom i innym
duchownym katolickim.*

3. *Ustawa mocą której starokatolicy mają prawo do ma-
jątków rzymsko-katolickich.*

4. *Ustawa na zakony duchowne i podobne do nich sto-
warzyszenia, a wreszcie*

5. *Ustawa o zniesieniu paragrafów 15, 16 i 17 konsty-
tucji pruskiej, które się ustawom majowym sprzeciwiały.*

Rok 1884. *Ustawa banicyjna, podług której 40.000 zakor-*

Z wytrwałością żelazną przetrawiłeś w sobie
Tułactwa udręczenie, uciski złowieszcze».
Proboszcz trącił z Skalińskim: »Oby lepsze czasy
W te nasze drogie strony raczyły zawitać! —
Skromnej mojej osobie powieść doda krasy
I młodsze pokolenie gotowe się spytać,
Który z księży majowych, niby chrabąszcz płowy,
Tę fazę przeobrażeń tak przeszedł szczęśliwie,
Mając próżnię w kieszeni, tylko płaszczyk nowy,
Na obcej dorósł ziemi i dojrzał prawdziwie?
Ale nudzę waszeci, powiem jednym tchnieniem,

donowych Polaków z granic dawnej Rzeczypospolitej Polskiej,
a wogóle i z niemieckich granic wygnano.

Rok 1886. 26 kwietnia. Ustawa o kolonizacji pruskiej,
która za rządowe, a pośrednio i za polskie pieniądze z ziemi
ojczystej raz na zawsze ma Polaków wywłaszczyć

Księżę Pruski, późniejszy Wilhelm I, król pruski i ce-
sarz niemiecki, jako następca do tronu podpisał był dokument
dla Polaków ważny, ważny dlatego, że *Traktat Wiedeński* na
nowo potwierdza.

Odprawa sejmowa z d. 6 sierpnia r. 1841. Wyjątek:

»*Narodowości polskiej przyobiecane zostały mocą Trak-*
tatu Wiedeńskiego i odezwy z d 15 maja 1815 r. uwzględnie-
nie i opieka. Wykonawcy Traktatu Wiedeńskiego postanowili
chwalebną miłość każdego szlachetnego ludu do swego języka
i swoich obyczajów także i w Polakach uszanować i cenić ;
pod naszym panowaniem doznawać one będą poważania i opieki
itd.« Dan w Sanssouci dnia 6 sierpnia 1841. (Podp) Fryderyk
Wilhelm. Księżę Pruski. Boyen. Mühler. Rochow. Ladenberg.
Rother. Hr. Alvensleben. Werther. Eichhorn. Thiele. Hr. Stollberg.

Pan prezydent Horn w r. 1866 wydrukował te słowa:
(Wyjątek).

Nie wiercie tym, którzy wam mówią, że przez połączenie
Wielkiego Księstwa z Niemcami *katolickiej waszej religii grozi*
niebezpieczeństwo.

Że matka była wdową, żywiła się z szcicia,
Poświęcając mi wszystko! byłem wymarzeniem!
Kapłanem widzieć syna, to cel był jej życia!
Noce zwykle śleczęm razem z rodzicielką
Nad igłą pochyloną; ceniła tę wiedzę,
Nieraz była wsłuchana z wytrwałością wielką..
Mówiłem wówczas z żalem: ja matko cię zbiedzę!«
»Synu drogi, jedyny, jeśli wiedzy pragniesz
I cnotę ukochawszy chcesz dążyć do Boga,
Ułomności twe wszelkie, jeśli tylko nagniesz,
Do pracy znajdę siłę, choć słabam nieboga!«
»Takie słowa wyryła matka duszą w duszy!

I w Związku północno-niemieckim pozostaniecie bez nagabywania Polakami, mówić będziecie swoim językiem, zatrzymacie swoje obyczaje, a Kościół katolicki jak dotąd cieszyć się będzie tą samą wolnością i tą samą opieką, jakich doznawał dotąd w pruskiej naszej ojczyźnie.

Król Wilhelm w roku 1866 do księży arcybiskupów Ledóchowskiego i Melchersa, kiedy mu przysięgę na wierność składali:

»Stan kościoła katolickiego jest w naszym państwie tak dobrze uregulowany, iż mi to nawet Głowa tego Kościoła (Pius IX) przyznała«.

Do Kawalerów Maltańskich powiedział w tym samym czasie, że

»zabór Rzymu przez Włochów uważa za akt gwałtu i zachwalstwa, że po skończeniu wojny (z Austryakami) nie omieszka wspólnie z innymi książętami wziąć tej sprawy pod rozwagę«.

Na zasadach i na utwierdzeniu polega odezwa króla do mieszkańców Księstwa Poznańskiego z r. 1815, dlatego powiada ówczesny panujący, Fryderyk Wilhelm III pobudzony stypulacjami Wiedeńskiego traktatu:.

»I wy macie ojczyznę, a z nią dowód mego szacunku otrzymujecie za waszę do niej przywiązanie. Przyłączeni bę-

Dla matki godność chciałem, wszak wszystko mi dała?
Poświęcenie olbrzymie każde serce skruszy!
Szlachetna, zacna matka, o jakżeż kochała!«
Proboszcz spuścił powieki, łzami zasłzy oczy,
Więc szybko przetarł dłonią i głowę pochylił,
Myśli jego daleko, słowem nawet zboczy,
Bo trącił w strunę serca... uczucia wysilił.
»Lata szybko mijały, przyszedł egzamina,
Poszedłem chwiejnym krokiem, a matka ze łzami
Najpokorniej na klęczkach wzywa Boga Syna,
By darzył łaską Swoją i czuwał nad nami.
Wreszcie szczęściem, radością, matki twarz jaśnieje,

dziecie do mojej monarchii, lecz waszej narodowości nie potrzebujecie się zrzekać. Weźmiecie także udział w konstytucyi, którą mam zamiar dać moim wiernym poddanym, i wy dostaniecie prowincjonalny rząd, taksamo jak inne prowincye mego państwa «

Religia wasza zachowaną zostanie, a dotacya odpowiednia jej kapłanom także się ustanowi. Wasz język będzie obok języka niemieckiego we wszystkich publicznych sprawach używany i każdemu z was będzie, według zdolności, wstęp otwartym do publicznych urzędów księstwa, tak jak i do wszystkich urzędów, honorów i godności mego królestwa.

Mój namiestnik, urodzony wśród was, będzie z wami mieszkał i t. d.

Dokument ratyfikacyjny z dnia 3 maja 1815 brzmi:

My Fryderyk Wilhelm III, z Bożej łaski król pruski itd. itd. po przeczytaniu traktatu tego i jego warunków i po rozważeniu znaleźliśmy treść jego zgodną z naszą wolą i dlatego przyjęliśmy, potwierdziliśmy i ratyfikowaliśmy, tak jak go przyjmujemy, potwierdzamy i ratyfikujemy dla naszych następców i słowem naszym królewskim przyrzekamy czynić wszystko, ażeby się ściśle i i wiernie spełnił. Zapisano w aktach i t. d. (podpis) Fryderyk Wilhelm, (contras). Książę Hardenberg.

Do piersi tuli syna... skończyłem szczęśliwie!
Odtąd dziwna przemiana w myśli mojej dzieje,
Do wiedzy szybkim krokiem dążyłem skwapliwie.
Jedno przecież mię gniotło, przeczuwałem skrycie,
Że moja opiekunka tę ziemię porzuci,
Skoro dojdę do celu... cel ten chłonał życie,
A Bóg jej ceniąc duszę, pielgrzymkę ukróci.
Wkrótce była nie błada, ale przezroczysta,
Oczyrna roztaczała nie ziemskie już blaski,
Ale wdzięki tej gwiazdy, która gaśnie czysta,
Gdy słońce gorejące roztacza swe łaski.
Przyszła wielka ta chwila, w której grzeszny człowiek
Przez łaskę nadzwyczajną ofiarę tu spełnia,
Zbawiciela piastując... trudno podnieść powiek,
A duszę radość święta, anielska napełnia!
Taka radość potężna zgmiotła słabe siły...
I dobra moja matka zagasła w kościele,
Jako świeca w ołtarzu! Dzwony wygłosiły,
Że dusza poszła w Panu... straciłem tak wiele!
Byłem odtąd tułaczem, żebrającym chleba!
Bo wkrótce praw tych nowych, majowych użyto:
Skoro młodzi kapłani, jeśli było trzeba,
Pełnili obowiązki, niedługo ich zmyto*).

Wojnę ciętą z Kościołem rozpoczyna państwo,
Odważnie stając w szrankach nasz Kościół się broni,
Swoją świętą powagą tuli kler, kapłaństwo,
Nie dając ująć władzy, co zawsze go chroni.
Kara idzie za karą, roztwierają jamy,

*) *Majowymi księżmi* nazywano kapłanów świeżo wyświęconych, bez posad, na których się oparły *ustawy majowe* z r. 1873. Kościół miał swoje przepisy, państwo swoje.

By w razie nagłym przecieź przewietrzyć i lochy!
Arcybiskup w Ostrowie *) przeszedł więzień bramy,
A lud nasz widząc czyny, rozpoznał macochy!
Wiernych naszych pasterzy pilnie rachowano,
Bo jedni poszli w lewo, a drudzy na prawo!
Ileż biedy przeżyto, ileż łez wylano!
Nie każdy cierpieć umiał, nie wyszedł ze sławą!
Trudy czyszczą jak ogień... było zacnych wiele,
Więc poszli w obce kraje, gdzie wolność jest wiary,
Jako wierni synowie świętych praw w Kościele
Podjęli pracę szczerą gdzie Francuz, Bawary.
W krajach zacnych z wolności pracowałem długo,
Poznałem w Francji naszych — poetów — tułaczy;
Byłem bratem im drogim, Kościołowi sługą,
Lecz biedni oni wszyscy, więc los był żebraczy!
W owych czasach pamiętnych wielką ulgę miałem,
Gdy słowik ukraiński — nasz Bohdan Zaleski,
Czując moje wzruszenie, skoro całowałem
Pieśniarza rękę chudą, już sięgał do kieski,
Żeby wesprzeć rodaka — alem pochylony
O krzyżyk tylko prosił w pielgrzymki pochodzie...
Starzec krzyżyk skreśliwszy wielce rozczulony,
Przytulił jako syna... krewniaka w narodzie!
Czuję ciągle tę rękę, która przytuliła,
Oblicze starca widzę prorocze, natchnione,
Z włosem długim, śnieżystym; łza, co w oczach lśniła,

*) Ks. *Halka hr. Ledóchowski*, arcybiskup Gnieźnieński i prymas, był więziony w Ostrowie, w Wielkiem Księstwie Poznańskim. Później schronił się do Rzymu i został kardynałem, tu przebywał do śmierci do r. 1902. Serce jego przewieziono z Rzymu do tumu Gnieźnieńskiego.

Przenikła nasze serca, tułactwem złączone *).
Odtąd często bywałem, aby wzmocnić ducha,
Ja młodym będąc czułem, że w starcu potęga!
Duszę ogrzał nadzieją: **»Każda władza krucha,
Dziś order zdobi piersi... a jutro siermięga!«** —
Wreszcie ulgi zdobyto, — duchowieństwo wraca
I w kraju z starszą bracią nad trzodą swą czuwa,
Praca dawna, zaległa, nieraz zdrowie skraca,
A niechęć nieprzyjaciół swobodę nam struwa! —

Proboszcz machnął rękoma, starzec kielich chwytą
I wznosi jego zdrowie za trudy, mozoły.
Nagle dzwonki zagrały, służba państwo wita,
Przedsiónek zaroiła, jak w ulu te pszczoły.
Wicek niesie walizkę z Bronią pokojową,
Zabiera stosy pudeł, a Lachatt' przyświeca,
Dopadł sanek Walenty, z pochyloną głową
Pomaga wysiąść państwu, ostrożność zaleca.
Ale żywa Hanusia jednym skokiem w śniegu,
Z zręcznością młodej łani przebywa zapory,
Szuka dziadka w komnatach, wpada w pełnym biegu,
Pytając srebrnym głosem, czy aby nie chory?
Zadrzał starzec z radości, widząc ptaszę swoje
I długi całus złożył na czole pogodnem,
Zadrzał także i hrabia, wlepił oczu dwoje
W Hanusi kształtną kibić, w jej licu urodnem.
Była cudna jak róża śniegiem przyprószona,
Bo mroźny, ostry wichur zrumienił jej lica,

*) Poeta polski Bohdan Zaleski zmarł pod Wersalem,
w Villepreux, r. 1886, jako 84-letni starzec.

Strojne w białe futerko; była ożywiona
Widokiem znanych kątów, więc piękna dziewczica
Rzuca blaski z swych oczu, ognie brylantowe —
I świecą jako gwiazdy na niebie jaskrawo,
Mając barwę potoków, — oczy szafirowe
Z żywością łączą smętność, więc patrzą i łzawo.
»Widzę, dziadzia ma gości« — rzekła zatrwożona,
Spostrzegłszy księdza, hrabię, ukłonem witała,
Pełnym wdzięku i lęku, wreszcie zapłoniona
Badawczym wzrokiem hrabi — jak gołąb wzleciała.
Wbiegła naprzód do kuchni, — kucharzowi prawi,
By smacznie ugotował, o honor jej chodzi.
Chociaż młoda, jej rozum każdy wieśniak sławi,
A serca mając dużo i życie tu słodzi.
Dziadek mówił »ptaszyno« — odtąd cała wioska
Kochanym śnieżnym ptakiem panienkę nazwała.
Kogóż ona nie cieszy?! Nawet dziatwę troska,
Co krążąc koło dworu Hanusię kochała:
»Wszakże mówi tak słodko w naszej małej szkółce,
A śpiewa jako słowik w gaiku nad rzeczką,
Nosi chorym lekarstwo, daje nawet w bułce,
Ażeby łatwiej przełknąć — i pasie łyżeczką.«
Słowa dziatwy z Oporów rosa dalej niosła,
Fijołek prawil dzwonkom, a dzwonki konwalji,
Nasza młoda dziewczeczka w bohaterkę rosła,
Ztąd każdy łaknął Hani, jak dobrej nowalji.
Gospodarstwa przybycie wszystkich ożywiło,
Komnatom dało ciepło rodzinne, serdeczne;
Służbie, gościom, domowym, żywiej serce biło,
Schronienie uczuł każdy tak miłe, bezpieczne.
Pani Łucja umiała wszystkich ująć sobie
Dobrocią, troskliwością, powagą matrony;

Opiekuńczym swym duchem w każdej życia dobie
 Zdziałała coś zacnego, więc lud tem olśniony
 Wielbił jako swą matkę; przytem postać cała
 Nosiła wszelkie cechy szlachetnej tej duszy.
 Chociaż piękna, wspaniała, tkliwość wyglądała
 Z łagodnych, ciemnych oczu — więc łatwo się wzruszy,
 Troska, płacze z swym bliźnim; dospać nocy trudno,
 Bo dusza pragnie pomódz i prędzej nie spocznie,
 Ażby ulgę przyniosła! sobkiem zostać — brudno!
 »Och, pomódz muszę!« — szepnie — i pomódz niezwłocznie.
 Silną wolą działała nieraz wielkich rzeczy,
 Bo z Bogiem pracowała, w miłości bliźniego;
 Szczęśliw każdy był z smutnych kogo ubezpieczy
 Ta zacna, dobra pani, bo spokój jest jego!
 Mąż jej Czesław ją wielbił w każdej trudnej sprawie,
 Szanował, kochał, ufał; zwątlony na zdrowiu
 Nieraz tracił i ducha, w zamian Łucja prawie
 Żelazną miała wolę — jak stoi w przysłowiu:
 »W zdrowem ciele i duszę zdrową zawsze miała!«
 Wrażliwy bardzo Czesław uprzedzał się łatwo,
 Chociaż w głębi szlachetny, postać jego cała
 Zdradzała obraźliwość, więc z służbą i z dziatwą
 Bywał zimny na pozór, jednak myślą czuwał
 Nad każdym z swoich drogich, — a wtedy westchnienie
 Rozsadzało mu serce — troską życie struwał,
 Że w trudnych żyjąc czasach, rozproszy się mienie.
 Ileż razy nabierał z wiosną lepszej myśli,
 Otuchę znowu tracił w zimowe wieczory, —
 Szary obraz przyszłości w duszy tylko kryśli,
 Z natury będąc miękkim, do smutków był skory.
 Ależ wróćmy do gości:
 Hrabia pytał Tadzia,

Młodsze go syna domu, o podróż, przygody.
Chłopiec buchał dowcipem, ale czuwał dziadzia,
Więc tłumiał słowa, żarty, a figlarz z przyrody —
Patrzył rychło co spletać, żeby rozweselić,
Do śmiechu wszystkich zbudzić, to tryumf był jego.
Oczy ogniem płonęły, umiał słowa dzielić,
Zaczepiał gości, czeladź, nie było żadnego
Miejsca, kąta bez Tadzia; iskra silna, żywa
W tem dziecku drgała ciągle, a starsi twierdzili:
»Z takich dzieci bohater, albo łotrzyk bywa!«
Ztąd nieraz żywość taką Tadziewi ganili.
Wicek lubił chłopczynę, szepnął paniczowi:
»Francuzka miała bitwę ze starym Wernerem!
Hrabia z Troki był świadkiem, nawet ksiądz, domowi!«
Panicza Wicek kochał uczuciem tak szczerem,
Skoro karmił guwerner, Wicek pięści ścisnął,
Przysięgał oddać wszystko! w dwójnasób, a w porę!
Tadzio słysząc to zajście, śmiechem skrytym trysnął,
Pociągnął ramię Wicka, aż szczytnął go w skórę.
Nadszedł znowu Walenty, zlekka drzwi uchylił,
Do stołu państwa prosi, ruszono gromadnie.
Henryk niby rozmawiał, jednak trochę mylił,
Wszak Hania była blisko, a patrzy tak ładnie!
Słowa marły mu w gardle, w zamian oczy grały,
Szukając Hani wzroku, — lecz dziewczę nieśmiałe
Skryło rzęsą szafiry, co się wielce bały
Tak śmiało spojrzeć w płomień — i rączki swe białe
Skrzyżowało na łonie, wreszcie westchnie zcicha,
Jakgdyby przeczuwało, że miłość zawodzi...
Hrabia spostrzegł zadumę, zwolna także wzdycha
I dziwny w sercu smutek i jemu się rodzi...
Głowę wreszcie potrzęsnał, odpędzając chmury,

Co chciały zmarszczyć czoło, i lekko, a składnie,
Podał Hani owoce, — licząc sobie zgóry,
Że wzrokiem podziękuje... wszak patrzy tak ładnie!
Hania bierze jabłuszko, drugie spada hrabi,
Co widząc dziaduś rzecze: — »To Ewa! już kusil!«
Hrabia kończył w swej myśli: — »Chyba czarem wabi
Tych cudnych swoich oczul!« — lecz dziadek się krztusi,
Widząc pąsy u wnuczki, wreszcie z dumą dodał:
»Hanusia gołąb biały, nie zwykła to Ewa!
Jabłko zatem zjeść można,« — hrabi owoc podał —
»Gatunek wyborowy, nie odpadł od drzewa!«
»Umiem cenić zalety,« — odparł Henryk z wdziękiem —
»Jabłuszko przewyborne, a drzewo wspaniałe!«
Rzucił okiem na Hanię... dziewczę patrzy z lękiem
I z niemą prośbą w oczach — rumiane już całe!
Widząc hrabia zmieszanie, zmienił temat mowy,
Poruszył sprawy posłów, projekty Bismarka,
Mówił jasno, dobitnie, ważąc swoje słowa,
Choć w sercu żał do księcia przebrała już miarka!
Ciche, długie westchnienie, wzniosło pierś Czesława,
Banicji projekt wspomniał: — »Ha, będzie to plaga
Straszna w swoich następstwach! Czyliż Niemiec sława,
Zdobyta krwią pod Metzem, to mara jest naga?
Z szlachetności wyzuta, gadem uwieńczona,
Ziejąca jadem w koło, tak straszna w postawie!
Wszakże silna Germania w pancerz przystrojona.
Nie lęka obcych wpływów, spoczywa na sławie?!«
»Miejmy trochę nadziei, trochę, odrobinę!« —
Łagodnie powie proboszcz, bo zresztą nie ręczę...«
Przytem skrzywił się cały, zrobił taką minę,
Jakgdyby octu dopadł. — »Już długo się męcę,
Badam cele, dążności, — dodał zlekka sobie —

»Nie trzeba jednak sądzić przedwcześnie, tak zgóry!
Każdy kiedyś odpowie, skoro legnie w grobie,
Przed Sędzią czyn zaważy — przeszyje te chmury!«

Pani Łucja skinęła, dając znak powstania,
Dygnęła Hania zręcznie, za Tadzkiem ruszyła,
Chciała uciec cichaczem, niby płocha łania,
Lecz matka jednym słowem zamiary zniszczyła.
Hrabia szybko skorzystał z obecności Hani,
Wyraźny cel odwiedzin uprzejmie wygłosił:
Oddał ukłon poważny pannie, panu, pani,
Na skromny wieczor w lutym do Troki poprosił.
Dziękowali Skalińscy przyrzeczenie dając,
A Hania promieniała z tajonej uciechy.
Obietnicę Skalińskich hrabia pewną mając,
Pokraśniał również zlekka i dostrzegł uśmiechy
Lotne, jasne u Hani, niby chmurki złote, —
Więc blaskiem takim olśnion uchwycił rączkę,
Ścisnął szczerze w swych dłoniach, głosząc chęć, ochotę,
Złożenia pocałunku... lecz Hania, przejęta
Takim jasnym dowodem uczuć silnych hrabi,
Wyrывa rączki zręcznie, przepada za drzwiami.
Widząc dziadek tę scenę, rzucił: »Powiedz, wabi
To dziewczę niby Ewa?« — »Nie! anioł jest z nami!
Anioł w puchach matczynych, srebrne sypiąc pióry,« —
Zawoła żywo Henryk — »porywa nas z sobą,
Budząc czucia szlachetne, duszę wznosi w chmury,
Pociąga, każe, woła nas całą osobą!«
Dziadek, szczęśliw z pochwały, ścisnął dłoń Henryka
I nabrał zaufania do jego osoby;
Rozmawiali serdecznie, wreszcie zaszła bryka,
A hrabia wywiózł błogie wrażenie tej doby.

Pieśń II.

W Topolinie.

Dziadek, Józef Skaliński, rychło rzucał łoże,
Bo z wiekiem sen się skraca, lecz częściej napada,
Nagle, zcicha, zdradziecko człeka siły zmoże,
A śmierć swój widząc obraz z tryumfu jest rada.
Starzec krzepki był jeszcze, tylko włosy białe
I długi śnieżny zarost mówiły o latach,
Które strawił w usłudze społeczeństwa całe,
A zmarszczki w twarzy znaczne i gęste w swych kratach
Wiodły myśli daleko, w klęski Bonaparty,
Bo wówczas ujrzał świat ten, — więc rok ów dwunasty,
Byłże jemu tu wróżbą? Ojca hartem wsparty,
Chłopięciem jeszcze prawie, bo rok miał ośmnasty —
Walczył mężnie na błoniach, razem z braćmi swymi,*)
I wrócił kryty sławą i wzmocnion na duszy,
Widząc wielką ofiarność między walczącymi,
Bo kogóż miłość szczerą nie wzniesie, nie wzruszy?

*) Roku 1830.

Młodość kraju — to źródło zawsze pełne, czyste,
Krzepiące czerstwość ciała i siłę duchowi,
Chociaż rady, przesady, nieraz innych mgliste,
Uczucie takie zawsze tu życie odnowi.
Męstwo cenił pan Józef, młodość z szablą zbratał,
Ukochał bohaterstwo i pragnął je wpoić
W syna, w wnuki, w prawnuki, ale z chęcią wplatał
Ojcowskie swoje serce: — Czesława oswoić
Z trudem, męstwem i hartem — była ciężka sprawa!
Jedynak delikatny, przez matkę pieszczony,
Która stała nad dzieckiem nieraz z trwogi łzawa,
Na żadne niewygody nie zdawał stworzony.
Wyrosł wprawdzie szlachetnie, mając zacność ducha,
Lecz ciało wątłem było i wątłem zostało;
Była piękna lepianka, ale bardzo krucha,
Już hartu duszy Niebo synowi nie dało.
W zamian wnuki go miały, dzielny Janusz, Hania,
I młody trzpiot nasz Tadzio, bo wzięły go z matki;
Dziadek reszty dopełnił, chociaż Czesław wzbrania
Odwagi zbytnej dzieciom, lecz wpajał ją w działki,
Mężny dziadek, bohater, uczył radzić, znosić,
Do czynu ducha stroić, rozpaczą się brzydzić,
Wszystko sobie wywalczyć, rzadko innych prosić,
A nigdy z ludzkiej nędzy, ciemnoty nie szydzić.
Stasia, z wnuków najstarsza, najmniej była silna,
To obraz żywy ojca, a łzawe jej oczy
Wskazywały na miękkość; chociaż była pilna,
W ćwiczeniu duszy, ciała, — w marzeniach swych zboczy,
Czuje jakąś bezdusznosc, chorobliwy smutek.
Wzorowa wprawdzie matka, najlepsza i żona
Galińskiemu Janowi, który przybył z Rutek,
A kupił Opatowiec, lecz była zrażona

Uchwałami tu w Prusach. Jan był z Kongresówki,*)
Dziedzictwo zatem chwiejne, bo rząd go nie wspierał;
W sejmie nawet już często wygłaszano mówki,
Tyczące wydalenia, ztąd lęk jej przybierał
Pewną, mocną podstawę, która smutkiem zionie
Na cały dom Skalińskich... i dziadek się wzruszył, —
Chciwie słuchał dziś wieści, blada twarz mu płonie
I żarem dziwnych myśli swą głowę znów suszył:
»Może Jana wydała z granic państwa tego,
A Stasia z troski jeszcze chorować gotowa!
Opatówiec przepadnie, chleba szukać swego
Daleko przyjdzie wnuczce, to sprawa nie nowa!«
Wreszcie listem Janusza rozweselił czoło:
Młodzieniec pisał mądrze i przytem swobodnie,
Przyszłych swoich już czynów ponakreślał koło,
A łącząc wiedzę z pracą, sposobił się godnie.
Kończył kursa najwyższe, pragnąc goić rany
Chorego społeczeństwa — i ciała — i duszy;
Kochał lud nasz zarówno jako możliwe pany,
Bo wcześniej pychę hardą przytłumił i kruszy.
Matka, widząc iskierki, płomień podniecała,
W zapale rosło chłopię, wróżyło szermierza;
Wszelką wyższość duchową Łucja polecała,
W Januszu swoim zawsze widziała rycerza!
Tadzio trochę był trzpiotem, zresztą bardzo młody
Dziesiątą kończył wiosnę, lecz zapal miał brata,
Może nawet gorętszy, czyniąc nieraz szkody
Z zbytecznej drażliwości, — przyczyną tu lata.
Właśnie skończył swe lekcje, opadł dziadka w sieni,

*) Z Królestwa Polskiego. Nazwa »Kongresówka« pochodzi od kongresu Wiedeńskiego.

By dzisiaj zwołać działwę i mustrę urządzić,
Przytem wdzięczna twarzyczka cała chłopca mieni,
Z żywości swojej pragnął i trochę pobłądzić:
Sypnąć parę kułaków, w prawo, w lewo, zgóry,
I zwalić kilku Turków drewnianą szablicą.
Dojrzał nagle na czole dziadka czarne chmury,
Więc schylił głowę kornie i nakrył tablicą,
Którą wręczył guwerner, pełną zadań nudnych.
Skaliński z myślą wnuka w tej chwili się zgodził:
»Tadzio, widzę,« — zawołał — »wraca z lekcyj trudnych
I chciałby, żeby dziadek to życie osłodził!«
Chłopiec skinął z uśmiechem; dziadek Wicka woła
I każe z Oporowa zgromadzić chłopięta,
Potem wnuka pogłaskał, dotknął usta czoła:
»Więc przynieś, Tadzio, szablę i szykuj rączęta.«
Wkrótce całe podwórze zaroilo mrowiem,
Rozdano chłopcom laski, drewniane szabelki,
Dziadek stanął w pośrodku, odżył świeżem zdrowiem,
Ustawił chłopców rzędem, a Tadzio był wielki,
Wielki, sławny Chodkiewicz, który grzmocił Turka:
Więc okiem zmierzył wojsko i mustrę wpierw sprawił,
Przyczem niby chorągiew powiewała burka,
A w oczach jaśniał zapal, widocznie się bawił.
Wicek Turków prowadził, Tadzio wojsko swoje,
A poszli tajną drogą, stanąwszy w ogrodzie.
Mroźny wiatr im dokuczał, śnieg utrudniał znoje,
Lecz męstwo rozgrzewało, więc żar był na lodzie!
Wicek ruszył znienacka, napadł Tadzia śmiało,
Gdy tenże ugrzązł w śniegu z niewielkim oddziałem.
Turek byłby zwyciężył, byłby wyszedł cało,
Lecz Tadzio krzyknął »ognia!« — więc z męstwem nie małem
Ręce jęły gorliwie robić śnieżne kule

I gradem zasypały Turkowi żołnierza!
Dziadek cały promieniał, patrzył w Tadzia czule,
Lecz chłopiec jeszcze więcej pognać zamierza.
Wicek cofnął swój oddział, szukał wyjścia chytrze,
Udając znużonego, lecz Tadzio nie wierzył.
»Czekaj,« — w duchu pomyślał — »żołnierz oczy wytrze!
I śmiało ruszył w pogoń, a w Wicka wymierzył.
Pasza mężnie się bronił, Tadzio dopadł z boku
I walił Turka śmiało. Zawrzało jak w boju!
Dziadek stanął w pośrodku przyspieszywszy kroku,
A widząc dobre chęci i wiele tu znoju,
Sprawiedliwie pochwalił Wicka mądre plany
I Tadzia radność, męstwo, na przykład postawił.
Później sztandar obejrzał cały poszarpany,
Pogłaskał chorążego, że dobrze się sprawił.
Mały Jędrus grzązał w śniegu kulakami bity,
Lecz sztandar trzymał w górze, śpiewając wesoło.
Braciom wlewał otuchę, chociaż śniegiem zmyty,
Kulami zczzerwienione miał całe już czoło.
Dziadek wrócił do dworu, diatwa biegła drogą
Z siłami wzmocnionemi, z uśmiechem na twarzy,
Mała taka rozrywka stała grą się błogą,
A Jędrus w swojej głowie o sławie już marzy.
Wszakże dziedzic pochwalił jego piękne czyny!
O, chciałby dzielnym zostać, najlepszym tu z wioski...
Jakże mile być dobrym, widać zaraz z miny,
Bo zbrodzień zawsze straszny, nie obraz to Boski. —

Słońce gasło powoli, zapalając chmury,
A barwy purpurowe rozłącza szeroko,
Złotem tkając te mroki, które kryły mury,

Obszerne, pola, drzewa, jak sięgnie tu oko.
Hania sunie saniami w towarzystwie dziadzi,
Podziwia piękność zimy, zaczepia i brata;
Tadzio bardzo poważny, wzrokiem tylko radzi,
Trzymając silnie lejce, nie biorąc nic z bata.
Kuce, krępe bułanki, idą bardzo zwawo,
Widocznie pilna ręka nie skąpi im ziarna,
Wicek z Tadzkiem je pasał, mając wolne prawo
Zabrania owsa, siana, więc praca nie marna.
Wieczor prędko zapadał, mróz się bardziej sili,
Na niebie powyiskrzyła już gwiazdy srebrzyste,
Ale zimna nie czuje Hania w tejże chwili,
Do dziadka przytulona oczęta swe czyste
Zwraca pełne miłości: starca postać święta,
Prorocza, legendowa, tak wielbi go szczerze,
Ciągłe myśli doń zwraca, przeszłość w starcu zdjęta,
Ta przeszłość droga sercu... pojęła w tej mierze
Dziadka życie i czyny, niby doświadczona,
Dojrzała główką wcześniej pod jego rozważę.
Starzec w zamian zapragnął, żeby uzacniona,
Gorąca dusza Hani, przejęta powagą,
Rozpoznała co zacne w każdej ziemskiej sprawie...
I przylgła z braćmi swymi do wielkich tych czynów,
Które niosąc wysoko społeczeństwo w sławie,
Z nas samych robłą prawych, szlachetnych tu synów!
Matka ziemia nas rodzi, chowa, żywi, nosi,
Czem w zamian karmicielce odwdziaczyć się mamy?
Trochę tkliwej miłości Matka nasza prosi,
Za tyle dobrodziejstwa, czy serca nie damy?
Ona ciebie tu żywi — w zamian nakarm braci,
Tą zdrową, swojską strawą, co tobie już dała!
Ona ciebie tu chowa — niechżeż nic nie straci,

Co w serce zaszczepiała, co w duszę wkładała!
Prowadź młodszych w jej wierze, w cnocie,
[w obyczajach,
A nawet wróg zacięty uchyli tu czoła!
Zacność duszy zwycięża w oświeconych krajach,
Zaś podłość w barbarzyństwie o berło zawoła,
Szydzi z uczuć najświętszych, składa hołd przemocy!
Europa nasza przecież pod korzec nie chowa?
Światła jasną pochodnię pali w ciemnej nocy,
W Sahary głębie nawet ją ponieść gotowa! —
Ale wróćmy do dziadka... nieraz umysł zniżał,
Godności swojej starca zapomniał wśród dzieci,
Działał jednak rozmyślnie, żeby młodszych zbliżał,
Nadzieją dusze poił, co życie ukwieci.
Straszne noce bez gwiazdy... człowiek ciągle błądzi,
Nie mogąc znaleźć drogi w przepaści zapada!
Życie nieraz straszniejsze, jeśli ciemność rządzi,
Gdy gwiazda nasza jasna — nadzieja — nie włada!
Ona karmi nam ducha, daje cel działania,
Otrząsa z pleśni ziemskich, do życia pobudzi,
Gnuśnych leczy z lenistwa, płoszy ćmy konania,
Wyrabia bohaterów i zdrowych tu ludzi.
Dziadek w myślach utonął, Tadzio śmignął batem,
Zatoczył końmi koło, przed gankiem osadził:
Topolina szlachecki, mały dworek latem
W zieleni tonąc cały, wypocząć tu radził;
Nęcił cieniem podróżnych, mieszkańcami wabił,
Bo zacne mieli serca i dusze gorące;
Śnieg kryjący go wałem znacznie wdzięk osłabił,
Gdy ziemię zbliżył z dachem, a okna tonące
W lśniących lodu kryształach bajkę dały w wzorze
O jędzy starej dzieciom. — Wtem psy już wypadły,

Swojem głośnem szczekaniem znak już dały w dworze,
Z radości skacząc, ledwie przybyłych nie zjadły.
Wyszła pani Helena, panny z Topolina:
Najstarsza Wanda, Felcia i Lodka i Iza,
Wreszcie Kazio jedynak, tęga w chłopcu mina,
W kędziorach ciemnych głowa, a buzia jak pyza.
Zaraz z Tadzkiem pobiegli ulokować konie,
A panny Hanię wzięły, by rozgrzać i bawić.
Wkrótce ogień w kominku najweselej płonie, —
Skaliński z Topolińską już począł znów prawić,
Dawne dzieje wspominać... potem pytał zcicha
O wdowy gospodarstwo, bo sama rządziła.
Pani domu jest szczerą, mówiąc prawdę wzdycha,
Bo jakże milczeć tutaj, gdy głowa radziła
W doświadczenie bogata, serce pełne chęci
Dopomódz zawsze pragnie i radą i czynem.
Wiedział zresztą już sąsiad, co się tutaj święci,
Więc niby tylko zajrzał pokrzepić się winem,
W rzeczy samej zapragnął fundusz złożyć wdowie,
By dalej w Topolinie pędziła swe życie.
Streścił wszelkie potrzeby w delikatnem słowie
I podał grzecznie pani paperek tu skrycie,
Wartość jego tysiąca liczbę określała.
Wzruszona Topolińska pomocą sąsiada,
Cisnąc dłoń mu serdecznie, twarz swą łzami zlała,
Tak nagle łaska Nieba na biedną tu spada...
Chciała nawet już pisać, ale wstyd hamuje...
»To Boskie oko czuwa! — Skaliński zawoła,
Ojciec przecież w Niebiesiech z swemi dziećmi czuje,
Nagradza miłość gleby, rozchmurza te czoła,
Których troską ta ziemia... Ciężkie, ciężkie czasy!
Borykać trudno mężom z wszelkiemi przykrości,

Trudniej jeszcze kobiecie! W Ameryce lasy
 Ludowi rąbać każą, by zyskać tam włości;
 Bory gorsze karczować tutaj każdy musi,
 Bo walczy z szowinizmem i dziwną kulturą,
 Z nienawiścią rasową, która wolność dusi,
 Choć pragnie siebie nazwać postępu już córą.
Prawy postęp daleko! Prawa wyjątkowe
Nie dzieci światła przecież, to liche podrzutki
Zacofańców, co w gniewie tracą jasną głowę,
A przykre wytwarzają z swych czynów tu skutki!
 Skończył słowa Skaliński, — weszły wieńcem panny,
 Z weselem w pięknych oczach, na ustach z uśmiechem.
 »Która tutaj z panienek taki ptaszek ranny?« —
 Zapytał żywo starzec, podając z pośpiechem
 Kilka krzeseł panienkom. — Lodzia wszystko zdradza:
 »To Wanda lubi patrzeć, jak dzień nam się rodzi,
 Razem z rannem świtanie bierze moc jej władza
 I wspólnie z złotą gwiazdą potęga zachodzi.
 Wanda jeździ po polu, w wszystkie kąty wpadnie,
 Obejrzy bydło, konie, zaradzi gdzie trzeba,
 Potem sprawy załatwia, pisząc bardzo składowie.
 Dopóty Wanda radzi, nie zbraknie nam chleba!«
 Niby trochę dwuznacznie Lodzia podkreśliła,
 A ząbki swoje szczerząc rozśmiała się żywo.
 »Póki Lodzia gotuje«, — Wanda w odwet biła,
 »Tak żyzna bywa zupa, że chodzi się krzywo!
 Felcia nabiał dogląda, razem z kury pieje,
 Chowając mądrze ptactwo, a Iza nam wzdycha,
 Krojąc suknie z trenami — w habit siebie wdzieje,
 Pokorę zalecając, — bo powłok — to pycha!« —
 »Wreszcie Wanda za uszy Kazia czasem bierze«, —
 Zawoła rażno matka, — »więc podział jest pracy!«

»Widzę, widzę, podziwiam!« — mówi sąsiad szczerze —
»Że praca pięknie kwitnie, bez wszelkiej tu płacy!
Płacą jednak jest humor, raczej myśli jasność,
Płynąca z wewnętrznego spokoju cnej duszy.
W czarnych życia godzinach ducha taka krasność
Jest bronią bardzo trafną, bo rozpacz pokruszy.«
Rozmawiano wesoło, poruszono Troki;
Skaliński prosił panią, by była z córkami:
»Pora,« — mówił — »zabawy, hrabia robi kroki,
By łączyć więcej stany, nie mogąc z panami
Tylko sobie obcować, bierze szersze koła.
Olimpia przytem pragnie i trochę zabawy,
Wiktor radby wygrywał, przeto ludzi woła,
A Henryk zacny przecież nie psuje im sprawy.
Hrabia August, choć stary, lubi młodość w twarzy,
A zresztą w domu miły, — Klotylda — o Boże!
Nocy pewnie nie dośpi, tryumf pewny marzy,
Bo wiosen liczy świeżych — pięćdziesiąt już może!«
»Jaki dziadzia złośliwy!« — zauważy Hania,
Lecz prędko rękę starca do ustek już ciśnie.
»Jeśli pustki są w głowie, piękny kwiat kochania,« —
Skaliński powie wnuczce — »jak kryształ rozprysnie!
Klocia była urocza, ale przytem dumna,
Nie dosyć było hrabi, książęcia się chciało!
Z winy panny urosła w pojedynku trumna...
A odtąd dużo szlachty o Klocie nie dbało.
Lekkość taka umysłu winą wychowania,
Po tylu latach jeszcze lekkością zostanie!
Klocia dzisiaj nie głosi poważnego zdania,
Bezduśnej tylko lalki jej życie, działanie.
Prymadonną opery była Kloci matka,
A wdzięki słynnej Włoszki tryumfy zbierały.

Zkądże, pytam, jej dziatwa, hrabi skromna chatka,
Codzienna nuda życia smakować jej miały?
Dzieci bony chowały, kierowały zdania
Francuzki młode, płocze, ztąd próżność, ciemnota.
Hrabia August dziś czuje braki wychowania,
Więc kształcił pilniej dzieci... lecz bruździ ślepotą!
Błędy rodów zatrują przyszłe pokolenie:
Wszak Wiktor gracz nielada, Olimpia jest próżna,
Tylko Henryk udatny! Może zdanie zmienię...
Opinia jeszcze zawsze o hrabi jest różna.«
Hania pilnie słuchała, nawet oczki mruży,
Jak gdyby w pamięć sobie powbijać to chciała.
Felcia daje herbatę, chętnie wszystkim służy,
Stawiając ciasta, owoc, — i bawić umiała
Gości piękną rozmową, czyta bowiem wiele
I myślą głębiej sięga, a postać jej wiotka
Wszystkich zwolna pociąga, — mimo, mówiąc śmieie,
Nie była piękną wcale; lecz Łodzia, chichotka,
Miała w twarzy nie mleko, ale puch i róże,
A nasek troche orli, w oczetach fijołki.
Chociaż młodość dziewczęcia nioła z sobą burze,
Szukała zawsze wzrokiem marzenia wierchołki.
Wanda tryska dowcipem, mądra w słowach, w czynie,
Lecz wzrostem niższa znacznie, — a skromność
[w mniemaniu,
Przytem dobroć prawdziwą, miała Iza w minie,
Ofiarność wielką duszy już w wczesnem zaraniu.
Była szczupła i drobna, przeciwieństwo matki,
Bo pani Topolińska to tuszą grzeszyła.
Panny syte rozmowy, oglądały klatki,
Roboty ręcznej Kazia, a Hania chwaliła.
Drzewo białe i cienne, koronkowo rznięte,

Tworzyło domki piękne, w szwajcarskim modelu.
Kazio ptasznik był sławny, ptaki w sieci wzięte
Bawiły całą zimę; używał fortelu,
Żeby trochę rozerwać zimy nudne chwile —
I wiosną myśli poić... więc przybrał jadalnię
W ptaszków piękne gatunki: w kosy, pliszki, gile,
Kanarki, szczygły, wilgi; urządził bawialnię.
Przytem klatki zawiesił pośród kwiatów bujnych
Acalij, begoń, dracen — w odstępach, a składnie.
Dużo było zachodu, dużo ócz też czujnych,
Zaprzeczyć jednak trudno, że było i ładnie.
Kazio wskazał gniazdeczko zręcznie ulepione,
Tuż obok drzwi wchodowych:—»Jaskólek mieszkanie,« —
Mówił pełen uśmiechu — »ptaki oswojone
Co zimę gnieźdzą tutaj, widzicie je, panie?«
Nagle mała ptaszyna zatoczyła koło,
W pogoni druga sycząc gwałtownie wypadła,
Długim swoim ogonkiem musła Kazia czoło,
Okrucy chleba z dłoni w przelocie pojadła.
»Jaka piękna zabawka!« — Hania w dłoń uderzy —
»O dziadziu! ptaszki takie to warto połapać!«
»Jakże, moja Hanusiu,« — dziadek wzrokiem mierzy,
»Pogodzić chęci twoje?« — tu począł się drapać,
Ręką białą, kościstą, tonąc w siwych włosach —
»Wszak sama lubisz wolność? Oddychasz wolnością!
Klatka, widzisz, — niewola — w ptaszków życiu, losach...
Nie pomna zacnych zasad... naznaczam z przykrością...«
Hania słucha uważnie, nagle zapłonęła,
Głęboko w oczy spojrzy swych myśli mistrzowi,
Z miłą starcu pieśczętą rękę jego wzięła,
Złożywszy pocałunek, przymierze odnowi:
»Życie dziadzi szlachetnej obraz daje drogi,

Nie chybię wychowania i wstydu nie zrobię!
Odtąd będę szanować, chociaż ktoś mi wrogi,
Tę wolność osobistą, bo cenię ją w tobie!
Kmiotek, pan, lub mieszczanin, jednym wszystko będzie,
Potrzeby jego pojmem, zrozumieć dążności,
Niechże każdy swobodnem życiem cieszy wszędzie!« —
»Swoboda owoc piękny rozumnej wolności,« —
Chwycił dziadek za słówko — **»nieraz bywa zdradną
Dla hardych wichrzycieli, burzących porządek!
Wolność, także swoboda, wtedy tylko ładną,
Gdy zacność idzie w parze i zdrowy rozsądek.«**
Skalińskiego uwagi zagłuszyły pieski,
Z natury bardzo czujne, poczuły przybyszów.
Dzwonki Łodzianki słyszała: — »Pewnie pan Daleski,
Poznaję jego sanie, tak — konie są z Prysów.« —
Rzekła bardzo wesoło, oknem patrząc pilnie —
»To »Stany« przyjechały, dokładnie poznaję,
Roman, Artur i Tomasz! Księżyc świeci silnie,
Rozróżnić wszystkich można. — Rumieńców dostaję!«
Szepnie cicho Feluni — »W kącik idę cenny,
Powitaj miłych gości, ty blada, jednaka.
Pomnij tylko, siostruniu, Artur bardzo zmienny,
A Tomasz w swojej głowie ma trochę robaka!
Roman nieco łysawy, pilnuj serca, Fela!«
Trysnęła śmiechem Łodzianka i śmiały się panny,
Dziadek palcem pogroził: — »Warte pań wesela
Te zacne nasze »Stany«! lecz który tu ranny
Wzdycha pilnie do ślubu?« — »Tylko pan Daleski,
Najstarszy wiekiem przecież!« — rzuciła chichotka —
»Dźwiga krzyżyk już czwarty...« — W sieni skrzyły deski,
Rozwarło drzwi salonu — w kąciku już Łodka.
Roman, jako powaga, wkroczył pierwszy w progi,

Podkręcał ciemny zarost, postacią wyzywał,
Klejnot dźwigał rodowy, bardzo jemu drogi,
Zasługą dziadów wzięty; — a drugim przybywał
Długi, cienki blondynek, Artur Szklicki młody,
Mieszczanin z pochodzenia, a prawnik z zawodu;
Trzecim Tomasz Budziszek, lekarz czarnobrody,
Wychowan w chacie wiejskiej, wśród ludu za młodu.
Postać niska, barczysta, szorstka w ruchach, w słowie,
Lecz w zamian Artur młody uprzejmy i miły,
Szukał wzrokiem panienek. — »Grzeczność tylko powie!
Myślała w duchu Lodzia — więc oczki się tliły,
Wyszła prędko z ukrycia, dając rączkę składnie.
Figlarke Felcia z boku za fałdy szarpnęła,
Usta zlekka ściągając: »Ładnie, Lodziu, ładnie,
Podeszła siostrę zcicha, witanie mi wzięła!
Życie z gośćmi wstąpiło w progi Topolina,
Dowcipem podsycone i Wandy i Łodzi.
Artur strzelał oczyma, kłopotliwa mina
Zdradzała chwiejność serca, więc Tomasz go chłodzi:
»Dużo,« — mówił — »wyboru trudy tylko daje,
Arturze, chyba w Turka przenicuj się cały!
Wierzaj z ziemi Mahomet zgarnie ciebie w raje!
Apollo, tobie przecież i świat ten za mały!
Artur oczy przymrużył, gniewnie ściągnął czoło:
»O radę chyba twoją nie zgłoszę się wcale!
Mebli starych brakuje, goło wkoło, goło
I pusto jako w chacie! sam siebie ocale!
Roman ucha nadstawił: — »Cicho, proszę, cicho!
Już znowu spory nowe, ja meble mam stare,
Klejnot piękny, rodowy! Niechże weźmie lichy!
Lecz Toma bronić będę, bo **młodzian ma wiarę**
W przyszlą dolę człowieka... Artur, pomnij, proszę,

Najmłodsze nasze dziecię — to lud nasz kochany!

»Wiwat, panie Romaniel zdrowie stanów wznoszę,

Mieszczanie, kmiotki zacne, niech żyją i pany!

Mówił Józef Skaliński, biorąc kielich w rękę:

»Ziemianin z pana zacny, bo zgodę im radzisz!»

»Jakże w własne swe ciało saczyć jadu mękę?» —

»Szlachetnie jako starszy, że młodszych prowadzisz.

Niechże młodzi nam bracia wszystko zarzucają,

Lecz jedno przyznać muszą, że z serca nam wzięli

Światło, postęp, świadomość, wszystko cne, co mają,

To winni szlachcie starszej; — więc ojców w niej

[mieli,

Ojców dbałych o przyszłość syna jedynego!

Gdy starzec w grób się chyli, spoziera po świecie,

Żeby znaleźć następcę swojej czci godnego...

Panowie, znacie dobrze, dokładnie to wiecie,

Jakim kosztem świadomość doszła naszych chatek!

Kochajcie zatem starszych, bo miłość wam dali,

Nieśli nieraz otuchę w dusze waszych matek,

Przyszłością swoją światłą was młodszych

[nazwali!»

Lodzia trąca z Tomaszem: — »Zdrowie Benjaminka!»

Zazdrości Artur pełen, wystrzelił jak z procy:

»Widzę tobie, Tomaszu, idzie w usta ślinka,

Lecz próżne twoje chęci, nie zerwiesz owocy!»

»Może prędzej niż sądzisz, adonisie gładki,

Fortuna kołem toczy... najbliżej Romana...

Szczęśliwi! zawsze pochłania jakieś wielkie spadki,

A łatwo rozkosz znaleźć, gdy kieszeń wypchana!»

Roman spojrzał na Wandę, nagle spochmurniała,

Więc targnął silnie wąsy, — nie mogąc jej zdobyć

Swego złota mamidłem! Tyle wdzięku miała

W dziewicy siła woli, że trudno się obyć
Daleskiemu bez Wandy. — Tomasz znając chęci
Z pomocą zawsze spieszył, lecz milił się Łodzi;
Artur zawsze wrażliwy wszędzie siebie wkręci,
Do Felci cicho wzdycha, do Łodzi przychodzi,
Albo z miłą Hanusią rozpoczyna spory,
Rozbiera dzieła nowsze, poglądy wyszydza,
Twierdzi bardzo stanowczo, młody autor chory!
Dziewczęciu chęci wiedzy zupełnie obrzydza.
Artur szerząc swe myśli, spostrzegł w Hani smutek,
Tak była światła chciwą, tak wiedzę kochała!
Każda ostra uwaga miała przykry skutek...
Potędze czystej wiedzy tak bardzo ufała!
»Czemu,« — rzecze nieśmiało — »autor burze sieje?
Spokoju ludzie pragną i Bogu jest miły!«
**»Mamy ludzi tygrysów, z których płomień ziele,
Jak z chciwej paszczy smoka! Wyteżą swe siły
Żeby stargać porządek... ranią zębem duszę,
Wszczepiając zaród jadu... zatruci już sami...
Szczęścia innym zazdroszczą! Wyznać pani muszę,
Ostrożnie czytać trzeba... narkotyk omami.«**
Artur mówił poważnie, Hania pilnie słucha,
A Tomasz uchem strzyże, by łąpać Artura.
Widząc Łodzia zamiary, cichym śmiechem bucha,
Tomasza chęci wzmacnia, by czepił się pióra,
Jędrną rzucił odpowiedź w felietonie »Głosu«,
Ludowców znanem piśmie, lecz lekarz neguje:
»Pieprzu więcej nie dodam, znany smak mi sosu!
O, dużo zacnych planów to pismo nam psuje!«
Słyszał dziadek rozmowę, wtrącił słowo swoje,
Wyraził radość szczerą z rozumnej uwagi:
»Czemu pismo to daje tylko ludziom znoje,

Krańcowość głosząc wszędzie? Czy sposób ten blagi
Czytelników pomnoży? Mylne, zdanie mylne,
To jawne wicherzycielstwo, wybuchy choroby!
**Prądy wsparte rozsądkiem tylko zdrowe, silne,
Lecz prądy takie idą nie z jednej osoby!**
Tutaj jeden redaktor myśli wpoić ducha,
A ducha zatrutego w tysiącach już ludzi!
Szczęściem wielu jest mądrych, mało który słucha,
Krańcowość zbytnia zawsze szyderstwo obudzi!»
Dziadek kończył z uśmiechem: »Dziwna dążność »Głosu«!
Poważnić braci swoich! on wszczepia nienawiść!
Każe gardzić szlachcicem, jakby tego ciosu
Nie było dosyć w sercu! więc budzi tu zawiść!
**Szlachcic, kmiołek, mieszczanin, wspólnie dążyć winni
Do jednych zacnych celów — dobrobyt, oświata!**
**Jeśli wszyscy w tej myśli będą zawsze czynni,
Nie będzie ślepej złości, lecz miłość dla brata!» —**
Pani domu, najstarsza z kobiet w Topolinie,
Poleca trójjprzymierze obecnym tu »Stanom«.
Nagle każdy sposepniał, skąpał wąsy w winie...
Umilkła zatem pani, nie radząc już panom.
Zwolna znikła swoboda... widząc dziadek zmiany,
Artura uśmiech krzywy, Tomasza przekąsy,
Marsy dziwne Romana, zwrócił wzrok do ściany
Na zegar bystro patrząc, podkręcał swe wąsy,
Podał rękę domowym, panom sztywno skłonił
I wyszedł szukać sani, a różne wnuczęta
Biegły szybko za dziadkiem. Roman wszystkich gonił,
Poważną postać starca pożegnać pamięta.
Artur został w salonie, Tomasz również siedział,
Wysoce siebie ceniąc, nie bili pokłony
Znanej z czynów starszynie; Roman tylko wiedział,

Że oddać cześć godności jest każdy zmuszony,
Jeśli pragnie się łączyć z gronem światłych ludzi
I dobrze wychowanych — niech dumę hamuje,
Raczy innych uwzględnić, trochę siebie trzusi,
Grzecznością wobec starszych niech młodszych buduje!
Gości wyjazd domowych skupił w jedno grono,
Uwagę matka czyni: — »Ha, zgody nie było,
Nigdy pewnie nie będzie... szarpią własne łono!
O szczęściu, dzieci moje, nie będzie się śniło!
Chwile dzisiaj ostatnie dużo myśli rodzą...
Dojrzałość stanów młodszych tak bardzo daleka!
Chociaż wiedzy postępy czoło w trosce chłodzą,
Lecz w sercu sączy rana... i bólem dopieka!« —

Pieśń III.

W Troce.

Pałac w Troce spoczywał jeszcze w nocnej ciszy,
Gdy Henryk rzucił łoże — on jeden był czynny,
Zatlił szklaną latarkę, stanął w okna niszy
Słuchając bardzo pilnie. Gospodarz był słynny,
Dzisiaj więcej doglądał dworskiej służby sprawy,
Bo w Troce pełno gości, a pani nie było.
Ciotka, panna Klotylda, pije w łożu kawy,
Do pierwszej siostra sypia, więc jakby nie żyło
Gospodarstwo kobiece. Ojciec, Wiktor młody,
Wstawali również późno. Gdy Henryk powracał
Z rannej swojej kontroli, lekko tykał wschody,
Bo wszyscy snem ujęci, — więc nudy swe skracał
W pięknej, jasnej komnacie, biblioteką zwanej;
A miała cztery okna, fotele i stoły,
Była zdobna freskami w ścianie połamanej,
Bo z wieży formę wzięła, zaś środek jej goły
Pyszna grupa zdobiła z dracen ustawiona
Z posągami Apollina; fotele, portiery,

Z szmaragdowej materji — złotem podsycona —
Klotyldy wybór świeży paryskiej manieri.
Każdy przedmiot w pałacu zdala sprowadzony,
Wiktor, siostry stroje, Paryżem pachniały.
Paryż nawet u ojca wielce ulubiony,
Bo zbyt pięknej Francji wspomnienia mu dały.
Hrabia August w stolicy spędził młodość swoją,
A często tęskne serce z powrotem się rwał!
Gwary miasta, zabawy hrabi nudy goją —
I dzisiaj swoją starość tam spędzić się chciał.
Henryk wszystkich hamował, przyszłość widział jasno:
O, tylko skromne życie ratować ich może!
Ojcu, ciotce, rodzeństwu, było w Troce ciasno,
Lecz Henryk wierzył silnie, że praca pomoże,
Przetrwać klęski pozwoli, zrodzi stanowisko,
Utrwali byt mu pewny i całej rodzinie.
Jako młody cne wzory znalazł bardzo blisko,
Józefa Skalińskiego w swej myśli nie minie.
Nieraz życie rozbierał starca w młodej głowie,
Podziwiał hart i męstwo — i miłość do pracy,
Dążność wielce szlachetną poznał w jego słowie,
Ofiarność serca chętną bez wszelkiej tu płacy.
Widział w starcu zasady prawe jako złoto,
A silne jako skały — i wiedział, że Hania
Pilnie zasad tych słucho, omijając błoto
I pleśni świata tego... więc czynił starania,
Żeby ująć gołąbkę w puchach jeszcze matki!
By taką czystą posiąść, jak lilia w ogrodzie!
Wstrętem zionął do kobiet, których celem szmatki,
Zalotność lekka, podła, co szczęściu w przeszkodzie!
Dzisiaj Hanię zobaczy, dzisiaj bał jest w domu...
Pomyślał Henryk, siedząc nad książką w fotelu.

Nagle czoło pochylił, jakby pełne sromu,
Bo wspomniał ojca swaty... ha! w tymże to celu,
Goście dalsi zjechali — Rodryk, Cezar, ona,
Amelia... baronowa?! bo Klocia kojarzy!
Tylko biała Hanusia będzie jemu żona!
Amelia? Jaka dziwna! niech ojciec nie marzy!
Błyszczący wprawdzie fortuną, szykiem, nawet wzrokiem,
Lecz zbytnia śmiałość razi... narzuca się cała...
Zmysłowością poluje, wzywa śmiałem okiem,
A tysiąc zaklęć dziwnych na ustach już miała.
Henryk zerwał się z miejsca jakby odurzony,
By zbudzić myśli jasność... już stanął na progu,
Żeby ojcu tłumaczyć — nagle zatrwożony
Powstrzymał swoje kroki, — bo hrabia miał w rogu
Swoje własne komnaty, — obok spały damy,
Rozmowę słyszeć mogły, — a Klocia zamierza
Siostrze ująć Rodryka! Alboż radę mamy?
»Ten Rodryk przyznać muszę ni z mięsa — ni z pierza!«
Rzucił Henryk półgłosem, topiąc wzrok w oddali —
»Przeżyty salonowiec, a sama fortuna,
Czyli szczęście da siostrze? Albo gmach ocali,
Co szybko w przepaść zdąża, szukając całuna?
Drugi projekt ciotuni — Cezar siwobrody —
Już wdowiec, ale hrabia, milioner z zawodu;
Matka rodem semitka, ojciec robił szkody,
Ogromne w społeczeństwie! bo lichwiarz był z młodu!
Taki żywioł pod dachem ojciec biedny gości...
I dźwiga sprawę swoją! — Olimpia się łudzi,
Szuka blasku w tych cieniach... kał to, kał ludzkości!
O, kiedyż jasny pogląd nas wszystkich przebudzi!
**Jedna praca ocali, jedna dźwignąć może,
Lecz zbytki skrócić trzeba, szulerstwa zaniechać!**

Wiktor przegra fortunę! Boże, wielki Boże!
Olimpia tylko wzdycha, by w podróż wyjechać.
Ojciec pragnie Paryża, ciotka chęci wspiera,
Wspomniała Rodrykowi, że Francję odwiedzą.
Dziwny ból mię ogarnia, w sercu lęk się zbiera,
Zachcianki takie naszych, czy ziemi nie zbiedzą?« —
Henryk mierzył komnatę szerokimi kroki,
Obszerne myśli jego objęły już koła,
Wreszcie program nakreślił: Pracą podnieść Troki,
Przed Hanią tylko białą uchylić tu czoła.
Ona była roztropna, mozoł ukochała
I ciszę wiejskiej chaty, nie była zbyt można,
Ale skromność ceniła, glebie miłość dała,
Odwagę jego poprze ta Hania tak różna!
Promień jasny rozchmurzył ciemne oczy hrabi,
Wspomnienie blaski rzuca na profil łagodny.
Henryk zarost swój gładzi, myśl go jakaś wabi,
Obliczu dając wyraz tak bardzo pogodny!
Postać hrabi szlachetna miała czar dwojaki:
Poważną bardzo będąc majestat głosiła,
Ale jeśli potrafił temat uczuć jaki,
Tak wielkiem ciepłem wyraz oblicza zmieniała,
Jakby słońce z poranka zapaliło chmury...
Więc ciągnie oczy innych i kochać się każe,
Przytem dziwna szlachetność biła z czoła — zgóry —
I jakaś myśl poważna, co drogi ukaże...

Pierwsza biła na wieży, kamerdyner siwy,
Nazwany Mateuszem, ustawiał śniadanie,
Lokajczyka poprawiał, z serwet robił dziwy,
Bo goście byli znaczni, więc trzeba podanie

Z wielkim szykiem urządzić, hrabia żądał tego.
Mateusz, znając pana, dogodzić się stara,
Ale szczerze szanował tylko Henia swego,
Tak w myśli twierdził sługa, a tkwiła w tem wiarą
Henia swego na ręku nieraz przecie nosił
I konnej uczył jazdy na żwawym kucyku,
Zawsze jego rozumy całej służbie głosił,
Dodając przytem pilnie, że zalet bez liku
Młody hrabia posiada, — będzie dziedzic tęgi
O młodszych mało prawił, lecz myślał za wiele
Wiktor, twierdził stanowczo, skręci kiedyś kręgi,
Olimpia z cierni życie na pewno uścielel —
Skończył wreszcie nakrycie, lokaj stawiał krzesła,
A ciężkie były bardzo z wysoką poręczą,
Kiedyś jeszcze te meble żona hrabi wniosła,
Stylowe, pełne rzeźby. — O, goście umęczą,
Trzeba pilnie przystawiać, nadskakiwać wszędzie,
Mateusz w służbie steran, lecz lokaj pomoże.
Nagle drzwi się rozwarły: — »Alboż zaraz będzie
Śniadanie, Mateuszu? Czy wstają już może?«
Pyta panna Klotylda, stojąc w progu sali.
Mateusz czoło schylił przed siostrą hrabiego:
»Wszystko,« — mówił — »gotowe, goście także wstali.« —
»Olimpię tutaj poproś i hrabię starszego.« —
Sługa spełnił rozkazy, ciotka okiem rzuci
W najbliższe, duże lustro, poprawia też włosy
W karby sztuczne ujęte, pukiel jakiś skróci
I jęknie smutnym głosem: — »Ha, ciężkie to losy,
Jeśli młodość przeżyła! zmarszczki, bladeść, doły!
Tak, doły w oczach straszne! Niezręczna też Marta,
Zdała bije siwizna, chociaż barwę smoły
Kosmetyk włosom daje... dziewczyna uparta,

Zaraz przecież mówiłam: Równiej wcieraj włosy!
Lecz suknia ładnie siedzi, to fason paryski!»
Zwiedłą postać wygięła — wreszcie słysząc głosy
Od lustra szybko skoczy. — Już Cezar był bliski,
Sklonił bardzo poważnie dobrej tuszy postać,
Błysnąwszy wielkim łysem; a Rodryk wymiękły
Przyszedł później z paniami, musiał z matką zostać,
Przestrołę pilną dała... był trochę wylękły,
Chociaż grzeszył śmiałością; w zamian damy obie,
Amelia, baronowa, swobodą tryskały.
Weszła także Olimpia, chłodna zawsze sobie,
W postawie widać wdzięki, bo w ruchach jej tkwiały.
Chociaż profil był czysty — zbytnio posagowy,
Więc wygląd miała lalki, gipsowej figury.
Wiktor z siostrą pospieszał, włos swój bardzo płowy
Ustawiał ciągle w jeża i patrzył z pod chmury.
Żywy bardzo z natury trzpiotem bywał w domu,
Płatając dziwne figle, — więc Rodryk go lubił,
Wszakże w jego młodości także mało sromu?!
O, nieraz nawet Rodryk do niego się chlubił,
Ile ofiar już zdradził, ile przegrał w karty,
A Wiktor licząc ilość — zapragnął dogonić.
Jeśli podły występki bliźnim bywa wsparty,
To cnotę nasi młodszy już muszą przetrwonić! —
Hrabia August nareszcie przyszedł z starszym synem,
Pozdrowił gości mile, do stołu poprosił.
Lokaj chodził z herbatą, z kawą, z grzanem winem,
I bulion, czekoladę do woli roznosił.
Henryk bawił Amelię, jako starszy z rzędu,
Lecz krzywił nieraz usta i oczy przymykał,
Myślą błędził daleko, rzucał wzrok z urzędu,
A mimo własnej woli zmysłowość wytykał.

Pannę trochę uraził, ale gniew ukryła,
Bo Henryk dziwnie piękny, więc siebie hamuje,
Chociaż dawno na hrabię sieci założyła,
Niepokój jakiś w duszy od rana już czuje.
Cezar bawił Klotyldę, Rodryk pannę domu,
Naprawdę siebie siłą, w niej życie zapalał,
Panna rybą została mimo spojrzeń gromu;
A Wiktor tryumfował, że Rodryk przechwalał
Wszystkie swoje zręczności... baron wreszcie znudzon
Olimpię rzucił śmiało i ciocię zaczepił.
Chociaż w pilnych zabiegach, bardzo, bardzo strudzon,
Gasnące oczy swoje z potęgą już wlepił.
Klocia oczy spuściła, minki słodkie stroi,
Kibicią swoją chyli, kolorów dostaje,
Dziwne, — myśli — spojrzenie! wierzyć jednak boi,
Jest starszą, chociaż piękną, — więc zlekka już wstaje,
Gości dalej zaprasza, — lokaj drzwi roztwiera:
Parami dążą wszyscy i chodzą w salonie.
Klocię swoim ramieniem wdzięcznie Cezar wspiera,
Amelia w parze z hrabią jak świeca już płonie,
Wabi, śmieje, trzepoce, topiąc bystro oczy
W Henryka piękny profil, lecz młodzian sztywnieje,
Lodem zimna przenika. Przodem August kroczy
Z otyłą baronową, wspomina jej dzieje,
Które kiedyś łączyły wspólnie młode lata.
Olimpię wiedzie Rodryk i język znów sili; —
Ryba zawsze jest rybą, z szalem sił nie brata —
Spojrzenie Kloci rzucił i czule się mili. —
Lokaj przyniósł gazety, również, podał listy
Na srebrnej, małej tacy, przysunął fotele.
Henryk pannę posadził, podał list i mglisty
Wycofał siebie zlekka, bo inne miał cele:

Mateusza odszukał, pytał dużo, pilnie,
Wszak piąta blisko bardzo, czy obiad już stanie?
Okolica dziś cała zjedzie nieomylnie,
Wiernego prosił sługę, by robił staranie,
Obszedł wszystkie pokoje, sale, korytarze,
I czujnem okiem zbadał zabiegi kucharzy. —
»Będzie duży weselej! z Hanią pójde w parze!«
Przelotnie myślał hrabia i słodko zamarzy...
Nagle dzwonek pociągnął, weszła panna Marta:
Pokoje damskie zlecił urządzić wygodniej;
W nocy ogrzać cieplarnię, zimą dużo warta,
Jest obok sali głównej i zawsze w niej chłodniej,
Wytchnąć można po tańcu, miała otomanki
I wiele rzadkich roślin. Wtem myśl go przejęła,
Wyjął spiesźnie zegarek: — »Posłać muszę sanki,
Najwyższy czas na dworzec!« — i ręka znów wzięła
Sznurek dzwonka zielony. — Lokaj spiesźnie biegnie
I jeszcze prędzej ginie — i rządzca już wchodzi,
Wielką swoją osobą biura kąt zalegnie,
Wydaje raport hrabi, niepokój mu chłodzi:
»Beczki stoją już rzędem, syte bardzo smoły,
A kanał wymieciony, chodniki już mamy
Z głównej parku alei, ganek czysty, goły;
Do sztucznych nawet ogni stawiają już ramy.
Stajnie także gotowe, w żłobach piękne siano,
Nie będzie w Troce krzywdy u hrabi nikomu!« —
»Proszę bardzo« — rzekł młodzian — »żeby także dano
Stangretom dużo owsa«. — »Nie będzie już sromu!«
Rzucił rządzca i wyszedł. — Myśli zbiera hrabia,
Jak gości ulokować przy stole z honorem,
Żeby kogo nie drasnąć, grono par dorabia
Do pierwszej, drugiej sali, przy uczcie wieczorem.

Potem mówił z klucznicą, pisał spiesźnie karty,
Do miasta konie wysłał po rażną kapełę,
Wreszcie sług swych pilnością, radą nawet wsparty
Odetchnął pełną piersią! O, było tak wiele,
Wiele zawsze zabiegów! Siostra, Wiktor, ciotka,
Nie myślą nigdy pomódz, on jeden pracował!
Postać jego z wysiłku była bardzo wiotka,
A jeszcze siły młode do walki gotował.
Walka z ojcem go czeka, z ciotką będą zwady:
»Amelia! pocóż ona?! O Boże, mój Boże!« —
Jakże złudne i mylne wszystkie starszych rady...
Wszak uledez trudno przecież... nie może! nie może!
Głowę podparł rękoma, w zamyśleniu siedzi,
A wkoło zmierzch zapadał, nie spostrzegł go wcale.
Wreszcie przyszedł Mateusz: — »Hrabia głowę biedzi,
A goście poszli stroić — już światła zapalę,
Może frak tu sposobić, krawat, rękawiczki?« —
»Dziękuję Mateuszu, ja siebie ustroję,
Tylko proszę, zabieraj wszystkie róż doniczki
I ubierz stoły ładnie! — O, czegoś się boję...«
Henryk w duszy dokończył, rzucił biuro zcicha,
By zrobić toaletę — i idzie na górę:
Nagle w sieni już ciemnej — jakaś postać wzdycha
I słodkim szepcze głosem: — »O, porzuć tę chmurę!
Hrabio, drogi Henryku, smutek czuję z tobą!
O wszystkim wiedzieć muszę, ja ulżyć ci pragnę!«
Hrabia poznał Amelię, cofnął wstecz osobą.
»Nie lękaj, hrabio, proszę, ja wszystkich ci nagnę!«
Rzecz czule Amelia, rękę hrabi chwytając
I ciepłą tuli dłonią, lecz Henryk znów cofa,
Rzuca pannę w milczeniu... ona stała wryta
I wreszcie cała drżąc upadła gdzie sofa...

Zbladła mocno, jak chusta, zacisnęła pięści
I piersią falowała... a z ust jej pociekło:
»Zemsty! zemsty! o hańbo! zemsty chociaż w części!
Nie zniosę sromu tego! O, w sercu tu... piekło!...
Wszystko kładę na szalę, żeby zdobyć jego!
Pogardą hrabia okrył, odepchnął jak wroga!
Alboż mogę zapomnieć? Stanąć wobec niego
I spojrzeć tłumom w oczy? To męka zbyt sroga!
Jednak trzeba ochłonać... nawet matka moja
Nie może wiedzieć nigdy! Przewalczyć się muszę!
Świadka wzgarda nie miała, dumny hrabio, twoja...
O, hańbę swoją własną na tobie pokruszę!«
Długo myśli Amelia, wreszcie słysząc kroki
Zawlokła stopy chwiejne do swego pokoju;
Tutaj z dziwnym pospiechem zwija ciemne loki,
Układa bukiet świeży — nie czując już znoju;
Każe słudze piętrować włosy w pyszne zwoje
I z dumą w lustro patrzy, do siebie uśmiecha:
»Przecież będę królową!« — łudzą myśli roje —
»Henryku pożałujesz... ha! wtedy uciecha
Dzika w sercu zagości... wówczas rzucę ciebie!
Zapragnę twego brata i znowu go rzucę!
Zemsta będzie szalona! Byłbyś, hrabio, w niebie!
Amelji posag duży! ja szczęścia nie wrócę!«
Ręce drżały jej silnie, iskry z ocz padają,
Niepokój w twarzy wielki, a pospiech jest w ruchach.
Matka czuła i sługa, obie rąk dodają,
By Melcia ładną była, a ona w podsłuchach,
Czyli Henryk nie wraca? Wreszcie rozpoznała
Stąpienie Mateusza: — »Więc boi się sieni?
Wypłoszyłam go z gniazda!« — nagle pomyślała,
I bardziej jeszcze hańba Amelię rumieni.

Puder szybko rozciera, żeby lica zbladły,
Wypieków twarz dostaje, powinna być równa,
Chociaż słodkie marzenia dzisiaj w grób zapadły,
Odwagą powetuje! to myśl jej tu główna!
Była bardzo dowcipna, miła, pieśczośliwa,
Łaszczą niby kotka, tryumfy zbierała
Nawet w Francji stolicy! dzisiaj nieszczęśliwa!
Ta marna wieś! ta skromna, pogardę jej dała! —
Kłocia przyszła po panie, baronowa spieszy,
A ciotka w szale wpada, zachwyca Amelią:
»Dzisiaj chwałę odniesiesz!« — Matka z uwag cieszy,
Szyderczo córka śmieje, przypina kamelią.
Idą wreszcie do sali, pierwsza córka kroczy —
Przed lustrem wielkiem staje, uśmiecha się ładnie.
Henryk zcicha przechodząc, rzucił w lustro oczy
I zimny przybrał wyraz, lecz skłonił się składnie,
Mierząc wzrokiem od dołu. Panna wznosi głowę,
Rozdaje z szczytu niebios Junony spojrzenie,
Nagle mówiąc do ciotki kładzie słodycz w mowę.
Tak dziwnie melodyjną, że budzi marzenie...
»Będę miłą syreną, ale dumną tobie!«
Błysnęła szybko myślą, na fotel się siania,
Biorąc pozę wykwinną, wachlarz wiąże sobie
I bardzo wdzięcznym ruchem przybyszom się kłania.

Goście szybko zjeżdżają, dzwonki gonią dzwonki.
Rumaki, ruskie sanie Rodryka zajęły,
Zwłaszcza pana Romana pyszne w chodach szronki;
Kasztany z Oporowa już górę znów wzięły,
Rosłe, ale szlachetne. Henryk w oknie czeka,
Po dźwięku poznał dzwonki, do sieni wypada.

Śledzi pilnie Amelia... hrabia w głąb ucieka,
Na długo zniknął wcale... o, z tego nie rada!
Wreszcie hrabię dojrzała, idzie w parze zwolna
I wiedzie postać białą... a szczęście ma w twarzy!
»Parafiankę prowadził róża jakaś polna!«
Amelia zcicha powie: — »O, Henryk się sparzył!«
Para bliżej przychodzi, dziewczę idąc płynie,
Z dystynkcją mówi wielką i z wdziękiem się wita,
Rzuca czary spojrzeniem... nagle w gronie ginie,
Bo wszyscy obstąpili. — Amelia się pyta,
Wzrokiem chciwie pochłania wdzięczną, białą postać.
»Sąsiadka« — mówi Klocia — »Hanusia Skalińska,
Wnuczka pana Józefa, trudno jemu sprostać,
To zacny obywatel, a obok Galińska,
Starsza siostra, rodzice, dalej dziadek panny«.
Amelia wszystkich mierzy oczyma bystremi,
Pragnie dostrzedz śmieszności w otoczeniu Hanny,
Zabiegi przecież próżne... więc swemi białemi
Bawi rękę kwiatami — liść po liściu rzuca,
Zagryza wargi silnie i czoło już chmurzy;
W oczach iskry gromadzi, chodząc złość ukróca,
Lecz w sercu coraz bardziej nienawiść się burzy.
Słysząc dźwięki kapeli, lokaj drzwi roztwiera,
Na ucztę goście spieszą, a idą parami,
Podług wieku, godności. Henryk Hanię wspiera,
Lecz Wiktor nagle przypadł, a przypadł z darami —
Podał bukiet Amelji, zręcznie daje ramię;
Zaś Henryk zwalnia kroku, Hanusią zajęty,
Parze życzy pierwszeństwa, nawet szereg łamie.
Z Amelią Wiktor idzie powagą odęty,
Sadza pannę przy stole głównej sali z boku,
Rozmową żywą siebie Amelji oddaje.

Panna trochę milcząca — nagle w ciemnem oku
Płomyki jakieś błysły, czy miłość udaje?
Coraz więcej ożywia cała uśmiechnięta
I słodkie rzuca słowa — oczyma ośmiela,
Wiktor sobie tłumaczy: »Przecież szturmem wzięta!
Więc uledez musi snadnie — ha! bliskim wesela!«
Nagle jakoś nie ufa, — kogo wzrokiem szuka?
Przechyla nawet postać, by dojrzeć dokładnie.
Wiktor bardzo domyślny, przybrał czujność kruka,
Henryka panna śledzi... to bardzo nieładnie!
W sali bocznej i mniejszej siedział starszy hrabia,
Hanusię białą bawi... a obok jest Lodka
W parze z gładkim Arturem; Wanda sprytem zwabia,
Choć Roman wzdycha czule; zaś Iza, ta słodka,
Słucha pilnie Tomasza, który równość głosi,
W pokorze swojej wielkiej już słuszność przyznaje.
Felcia przecież uważna trochę względów prosi
Dla zasług z dawnych czasów, lecz Wanda ją łaje,
Każe wierzyć Tomaszom, szczerze służyć sprawie,
Nie tykać wszystko palcem! użyczyć godności
Także mitrom i herbom, ufać innym sławie,
Nie chwalić zbyt siebie w zajadłej próżności.
Tomasz trochę się skrzywił, ale umilkł spiesznie,
Bo Henryk spojrzał bystro i wzrokiem go zmierzył.
W takim domu magnackim było trochę grzesznie
Wygłaszać równość stanów — tak Tomasz uwierzył.
Wreszcie jako odpowiedź słyszał brzęk kryształu,
To Henryk w szkło uderzył, przemówić zamierza.
Tomasz patrzy uważnie, drżący jednak z szału,
Co widząc Wanda, rzuca: — »Zakłóją tu zwierza!«
Henryk stanął na progu, objął salę wzrokiem,
Łagodnym mówił głosem, z niezwykłą ciepłotą;

W twarzy uśmiech szlachetny, miłem patrzył okiem:
»W imieniu ojca mego, z zdwojoną ochotą,
Biorąc impuls z swej duszy, mówić dzisiaj pragnę:
Gorącem witam sercem czcigodnych nam gości!
Wielbię zącą życzliwość, uczuć wszelkich nagnę,
By wdzięczność swoją złożyć... lecz pełen żałości
Zawsze cienie spostrzegam pośród słońca blasku!
Te cienie — różne zdania — a płyną nam z duszy,
Może z nocy już siedzą, może w rannym brzasku,
Odmienne zawsze jednak... O, serce się kruszy,
Jeśli w jednej rodzinie tyle różnic siedzi!
Wszak Matka jedna była? Więc z źródła równego
Płyną życia tu soki? Duszę jednak biedzi
Ta duma zimna, skrzepla, co szydzi z niższego,
Buta jakaś siarczysta, która mitrą gardzi,
Lub gładka, czujna chytrość, co rządzi miastami,
Albo przykra zuchwałość, którą młodszy hardzi...
O, pocóż zaci państwo różnica ta z nami?
Jedno Niebo nad głową, jedna stopom gleba,
A w środku bratnie serca i zacie ich cele!
Wówczas, bracia i siostry, suto będzie chleba,
A w duszę spłynie spokój i szczęścia wesele!
Taką myślą przejęty, witam całe grono!
Podnoszę dobre chęci i zacie tu chwale.
Niechaj wspólną miłością zgarnie w swoje łono
Ta jedność chrześcijańska, więc śmiało tu walę:
Celem zacnym złączeni niechaj wszyscy żyją!«
Tu Henryk podniósł kielich i wypił go szczerze.
»Pięknie, ładnie, mój hrabio!« — ręce młode biją,
A Henryk ożywiony znów kielich swój bierze,
Żeby trącić tu z każdym, wreszcie dopadł Hani
I zdrowie panny wypił czubatym kryształem.

Patrzył Artur z zazdrością, życzył swojej pani,
By równą zdobycz miała, a szeptał z zapalem.
Lodzia piękną dziś była, oczy skry sypały,
A świeżość podnosiła błękitna sukienka;
Giętkość, żywość z natury, dużo wdzięku miały,
Więc brzmiało jednym chórem, że ładna panienka.
Henryk trącił z Tomaszem, ale doktor młody
Odęty bardzo siedział, aż Lodka się śmiała.
»Pewnie pragniesz wygłosić głowy twojej płody?!« —
Zawołał zcicha Artur — »to burda już cała!
Przecież hrabia jedności pragnie chrześcijańskiej,
Każdego dotknął trochę, bo wszyscy grzeszymy,
Nawet siebie zaczepił, szydził z dumy pańskiej!
Więc lepiej cześć kobiety niech głoszą twe rymy«. —
»Tobie zdają błahostki!« — rzucił Tomasz z gniewu
I spojrział dumnie zgóry, a słysząc to panny
Nagle szeptać zaczęły, jakby nutą śpiewu...
I szmery doleciały do białej już Hanny.
Henryk słowo jej rzucił, Wanda wyraz łapie,
Skinęła doktorowi: — »Błahostki czczą w tobie
Braci naszych najmłodszych, zacny Eskulapie!
Pijemy twoje zdrowie nie pomnąc o sobie!
Jednak zemstę obmyślę: Otóż z kobiet żadna
Nie myśli kwękać więcej, obawa jest wielka,
Żebyś otruł błahostki, — zatem brzydka, ładna,
Wyleczą same siebie! Choroba więc wszelka
Skonać musi w zawiązku, nawet miłość żywa,
To zwykłe, najdotkliwsze cierpienie ludzkości,
Musi upaść pod kosą, jako chwast, pokrzywa!
Samotność ciebie czeka i bóle żałości!«
»Biedny doktor!« — mężczyźni chórem zawołali —
»Już mnichem chyba będzie! Niedźwiedziu, co tobie

Ozór wkładać do ula?! — cicho wyszeptali —
Przepadłeś w świecie kobiet! o, poradźże sobie!
Doktór myśli już zbierał, ale znaki dano,
Bo zdrowie gospodarzy tu proboszcz wygłaszał,
Chwaląc chęci Henryka, — słowom przyklaskano,
A Tomasz z czoła swego już chmury rozpraszał.
Wino działa ożywczo, język rozwiązuje,
Toasty płyną gładko i gonią się żywo.
Rodryk zdrowie »nadobnych«, których wdzięk miłuje,
Wygłosił trochę zlekka, a patrzył się krzywo,
Bawić musiał z urzędu pannę zimną domu...
Ha, ryba zawsze rybą... więc zerkał na Hanne,
Uśmiech rzucał i Lodce, słowem Bóg wie komu,
Porzucić w duszy pragnął tę nudną swą pannę,
Której wątkiem rozmowy — mody, zawsze mody,
I Paryż z fasonami! ztąd wzrok mdły utkwiała
W swoją suknię paryską, jako w sztuki płody,
Zaledwie gościom wszystkim spojrzenie rzuciła. —
Wkońcu Józef Skaliński uniósł swoją postać,
Podkreślił siwe wąsy i stanął jak wryty,
Niby posąg z marmuru, — alboż pragnie chłostać
Przywary bliźnich swoich? Na czole ukryty
Wyraz bardzo poważny, w oczach zapał płonie;
Nawiązał swoją mowę z słowami Henryka,
Wspominał wszelkie uczucie, które żyje w łonie,
A z którym zawsze człowiek się w świecie boryka:
»Jedno wszakże góruje: miłość gleby swojej!
Na której stała chatka, kolebka nam miła!
Braci wszystkiej dogodzę, sądzę, w mowie mojej,
Jeżeli wspomnę miłość, co w sercach gościła
Naszych dziadów, pradziadów! Niechże będą żniwa!
Kochając glebę swoją, miłujmy i siebie,

Łączmy jednym łańcuchem wszystkich serc ogniwa;
Z miłości szczerą pracę zasiejmy w tej glebie,
Żeby urosł dobrobyt, zwiększył nasze mienie.
Z potęgą jego błysnie i słońce oświaty,
Które daje przezorność, światło, niszczy cienie,
Pozwoli pojąć spokój, ludzkości te kwiaty!
Praca taka ci lżejszą, miłą będzie, bracie,
Bo chociaż krople potu ci z czoła pocieką,
Szczyście ciche i stałe zrodzi w twojej chacie,
A gromy dziatek głowy nieszczęściem nie spieką!
Zatem każdy nasz zawód ukochajmy szczerze,
By zrodził społeczeństwu obfite owoce!
Czyniąc zadość sumiennie w swojej pracy sferze,
Odepchniesz dużo ciosów, rozproszysz tu nocel!
Będziesz kółkiem w maszynie, która świat popycha,
Lecz kółkiem bardzo ważnem, bez jego działania
Zwolna ruch się zatrzyma, chociaż parę wdycha,
Postępu znikną drogi, a widne cofania!
Zatem praca z miłością niechaj zawsze żyją!«
Skaliński podniósł kielich wysoko, najwyżej:
Wszyscy razem powstali, żywo serca biją,
Mężczyźni idą śmiało, z odwagą, najbliżej.
Dzwonią dźwięcznie kielichy, ręce uścisk spleta,
A starzec dłoń wychudłą podawał serdecznie,
Swoją wolę najszczerzą z chęcią innych brata,
Szlachetnym radził zostać, to zawsze bezpiecznie.
W gronie stanął i Henryk z białą Hanią w parze —
Skaliński skinął mile, więc Henryk przypada,
Razem z wnuczką urocą: »Marzę, panie, marzę,
O takiej zacnej pracy!« — »O, jaka ja rada,
Z mowy mego dziadunia!« — głos po głosie płynie.
Skaliński objął parę ojcowskiem ramieniem,

Mówiąc w czoło całował: — »Praca wasza słyniel«
Posępnie August spojrział i Klocia z wzburzeniem,
Melcia usta zacięła, jakby w gniewie — w złości,
A Henryk pełen szczęścia rozjaśnił oblicze,
Dawał znaki kapeli, wyprowadzał gości.
Lokaje dają szuby, lub szubki dziewicze,
Panów grono zarzuca również futra swoje,
Polonez pary wiedzie na lustro kanału,
Lśniące lodu brylantem. Dziwne gości stroje
Wspomnienia dają myślom — powagi i szалу —
Jakie kiedyś bywały pośród szlachty dawnej,
Gdy kołpak ozdobił męża i szabla przy boku...
Mocno zmierzchły te czasy buty owej sławnej...
Polonez w sztucznych blaskach nabierał uroku:
Beczki smolne rzucały światła snopy całe,
Cieniując bardzo ostro, zaś barwa tęczowa,
Którą ognie ciskają, rodząc gwiazdy małe
W powłoce lodowatej — prawdziwość tu chowa:
Widać dziwne pałace, wieże, zamki, góry,
Złudzenie drzewa dają pokryte szronami,
Miasto całe z marmuru, nawet twierdzy mury,
A dalej morze wielkie z sinymi lodami.
Dusze toną w marzeniu... czują czar uroku...
Pałace drgają w blaskach, już idą rycerze,
Mając męstwo w obliczu, siłę w bystrem oku,
Jak gdyby z pola chwały wracali żołnierze.
Duchy płyną nie ludzie: Hania — mara cudna,
A Henryk królewiczem z zamczyska ruiny,
Artur błędnym rycerzem, Łódka całkiem złudna,
A Roman Sobieskiego przypomniął nam z miny.
Stasia piękna Barbara, baronowa Bona,
Tryumfów Melcia chciwa, to Marja Kaźmiera,

Felcia smężna Ludgarda, nieszczęśliwa żona,
Z Tomasza — Zborowskiego oblicze wyziera.
Jako hetman Skaliński idzie prosto, śmiało,
Choć wiek mu zbielił głowę, a trud go przycisnął,
Duchem zawsze młodzieńczy, duch ten wnikał w ciało,
Podnosił, budził, trzeźwił, aż życiem wytrysnął.
Z baronową Skaliński wiedzie liczne grono,
Zatacza koła, węże, a kroczy z powagą
Godną nawet monarchy. — Zwolna zapalono
Największe ognie sztuczne, więc patrzą z uwagą:
Biją iskier fontanny, tleją słońca wielkie,
Strzałami huczą węże, że drgają kobiety.
Grono gości objawy daje uciech wszelkie,
A pośród szmeru głosów padają rakiety.
Zabrmiał znowu polonez, goście powracają,
Zrzucając w sieni futra, do ciepła się chronią.
Wonną kawę lokaje, kosze ciast podają,
A również kryształami likierów już dzwonią.
Panie poszły się przebrać, ciężkie swoje stroje
Zmieniły w lekkie z gazy, z koronek i z tiulu,
Także trochę poprawić trzeba włosów zwoje,
Więc rojno w garderobie, jak w pszczelnym już ulu.
Wkrótce rażna kapela walca nutę dzwoni:
Amelia zeszła pierwsza, a chodząc w salonie,
Kwiaty świeże poprawia, nawet różę roni —
Więc Henryk uniósł spieszenie i podał w ukłonie.
»Hrabia«, — pyta Amelia — »nieprzyjaciół kwiatów?«
»Przeciwnie, butonierka już zdobna białemi.«
Mówił Henryk spokojnie, pomnąc Kłoci swatów,
I bawić począł pannę rzeczami różnemi.
Chwalił róży odmiany, które posprowadzał,
Co teraz kwitną właśnie w cieplarni wygodnej;

Z gospodarskiej grzeczności z panną ciągle chadzał,
Lecz słowa rzucał rzadziej do mowy tej chłodnej.
W głębi sali fontanna biła pośród kwiatów,
Rzeźwiła bujne róże, Amelia się zbliża,
Usty róży dotyka, jakby żadna swatów,
Całując patrzy mile i głos swój obniża:
»Róża symbol miłości!... różo, kocham ciebie!
Rozkoszne dajesz chwile, choć bóle i rodzisz!
Z tobą pragnę tu życia, albo szczęścia w Niebie!«
To słysząc Henryk zadrżał. — »Już, hrabio, odchodzisz?
Gościa przecież nie rzucisz? Słabość dziwną czuję...«
Amelia siada blisko, oczyma przymila.
Henryk spojrzał uważniej. — »Jakże go miłuję...!«
Szeptąła baronówna, a Henryk wysiła
Całą swoją gościnność, żeby dłużej zostać:
»Przyniosę wina« — powie z pomysłu szczęśliwy,
Szybkim krokiem odchodzi, myśli kogo dostać,
By poszedł bawić pannę; przebiegły myśliwy
Schwytał wreszcie Wiktora, również ciocię prosi,
By Melcię wzięła w pieczę, już w trójkę przychodzi,
Idzie jednak ostatni, wino stare nosi,
Otwiera cicho okno, powietrze tu chłodzi.
Wreszcie widząc, że Klocia Melci zwilża skronie,
Na palcach wyszedł zlekka, a Wiktor w oddali
Czekał bardzo cierpliwie, ale wzrok mu płonie,
Wszak Henryk brata przysłał, wychodząc z tej sali?
Zatem panny się zrzeka... warte starań krocie!
Więc pomknął trochę bliżej i mile się pyta,
Czyby wody nie przynieść? Pannie rzuca w locie
Spojrzenie bardzo czułe i rączkę już chwyta,
Żeby ogrzać w swej dłoni. — Melcia nagle wstaje,
A głowę wzniosłszy w górę, odtrąca Wiktora.

»Ależ moja Amelciu...« — ciocia trochę łaje, —
 Wszak Wiktor niespokojny...« — »Nie jestem już chora«
 Rzuca Kłoci z grymasem, czoło zachmurzyła,
 Z władczyńi wzrokiem przeszła, opuszcza salony.
 »Kaprys tylko chwilowy!« — Klocia wycedziła;
 Sposepniał nagle Wiktor, wszak został wzgardzony!
 Panny gronem wracały: Hania, Wanda, Lodka,
 Olimpia, Felcia, Iza, więc Wiktor się zrywa,
 Wąsy kręci zawzięcie, mina znowu słodka,
 Uśmiechem kryje krzywdę, — u mężczyzn tak bywa.
 Chwilę siedzi Kłotylda, baronówny czeka,
 Lecz widząc upór, niechęć, pobiegła na górę,
 Wyszukane grzeczności rzuca Melci zlekka,
 W komnaty dolne wiedzie kapryśną tę córę.
 Henryk, czujny gospodarz, szepnął w uszko Hani,
 Że równo nadskakiwać dziś musi swym gościom,
 Wreszcie skłonił się Melci: — »Wolno prosić, pani?«
 Amelia drżała ciągle oddana żalościom,
 Zwolna postać uniosła, — Henryk w wir porywa,
 Walcuje długą chwilę, a czując znużenie
 Pannę sadza przy Hannie, potem panów wzywa,
 By raźniej walcowali
 »Okrutne zmęczenie
 Zdziałał w szubach polonez«, — Melcia zcicha prawi
 I biorąc ramię Hani w cieplarni się chroni,
 Która nęci spokojem. — »Jakże serce łzawi...« —
 Mówiła baronówna — »gdy szczęście się roni!
 Każda z kobiet przechodzi straszne burze w duszy!«
 Wie pani, jakaś piękność Henrykiem zajęta,
 Kocha hrabię szalenie! wszelkie kopie skruszy!
 Olbrzymią siłą uczuć jak kwiatek podcięta...
 Niby cerber też strzeże czyny, słowa hrabi,

Rywalkę każdą przeklnie, lub jadem zatruje!
Radzę odwrót kobiecie, która hrabię wabi...
O, pełna miłosierdzia — ja panią żałuję...«
Mówiąc siadła na sofie, tuląc Hani dłonie,
Lecz dziewczę fałsz uczuło... wzburzone powstało,
Twarz pobladła na razie, znowuż żarem płonie —
I uciec nagle pragnie... i mówić też chciało...
Wreszcie powie lękliwie: — »Pani zagadkował
Nie mogę słów jej pojąć... bo wabić mi trudno!«
Melcia w Hanię wpatrzona połykała słowa,
A Hani było ciasno — i duszno — i nudno.
Gwałtem sieci rywalki sama zrywać chciała,
Gdy Henryk stanął w progu, — ujrzawszy je w głębi,
Pojął zamiar Amelji, która właśnie miała
Zarzucić nowe sidła... aż mrowie go ziębi,
Ale śmiałem spojrzeniem objął damy obie,
Ramiona podał równo, wracają we troje:
»Panie nami wzgardzają, siedząc w ciszy sobie,
Ochotna przecież młodzież, nie szczędzi i znoje.«
Mówił prawie wesoło, wreszcie Wiktor wpada,
Odbiera Melcię bratu, a Henryk walcuje
Z białą swoją Hanusią, — czemu w duszy rada,
Tembardziej hrabi wierzy, bo tańcząc z nim czuje
Wstręt już równy i wspólny: — »Usuń pani, proszę«,
Łagodnie mówił hrabia — »cieplarnię z pamięci!
Dużo w świecie zazdrości, cicho wszystko znoszę...
O, zechciej przyjąć mile najlepsze me chęci.«
Hania raczka upiekła, patrząc mimo woli
W hrabiego tęskne oczy, on pełen zachwytu,
W nowe wiry porywał szczęście swojej doli,
Zdyszany wreszcie urwał, bo doszedł do szczytu.
Hani fotel przysunął, podał kielich wina

I oparł swoją postać o blizką kolumnę.
Baronówna ich śledzi... była blada.. sina...
Wróżyła w myśli Hani nie szczęście, — lecz trumnę!

Trzecia w nocy już biła, płąsy dalej trwają,
Podano torty, lody i wina się leją.
»Stany« trochę czupryny zaproszone mają,
Posadzka ślizga w sali, postacie się chwieją.
Słychać wrzawę w salonach, Tomasz głos zabiera,
Zadarłszy głowę hardzie, czupryny nastawił,
Przenikliwem spojrzeniem pozór z ludzi zdziera
I jakby piorun z nieba, tak huczał i prawił:
»Magnat zdradzał nas zawsze!« — utkwiał wzrok w Cezara
I spojrzał pogardliwie na hrabię Augusta, —
»Wieki całe cierpimy, broni masy wiara,
Cierpliwość radzi młodszym, lecz moje tu usta,
Wznović muszą te czyny, które świat przeklina
I młode pokolenie wspomina z pogardą...«
Mowę przerwał Skaliński: — »Doktor zuch zaczyna,
Nie pójdziem dzisiaj w szranki z czupryną tak hardą.
Nogi nasze są chwiejne, myśli jakieś mętne,
Więc rzućmy przeszłość tęskną, a żyjmy nadzieją,
Wreszcie słońce jasności błysnie chociaż smętne!
Szukajmy ciszy w domu, bo kury już pieją.«
»Wielce pana szanuję!« — Tomasz odpowiada —
I głowę kornie chylę przed jego zasługi,
**Szlachta jednak błdziła, wina szlachcie spada,
Że sejmy rozerwawszy, hulala czas długi!«** —
»Cicho, panie doktorze!« — sapnął Roman z kąta —
»Twym ojcem zawsze szlachcic! on ciebie wychował!«
»Ależ, moi panowie, zaraz bije piąta!«

Skaliński przypominał. — **»On ciebie pasował
Zrobił światłym rycerzem!«** — krzyknął Roman cięty.
Tomasz Artur broni, że świt sam przebudzi...
Roman powstał wzburzony w ognia żar już wzięty,
Więc huknął gromem: **»Milczeć! tu wobec tych ludzi,
Wyznać muszę poważnie: Szlachcic chociaż błdził
Ma długi w sercu matki... Kto bronił niebogiej,
Piersi swojej nadstawiał, jeśli wróg nią rządził?
Kto śmierci patrzył w oczy, władczyni tak srogiej?
Szlachcic, panie doktorze, szlachcic krew swą ronił,
A chociaż czasem brykał i hulał w swawoli,
Więcej Matce zachował, aniżeli strwonił!
Posępne dzisiaj niebo... o, zarzut ten boli...«**
Roman głos swój obniżył, urwał — sapnął — chrząknął —
Lecz słowa więzły w gardle — i łzy mu pociekły...
Tomasz spojrzał zajadle, dostrzegł płacz — i bąknął —
Lecz jakieś bóle serca i jemu dopiekiły.
Henryk słuchał z ubocza, kazał podać wina,
Napełnił duży puhar i przybrał powagę:
**»Wielce zacni panowie, wina zawsze syna,
Gdy Matka cierpieć musi! Nie biorę uwagi
Z żadnych stanów wyłącznie, wezmę ryczałtowo:
Magnaci byli winni i szlachta błdziła,
Miasta obcych wspierały, dając pomoc, słowo,
A kmotków jeszcze warstwa w ślepotę bawiła.
Zatem wszyscy winnymi! nasza wina, nasza!
Uderzmy gromko w piersi, poruszmy tam życie,
W duszy... szczerą jednością! Chęć się sama wprasza,
Obudzi w sercu miłość, drzemającą ukrycie.
Wszyscy równo dotknięci... bólem łączmy dusze!
Więc zdrowie piję »stanów« — niech żyją szczęśliwe!«** —
Henryk puhar wychylił, chwaląc chęć, sojusze,

Lecz Tomasz mówki palił zacięte, zjadliwe,
Twierdząc bardzo stanowczo: „**Lud nasz czystym został,
Przechodził niemowlęctwa on wówczas tu fazę!**“ —
— »Czujesz wyższość szlachcica«, — Roman ostro chłostał,
A jednak gębę krzywisz?!« — »Przeczuwam oazę!« —
Rzucił proboszcz łagodnie — „**zatem działać pracą!**
Niech żyją chęci hrabi, pan Józef niech żyje!
Razem idą tu w parze, darząc nagan płacą,
Lecz wszystkie drażliwości ich zacność nam zmyje«. —
Puchar krążył wokoło, rzadsze były mowy,
Zamglone całkiem oczy i chwiejne są kroki.
Salon koła zataczał, opadały głowy,
Lecz każdy z butą wielką ujmował się w boki.
Szóstą zegar wydzwonił, sanie zajechały,
Roznosi kawę służba i wonną i silną.
Panie, strojne już w szubki, panów wyrwać chciały,
Bo wyjazd opóźniony był sprawą im pilną.
Pierwsi wyszli Skalińscy, Henryk Hanię wsadził,
Otulił futrem w saniach i żegnał spojrzeniem.
Wkrótce wszyscy ruszyli. — Henryk bliższym radził
Spoczynek bardzo spieszny, lecz z wielkiem zdziwieniem
Ujrzał Melcię w salonie... była zadumana,
Pragnąca jakichś wyznań... odszukał Wiktora,
Razem poszli ją żegnać: — »Pana czekam, pana!« —
Szepnęła Henrykowi — »z mitręgi ja chora...
Wczoraj byłam zbyt śmiała, dzisiaj żal już czuję...
Przepraszam pana bardzo...« — podała mu rękę —
»Człowiek każdy jest słabym, siebie w żar miłuje...
O mówię, hrabio, szczerze, że przeszłam tu mękę!« —
»Wierzę, nawet pojmuję, słabe ludzkie nerwy,
Więc radzę wczesny spokój! O, cisza łagodzi,
Dobrze działa na duszę!« — odrzekł, robiąc przerwy.

Skłoniła głowę panna, bo z radą się godzi,
Znikła zaraz z salonu. — Henryk oparł głowę,
Rozbierał całą ucztę i wstępne zdarzenia;
W myśli wszystko odświeża, gości, czyny, mowę,
Do wniosku doszedł: Uczta — nie spełnia marzenia,
Ludzi jednak jednoczy, chociaż kwasy rodzi,
Języki ostre budzi, kłójące sztyletem,
Ale ściera przesady, w różne prądy godzi,
A młodszych serca zbliża gościnność z bankietem.

Pieśń IV.

Przy kominku.

(Wspomnienie z r. 1848).

W oporowskim kominku Wicek ogień wzniecił,
A grono familijne do ciepła się tuli;
Stasia z mężem usiadła, Hani dziadek zlecił
Rodziców tutaj prosić — i Tadzio się czuli,
Wielki dziadka faworyt. — Stasia smutną była,
Wyjeżdżać jutro miała, a wieści tak różne
W atmosferze ciążyły, — lękiem jakimś żyła,
Pytając starca często, obawy czy próżne?
»Moja Stasiu kochana,« — dziadek wnuczce rzecze —
»Tak dziwne prądy wieją, że wszystko możliwe!
Dzisiaj wodę pijemy, jutro kwas pocieczel!
Nie będzie tutaj miodu, bo masy gniewliwe,
Zamiast uczcić charakter, winę przypisują,
A burząc sami siebie, spokojność nam kłóć! —
Alboż godność tę naszą, wyższość one czują
I sądzą dawne czasy świetności powrócą?
Wierzę w siłę narodu, ale czas pokuty

**Przyciśnię długo jeszcze... aż duch się odrodzi
Równy w wszystkich narodach... dzisiaj w więzy
[skuty**

Brutalnej siły zwierza... dziś prawo nie wodzi!

Bismarck siły obrazem, ostry, nieugięty,
Zawzięty, pogardliwy, nieludzki w swych czynach!
Zdawać mogło się ludziom z głębin... chyba wzięty,
Okrutnym będąc naszym w swych dziwnych przyczynach.«
»Smutno patrzysz, Stasieczko,« — mówił Jan swej żonie,
Ramieniem objął czule, do piersi ją tuli —
»Przecież Bóg jest nad nami!« — Ale Stasia płonie
Z wewnętrznej trwogi mówiąc: — »Ha, prawo ukuli
Wyjątkowe, — więc może wzbronią pobyt tobie!
I rzucić przyjdzie swoich i strony rodzinne!
Ufam tobie, mój Janie, jednak wolę sobie
Wychować tutaj dzieci. Cóż one są winne,
Żeby w smutku się chować, pośród obcych bładzić?
Kolebką dzieciom ziemia... przybysze są inni!
Mocą wszystko wydarto, mocą muszą rządzić,
A cierpieć przyjdzie słabszym, choć zacni, niewinni!«

Weszli Stasi rodzice, ale gości wiodą,
Sąsiadów swoich, niemców, Breisigów z Zatoki.
Stasia łkanie wstrzymała, swoją postać młodą,
Przezuciem przyciśniętą, oparła o boki
Francuskiego kominka, w oczach łzy jej drgały,
Co spostrzegł młodszy Breisig... obrzucił ją wzrokiem,
Witał z wielkim szacunkiem. Stasi wdzięki miały
Dla niego powab duży, więc zbliżał się krokiem,
Ale tłumiał westchnienia, które pierś podnoszą,
O Stasi kiedyś marzył... tak wielbił serdecznie...

„Niechęć, rozstrój w stosunkach, szczęście z domu
[płoszą“ —

Pomyślał młody Beno — „i będzie tak wiecznie,

Póki siła przed prawem kajdanami dzwoni!

Ich dusze trud hartuje, — nam siły zabiera,

Męstwo mają szalone, zawsze żyją oni!

Gdy niemcom nieraz z bólu i serce zamiera!«

Beno spojrział na Stasię, ale wzrok utkwiała

W kominka iskrach złotych — ztąd westchnął powtórnie...

Zwolna wracać poczęła uczuć dawnych siła,

Więc z ogniem wielkim prawił, a mówił i górnio.

Breisig starszy wygładzał srebrną brodę swoją

Synowi potakując, — i w swoim zapale

Wolność wielbić poczęli. Wszystkie żale goją

Wspomnienia z dawnych czasów, co błyszczą w swej
[chwale.

Czesław wspomniał Brachvogla, jaką głosił mowę *)

Podając dłoń Polakom, a Breisig Libelta **).

»Szczerze chęci nas wzięły, zapaliły głowę,

Lecz krótko tylko trwały, nie była to delta,

Ujście rzeki wolności«... — mówił Beno żywo —

»Och, wolność w przepaść wpadła, zrywając podstawy

Bratniej ludów miłości! Odtąd patrzą krzywo,

Nie wierzą naszym chęciom, nie widzą poprawy!« —

»Mądrze mówisz, sąsiedzie, jakże wierzyć mamy« —

Skaliński Józef prawił — »gdy nagle się wzięto,

*) W r. 1848 adwokat Emil Brachvogel ułożył odezwę niemcom i żydom poznańskim do Polaków, zapowiadając im wolność.

**) Karol Libelt z upoważnienia komitetu ogłosił na d. 20 marca odezwę, wzywającą do zgody z Niemcami, w nadziei, że będą pracować dla sprawy polskiej.

Zatrąbiono na odwrót! Alboż wiarę damy?
Łagodzić chciano tłumy, od swobód zaczęto;
Skoro burza minęła, wydobyto pęta,
By dalej słabszych wiązać, wytykać im winy,
Żeby zgubić tych mężnych jako niemowlęta...
Więc gromko gnębić wkoło... bez wszelkiej przyczyny!
Była chwila wolności... wielka majestatem,
Szlachetna w swoich czynach, jak anioł pokoju,
Była ona koroną wszystkich chwil przed światem,
Z miłości siłę wzięła, z boskiego tu źródłu.
W chwili takiej swój posiew rzucił anioł biały,
Na skałę ziarno padło, — nie było więc plonu...
Lud wasz jasno nie patrzył, w szale kąpał cały,
Ztąd mało tylko żniwił, nie sprawił zagonu.
Było wówczas nas przykuć swobód dopełnieniem,
Miłością ogrzać serca i tulić jak dzieci,
Była chwila łączności, była chwil marzeniem,
Lecz z chwili takiej boskiej... nienawiść się kleci!!
Frydryk Wilhelm popierał zacne ludu chęci*),
W patencie swoim z marca, gdy Niemcy jednoczył,
Wybór dawał prowincjom. Wolność ludzi nęci!
Monarsze dano adres, do swobód on kroczył,

*) R 1848. Panujący wówczas król pruski Fryderyk Wilhelm IV. stanąwszy na czele ruchu. dążącego do zjednoczenia Niemiec pod egidą Prus, w patencie swym z d. 18 marca pozostawił nam swobodę działania. W patencie tym bowiem oświadcza monarcha, że prowincye pruskie, należące do ówczesnej Rzeszy Niemieckiej same mają orzec, czy chcą się do niej przyłączyć, lub nie. Komitet polski ułożył adres do króla, skutek był taki, że miała nastąpić reorganizacya narodowa dla Księstwa Poznańskiego, na podstawie traktatów Wiedeńskich. Władze wojskowe wydały dla polskiej gwardyi narodowej 300 sztuk broni.

Lepsze rządy obiecał wsparte traktatami:
Odrodzić miano Księstwo, lecz w duchu narodu!
Nawet broń nam rozdano! radość była z nami!
Gdy nagle wichur powiał, a mroził od lodu!*)
Colomb Poznań ogłosił w stanie oblężenia**),
Ściągając liczne wojsko z Pomorza i Śląska.
Głowę wznosi reakcja, budzi z upojenia...
Na zawsze zwiędnąć miała przyjaźni zawiązka!
Bunty widzą w niewinnych, władze podburzają,
Aż czynnie broń chwycono, by pokój zakłócić.
Zamiast swobód wolności, krew nam przelewają,
Że święta sprawiedliwość musiała się smucić.
Protest gonił protesta, ale przebrzmiał echem,
Choć zacni nawet Niemcy o krzywdę wołali!
Alboż kiedy Germania pójdzie zgodnie z Lechem,
Czy kiedy szczerze rękę przyjazną podali?
Była chwila wolności wielka majestatem,
W miłości łączyć ludy już miała na wieki...
Szowinizmu egoizm gardzi bliźnich światem,
Bo woli rzucić całun na bratnie powieki!

*) Posądzano Polaków, że wywołali rewolucję w Berlinie, co było fałszem, bo 13 marca były pierwsze rozruchy, a Polacy dopominać się zaczęli swobód, na podstawie traktatu Wiedeńskiego, po patencie króla z d. 18 marca.

**) Generał Colomb i prezes Beuermann wydali odezwę w której mówią, że gromadzenie się ochotników polskich nie ma celu i jest nieprawne. 3 kwietnia ogłoszono w Poznaniu stan oblężenia, ściągnięto do Poznania 15.000 wojska, wraz z landwerą z Pomorza i Śląska. Przeciwnie Polakom stronnictwa niemieckie zaczęły agitować, że przyszło do rozruchów, do wojny domowej, 27 kwietnia pada trupem bezbronny obywatel Stanisław Sadowski, zabity przez huzarów pruskich, w Żninie — Wiktor Potocki.

Prusom prawa urosły Konstytucją zwane,
Nam straty materialne... i obcych przeklęstwo!
Ale w duszy zakwitły laury w łzach kapane...
Co rodzą wieczność sławy... i czynów zwycięstwo!» —
Skończył słowa Skaliński, smutnie podparł głowę,
A Breisig oczy spuścił i milczał uparcie,
Trudno prawdę przewalczyć, wtrącać swoją mowę,
Skaliński słuszość głosił, a mówił otwarcie!
Stasia oczy podniosła pełne smutku, czaru,
Szepnęła słodko, cicho: — »Przepadły te chwile!
Zdziałać cuda tu mogły! Dolewano waru,
By zniszczyć kwiat miłości... co woniał tak mile...«
Breisig zerwał się z miejsca: — »Pani« — rzecze Stasi —
»Te chwile wrócić muszą, bo tęsknią szlachetni!
Naród wreszcie dojrzeje, zrozumieją nasi,
Że sprawy zasypiali — jak żacy nieletni!
Władze muszą zrozumieć politykę zdrową,
Z względnością rząd sprawując, jak ludom przystało
Znanym z dawnej kultury, drogę taką nową
Rozsądek chyba znajdzie... bo Niebo ją chciało,
Dając ludziom odrębność mowy, obyczajów,
I kładąc w serca miłość do ziemi ojczystej...
Takie boskie wskazówki wiodą w bramy rajów
I kąpać winny rozum w tej prawdzie przeczystej.“
»Wróżysz ulgę nam wszystkim« — Stasia odpowiada —
Przeczuwam, panie, ciernie... i z trwogi umieram!« —
»Moja Stasiu kochana, będzie przecież rada!«
Pociesza pani Łucja — »z nadzieją spozieram!
Wierzę w Bożą Opatrzność, wierzę w Boże rządy,
Najwyższym władzcą Bóg nasz, co liczy nam włosy!
Zawsze pewnie powieją nieprzyjazne prądy,
Lecz silna ręka Stwórcy powstrzyma tu ciosy!

Choćby wszystkie przysięgły, wszystkie świata

[trony,

By zniszczyć jaki naród — nie zginie, gdy wierzy
W jasną swoją jutrzenkę! Duch ten uproszony
Przez naród wobec Stwórcy! On ziemi nie mierzy,
Siłą wzbija się w chmury, gwiazdy, słońca goni,
I wraca pośród swoich, by żywić i budzić!
Duch ten w chacie, w pałacu jedną pieśń wydzwoni,
Olbrzymów siłę szczepiąc, nie może utrudzić!
Duch ten karmi nas rosą wytrwałości świeżą,
Rozgrzewa skrzeple soki miłości płomieniem,
Z grobów budzi pamiątki, które wieki leżą,
By dźwignąć naszą przyszłość, przeszłości ramieniem.“

Pani Łucja w spojrzeniu blaski dziwne miała,
Aż dziadek powstał z miejsca synową całując:

»Jeśli matka swej córce taką radę dała,
Nie wolno smucić, Stasiu! Zasadę miłując,
Idźże drogą wskazaną! Przyjdą trudy może,
Lecz twoga musi runąć, jak słaba kolumna,
Ludów losy to sprawy, sprawy tylko Boże!
Kolebką nieraz bywa — omszała już trumna!

Hania, siedząc przy Tadiusi, wzrokiem wodzi wkoło
I wreszcie w samo ucho chłopczynie rzuciła:

»Jaka jasność olśniewa naszej mamy czoło,
Jak gdyby z namaszczenia jakiego mówiła!
Pójdę śladem mateczki, dziadek wzorem tobie,
Bo sterczy jako skała i duchem i wolą,
Chociaż wiekiem już kruchy, może legnie w grobie,
W codziennem naszym życiu on będzie tu solą!«

»Ale słyszysz Breisigów?« — Tadzio siostrze powie —

»To mądrzy jacyś ludzie, odmienni od swoich!«
»Beno wcale ma dobrze w swojej płowej głowie« —
Dodała znowu Hania — »to jakby był z moich.«
Gwary młodych przerwały świeże wiadomości,
Depeszę przyniósł Wicek: — »To Michał przybywa« —
Głosił Czesław obecnym. Tadzio krzyk radości
Wydobył z pełni serca i Hania jak żywa,
Młoda łania skoczyła: — »Wujek wesół taki,
O ślicznie teraz będzie, wycieczki, gonitwy,
Humor wuja nagrodzi wszelkie tutaj brak!«
»Ja z wujem« — wołał Tadzio — »urządę tu bitwy!«
Wybiegł zaraz za Wickiem, żeby głosić wieści
I Hania podążyła, by pokój sposobić,
Chciała zawsze dogodzić, miała spryt niewieści,
Umiała rozporządzać, wiedziała jak robić.
Wszyscy szczerze lubili wuja młodej Hani,
Ztąd radość w oficynie i radość we dworze.
Rolski umiał zaczepiać, dumą serc nie rani,
Nadskoczny w swoich chęciach, więc wszyscy w humorze.
Sanie poszły na dworzec, Wicek stół nakrywa,
Lachatta brewkę czerni i Werner się stroi.
Jakże gościa nie uczcić, jeśli miłym bywa,
Swobodą swoją nieraz i smutki wygoi.
Tadzio uszu nadstawiał, dzwonków chwycił dźwięki,
Więc wybiegł całym pędem i gościa wysadzał,
W swojej wielkiej żywości byłby rozbił szczęki,
Lecz szczery całus wuja te guzy wygładzał.
Było krzyku bez liku, słowa padły gradem,
Rozbrzmiały szczerze śmiechy, zbudziła swoboda:
»Jakże« — Rolski zawołał — »Breisig, z waszym ładem?
Czy jeszcze sprawa nasza wyjątki wam poda?«
»Sądzę przyjdzie rozsądek!« — Breisig odpowiada —

»I wreszcie przejrzą wszyscy!« — tak Beno wtórował.
»Niemiec z ciebie porządny, Stasia z tego rada!«
Z uśmiechem rzucił Rolski: — »Ha, obok się chował!
W duszę polską zajrzałeś, w polskich oczu tonie...
Znalazłeś namaszczenie na drogę żywota,
Odtąd błoga szlachetność w twoich myślach płonie,
Że ciebie ucałować już bierze ochota!«
Bena oczy błysnęły, Michał dłoń porywa,
A Stasia zapłoniona do męża przysiadła.
Nagle stary Walenty wszystkich państwa wzywa,
Wieczera dawno czeka — więc sprawa upadła.

W Oporowie Galińscy bytność przedłużyli,
Chcąc z Rolskim spędzić chwile; złożyło się ładnie!
Z Topolinem Skalińscy zawsze chętnie żyli,
Więc dano znak i pannom — i poszło i składnie:
Jedną drogą Topolin, drugą Henryk zmierza,
A Tomasz wracał z chaty, gdzie chora leżała,
Zosia, córka Piotrowej. W drodze sobie zwierza,
Że Zosia czarnobrewa gwiazdami patrzała,
Oczy miała płomienne, ciało w marmur skute,
Gorączką podniecona duchowe ma blaski!
Piękne, zawsze jest piękne dziewczę niezspsute,
Promieniem cnoty lśniącej i strojne w jej łaski:
Perłą błyszczy niewinność, skromność turkusami,
Z ufnością wiara w parze szmaragdy rozsiewa,
Miłość tkliwa, gołębia, znaczy rubinami,
Ożywcze jakieś pieśni z tych skarbów wyśpiewa.
Zosia urok ma wielki, prosta jednak dusza,
Zaledwie szkołę znała... lecz rozum od czego?
Chłopski rozum, to skarbiec, nieraz wiedzę wzrusza,

Instynktu siłą żyje i broni od złego.
Takie myśli doktora męczą podczas drogi,
O kamień stopą trącił i zbudził się z sykiem:
»Pocóż kamień na drodze, jakby omen srogi?!«
Marzenie jego prysło z bolesnym okrzykiem.
Tomasz spotkał Henryka, w sieni dużej, w dworze,
Więc razem poszli witać, a Rolski już woła,
Pełen śmiechu, swobody: — »Patrzcie, błyszczą zorze,
Aż cztery mamy panny! już kapie mi z czoła,
Zmęczon jestem bawieniem! Chodźcie, chłopcy, śmiało,
Osóbki bardzo miłe, a iskry, a blaski!
Niebo bardzo łaskawe, jeśli gwiazdy dało,
Ruszajcie tylko z życiem, a skapną wam łaski!«
Idą z wielką odwagą, Henryk uśmiech żniwi,
Lecz Tomasz uczuł lody... uchwycił uwagi,
Zucha jednak udaje, chociaż w sercu cikliwi,
Na zimny bierze rozum, choć dostrzegł już plagi!
Wanda rzekła: — »Błahostki! panie Rolski, proszę,
Zagadka bardzo świeża, powstała u hrabi,
Czemże zowiesz błahostki? Zgadniesz ledwie — wnoszę.«
»Błahostki?« — pytał Rolski — »ciekawość nas wabi.«
»Żadną miarą nie zgadniesz, zatem dopomogę:
Błahostką cześć kobiety w mniemaniu doktora!«
»Ani mogę uwierzyć! biorę sztywną togę,
By sądzić winowajcę, nadarza się pora!
Jakże mogłeś, mój drogi, zacny eskulapie,
Podobnie dzwonić głośno? Ha, zmysły postradał!
W szarem życiu codziennem pajak muchy łapie,
Dogodzić pragnie sobie... a wolność on nadał!«
»Jakto muchy? mój wujciu?« — Hania woła żywo —
»Obrażasz panien grono, z doktorem spiskujesz!«
»Ale, miła Hanusiu, drogi, idąc krzywo,

Do celu jednak wiodą! Prostotę miłujesz!
Zatem sądźmy poprostu, wymierzając karę!
Lecz jaką? Mówcie paniel! — »Niech zguby odszuka!« —
Rzuca Lodka z uśmiechem, idąc z Tadzkiem w parę,
Umowa była z chłopcem. — »Zginęła peruka,« —
Mówi dalej chichotka — »Werner straty płacze...«
Zrozumiał figla Rolski: — »To kara nie sroga,
Zatem radzę się zgodzić!« — Tadzio z śmiechu skacze:
»Ułatwię całą sprawę, pokażę — gdzie droga,
Lampionami przyświecę, dopomogą paniel!« —
»A jakże!« — woła Hania — »więc Tadzio... latarniel!
Każdy weźmie światełko, wujcio na przód stanie
I pochód poprowadzi, a doktor zagarniel!
Zguba łatwo się znajdzie!« — Tomasz słuchał z boku,
A humor coraz lepszy ogarniał doktora:
»Zatem przyjmę tę karę!« — wołał — użył skoku,
By dostać lampion chiński, a obok, jak zmora,
Ruszył wujcio z swym sztabem, otulonym w szale,
Błękitne, białe, żółte, na drążkach lampiony.
Poszedł z śmiechem i hrabia jakby w karnawale,
Dowcipem Rolski chwytął, był wujem olśniony.
Pochód ruszył do parku, krążąc wkoło domu.
Wenera Lachatt' woła, guwerner się chowa:
»Jestem niezdrów, nie wyjdę!« — odrzekł pełen sromu —
»Najzdrowszy z pana człowiek! i radość gotowa!
Tryumf pana spotyka, w pełnym blasku, w chwale,
Koronę złożą tobie, a idą od wschodu...
Radzę wielką cierpliwość, zginiesz chyba w szale!
Bo wszyscy wielbić będą, prócz mego narodu!
Spojrzyj tylko przez okno, pochód idzie dziwny,
Do dębu mierzy prosto, a śpiew się rozlega.« —
Werner okna uchylił: — »Jaki pan naiwny!« —

Szyderczo woła Lachatt' — »zachoruj... na szpiega!
Radzę czyny wysledzić, — spisek w parku knują,
W lodowni broń ukryli, chorągiew na drzewie.
Biedni oni, och biedni! wolność w sercach czują..
Uważaj jaki smutek, rozbrzmiewa w ich śpiewie...« —
Werner ucha nadstawił, niby trochę wierzył
I trochę podejrzywał, więc wypełził z swej nory,
Tajną drogą do parku kroki ciche mierzył,
Wszak łatwo postać skryje, bo wiedzą, że chory;
Stanął wreszcie za krzakiem, pochód mając zbliżka.
Przy dębie wszyscy byli, unosząc lampiony,
Wreszcie Tadzio kamyczek w górę zręcznie ciska,
A Tomasz krzyknął głośno: — »Podobna do wrony!« —
Potem drążkiem zahaczył, ściągnął, uniósł wgórę,
A Werner dech zatrzymał i śledził w ciemności:
Jakaś dziwna chorągiew... czoło zmarszczył w chmurę,
Binokle prędko wsadzał, by dojrzeć jakości...
Nagle Tadzio go spostrzegł, skubnął wuja, śmieje,
A Rolski krzyknął głośno: — »Zdobyta, więc hura!« —
Znana światu chorągiew, niby buńczuk wieje,
Rozpoznał nagle Werner — i milczkiem dał nura!
Ale Tomasz zawołał: — »Bierzcie zgubę cenną,
Pokutę odprawiłem i winy zmazałem!« —
»Panie chyba wybaczą twoją myśl płomienną!
Doktorze,« — mówił Rolski — »z uśmiechów czytałem!
Zatem zgoda ogólna, ale przyjdzie burza,
Skalińscy domowników w opiekę tu biorą!« —
Tadzio oczy już spuszcza, białe czoło schmurza:
»No, chłopcze,« — woła Rolski — »nas trochę wypiorą!
Zabierz teraz perukę, odnieś bardzo grzecznie
I przeproś guwernera!« — »Dyana ją wzięła!« —
Wołał Tadzio zdaleka — »było też bezpiecznie,

Że jakaś dłoń łitosna i z dębu ją zdjęła!« —
»Którą drogą tam doszła?« — zabrzmiał głos surowy,
To dziadek z ganku pytał, więc Tadzio się wzroszył:
»Pewnie wrony ją wzięły« — rzucił dowcip nowy —
»A teraz, dziadku, pochód te gapy wypłoszył!« —
Palcem groził Skaliński. — »Spokój wieczny będzie!
Przepadły marne ptaki!« — tak Rolski tłumaczy.
»Odtąd Tadzio szanować będzie starszych wszędzie!«
Przemówił ostro dziadek. — »Niech dziadzia wybaczy!«
Panny chórem prosiły, Tadzio dopadł ręki,
Serdecznie ścisnął dziadka, obiecał poprawę.
Ostro łajał Skaliński, ale skrócił męki,
Bo humor rozbrzmiał śmiechem, podnosząc zabawę.
Rolski wszystkich rozruszał, Hania była śmielsza,
Kaskada dźwięcznych tonów z jej ustek padała
Srebrnym śmiechem w salonie, twarz jej trochę bielsza,
Bo zziębła nieco w parku, swobodą tryskała.
Hrabia śledził ją pilnie, żywość urok mnoży,
Serdeczność śmiechu zdradza naturę otwartą.
»Taki kwiatek niewinny piękny dar to Boży« —
Pomyślał Henryk zcicha, żrenicę miał zwartą,
Jakby z duszą rozmawiał, patrząc tylko w siebie...
Co widząc Hania, pyta: — »Wszak hrabia zmęczony?«
Henryk szeptem odpowie: — »Jestem jakby w Niebie...
Niewinnym twoim czarem ja, pani, olśniony...« —
Hania oczy spuściła, patrzył pilniej hrabia,
Spojrzeniem objął długiem to swoje kochanie:
»Pani śmiechem anielskim wszystkich ludzi zwabia!« —
Dorzucił jeszcze z lękiem — »Żartujesz, mój panie!«
Rzecz cicho dziewczeczka — »psujesz duszę moją...
Pochlebstwo jadę zionie i truje tu ludzi...
Powiedz raczej niegrzeczność, prawdy duszę goją!

Na razie wprawdzie boli, lecz ufność obudzi.« —
»Jestem bardzo posłuszny, zatem ganię pani,
Że bliźnich równo lubisz... bo będąc zgłodniałym,
Chciałbym zabrać sam wszystko! ale widzę rani
Ta prawda uszko pani... lecz będę już stałym,
Prawiąc tylko niegrzeczność... obiecuję szczerze,
Lecz proszę zostać chwilkę.« — Już, hrabio, nie mogę,« —
Mówi Hania zmieszana — »ale panu wierzę,
Że będziesz prawdę głosił... nie łudząc niebogę...«
Hrabia spojrzał uważnie, dostrzegł łzy w spojrzeniu,
Zakipiał cały lękiem, czy Hanię obraża?
»Panno Hanno, powtarzam, jestem w upojeniu!
Otwartość szczerą, pani, niech ciebie nie zraża.« —
Oddał ukłon poważny, ale spojrzał z prośbą,
A wyraz jego oczu tak bardzo głęboki
Duszy zdradzał przymioty.— »Wracaj chociaż z groźbą!« —
Poszepnął jakby echem i salon szeroki
Mierzył wzrokiem marzącym... tędy poszła Hania...
W krainie myśli zoczył i inne widziadło,
Ale bardzo odmienne, zatem postać ślania,
Przeciera ręką czoło: — »O, żeby przepadło!
Straszne widmo Amelji! ono pełza w świetle,
Jak chytry wąż się ślizga... i w przepaść porywa!
Hani dusza ma skrzydła... białe jako kwiecie,
W ogrodzie lilią zwane — i w puchy się skrywa,
Żeby pyłem nie skałać swojej śnieżnej bieli
I pełnym olśnić blaskiem, gdy trzeba otuchy!
Grzesznikowi ta świętość serce rozanieli,
Zapragnie swego Stwórcy, zapragnie i skruchy.
Nagle śladem się puści śnieżnych skrzydeł duszy
I skąpie swoje serce w przezroczach błękitu,
Wówczas ziemską lepianka sama siebie skruszy,

A myśli jako chmury dopłyną zenitu.« —
Hrabia tonął w zadumie... Rolski doń pospiesza
I śmiałym mówi głosem, a Henryk podskoczył,
Jakby nagle zbudzony: — »Doktór wciąż rozśmiesza,
Na przekor prawił pannom, że cuda dziś zoczył.
Panny bardzo ciekawe, zaraz któraś doszła,
Że Tomasz Zosię leczy, dziewczynę tu z chaty.
Lodka z Hanią do chorej teraz z zupą poszła,
Zobaczyć pragnie cudo, podziwu te kwiaty!« —
»Tomasz bardzo surowy, kpiny tylko budzi,« —
Odpowie hrabia zcicha, — »lecz człowiek to zdolny!
Zawsze szorstkość w manierach zapal wszelki studzi,
A przytem z swoim zdaniem i Tomasz namolny,
Starszym czubem się stawia, zawsze oponuje,
Nie wnika w głębię sprawy, lecz rzuca i miota,
Niby w sieci ów szczupak, który śmierć swą czuje.
Burzliwość w duszy siedzi, do swarów ochota.« —
Wkrótce panny wróciły, Lodkę wzięły w koło,
Pytały głośno bardzo, czy Zosia jest ładna?
Hania jednak schmurzyła swoje piękne czoło,
Szepnęła doktorowi, bo była nieradna.
Potem wiedzie Tomasza, żeby przemyć rany
Dzieciny, która w chacie od dawna już chora.
Znaną Hani litością Tomasz zczarowany
Życzenie spełniał chętnie, więc lubi doktora.
Chwali dobre uczynki, umiejętność jego,
Sumienność, miłosierdzie i serce litosne,
Ale nigdy nie spuści Hania z tonu swego,
Nie miesza nigdy siebie w rozprawy miłosne.
Tomasz Hanię szanował, wielbił w swojej duszy,
Lecz sądził miłość jego Skalińską obraża,
Zatem cześć jej oddawał, jaka trony wzruszy,

I nieraz w zaufaniu do Hani rozważa:
»Szorstkość moja widoczna!« — mówił idąc z chaty —
Lecz płynie ona z duszy zgorzkniałej zgryzotą...
Z gminu wprawdzie powstałem, w gminie moje braty,
Prostotą jednak rażą — a dwór zwie hołotą!
Czując wyższość nad nimi, tracę cześć konieczną,
Poznaję z innej strony, że braknie mi wiele,
Żeby znaleźć uznanie, jakby sankcję wieczną,
By w wyższą wsiąknąć sferę — więc smutek się ściele,
Rozstrój wnika w mą duszę, rozstrój z samym sobą!
Ludowcem niby jestem, a salon mię nęci.
Widzę wyższość twą, pani, zatem mówię z tobą,
Bo ulgę może znajdę, zrozumiesz me chęci.« —
»Bardzo pana pojmuję« — powie Hania szczerze, —
Rzuciłeś drogę ojców, więc idziesz samotny,
Ale czynem to miejsce zdobądź w wyższej sferze,
A braci swojej mniejszej, bądź zawsze ochotny.
Niżsi oni nauką, lepszem wychowaniem,
Lecz myśli zdrowe mają, a serca gorące!
Albo nasza zasługa świecić królowaniem?
Cóż winni oni mali, że wsiąkną w tysiące?...
Stany dziełem są czasu — zatem śmieszna pycha
I śmieszne pogardzanie prostaczym tym ludem!
Gdyby żyli w tych sferach, dokąd każdy wzdycha,
I oni będą sławą i ducha tu cudem!
Nieraz lud nasz podziwiam, ile hartu mają,
By znosić głód, niewywczas i ciężkie mozoły!
Jaki przykład wspaniały wyższym sferom dają,
Miłując glebę, język, tak jakby te pszczoły,
Które strzegą tu ula! Jaką ufność rodzą
I budzą silną wiarę, gdy los ich batoży!
Wolą Boską swe troski tylko zawsze słodzą:

»Wszak wolno Panu zabrać, a zechce pomnożyć!« —
Takie słowa głosiła kobiecina biedna,
Gdy pomor zabrał bydło i chlewną jej trzodę,
Cały wymarł dobytek! resztką — troska jedna,
Czem żywić grono dzieci i podać ochłodę?« —
»Jaka pani szlachetna, jaka pani inna!
Jam dużo winien tobie, otuchy dodajesz,
Moja matka twe ręce ucałować winna,
Bo zasad uczysz prawych, w obronie jej stajesz!«
»Matka« — powie Hanusia — **»święta postać, panie!**
A choćby prostą była jak nędzna żebraczka!
Matka, skarbem najdroższym, naszych dni kochanie,
Dopóki ócz nie zamknie żałobna jej płaczka.
Wszędzie zdrada wygląda, nawet z piersi dziecka,
Nie można ludziom ufać, lecz matka nie zdradzi!
Owszem, szczerze przestrzega, jeśli chęć zdradziecka
Omamić tylko pragnie... na zgubę prowadzi!« —
Tomasz głowę opuścił, odtąd milczał stale;
Do dworu zwolna doszli — tu Hania swobodna
W gronie gości zniknęła, ożywiła sale, —
O, myśl jej zawsze czysta, więc dusza pogodna,

Pieśń V.

Wielki post.

Przebrzmiał echem karnawał, cisza gości w dworze,
Ponure ścieląc kiry i smutek wydzwania,
Płyną pieśni pasyjne, zwłaszcza w późnej porze,
Tęsknotę czują dusze, a może i łkania.
Tęskni dusza, o tęskni... Ojciec przecież w Niebie
I Szafarz wszego dobra, — tu kolce i ciernie!
Nieraz w strasznej boleści rada przenieść siebie
W krainę wiecznych światel! lecz żyła li wiernie?
Alboż oczy są godne spojrzeć w twarz Chrystusa?
A ręce dotknąć szaty, co była skrwawiona?
Alboż serce głosiło czystą cześć Jezusa,
Nie grzęzło w brudnej pysze, co z Nieba strącona?
Grzesznym człowiek zostanie... zatem smętnie kwili,
Bo widząc błahą słabość, niemowlem się staje.
W zamian Kościół, jak matka, czujność swoją sili,
W pokucie, w postach, w modłach, odporność nam daje.
Ceniąc środki Kościoła, stary pan Skaliński,
Codziennie z dworem całym przed krzyżem upada,

(Nieraz jako konkurent klęczał Jan Galiński),
Litanię głosi Hania, a czyni to rada;
Dziadek z księgi rozmyślał ustęp krótki czyta,
A w końcu pieśń rozbrzmiewa potężna swą nutą,
Serce świata odrywa, myśli w Niebo chwyta...
O, wielkie takie pieśni, co zabrzmią pokutą!
Dawid psalmy wyśpiewał, które wieki trwają,
Bo silna tryska miłość i ufność niezmierna,
Ale także pokora — one źródła dają,
Wybielą duszę człeka i sprawią, że wierna
Pójdzie śladem niebianek, które rozśpiewane
Anielskie mają skrzydła i gwiazdy u skroni,
Szaty długie, śnieżyste, tęczą rozbłyskane,
U boku lutnia srebrna, a palmy w swej dłoni.
Taką świętą niebianką dusza każda człeka,
Gdy woda chrztu obmyje zaległe te winy
Pierwszych świata rodziców; — **ale łza, gdy zcieka,**
I później grzechy maże i bieli te syny,
Które Matkę chcą zbawić! Matkę! jakże Matkę?
O, Matka cierpieć musi, pokutę tu znosi,
Jeśli dzieci błędziły... grzech, to grom, co w chatkę
Z potężną wali siłą i pożar roznosi!
Grzech to potwór ognisty, który zgryzie belki,
Setnemi językami i strzechę popali,
Pożre rodzin dobytek, skłóci spokój wszelki,
Fundament nawet skazi i mury rozwali.
Grzech to żmija sycząca, która pełza zcicha
I bacznie łeb unosi, by piersi dosięgnąć,
Nagle skokiem się rzuca, jad swój w serce wpycha,
By atom każdy zatruć i z piekłem go sprzęgnąć.
Jeśli dzieci zatrute, chatka popalona,
Co, biedna Matko, tobie w tym świecie tu rządzić?

Głowę chylisz w rozpacz, wołasz rozżalona:
»O syny moje, syny! przestańcie już błądzić!
Myśli wasze biczą, słowa cierni wciskają,
Uczynki krzyżem wielkim na barki upadły!« —
Wszystkie grzechy narodu Matkę porywają!
Zemdloną wloką... w cierniach... aż gwiazdy pobladły!
Wloką wyżej, na górę zwaną »trupią głową« —
Tam — zdjęto krzyż jej z barków, lecz... żeby krzyżować!...
Zdarto szaty z niewinnej, dając hańbę nową!
Piekielnej swojej złości chcą ludy folgować!
Kładą łzawą na krzyżu, rozrywając ciało...
Ponuro grają młoty, a słońce już gaśnie...
Blednie oko i Matki, które życie dało,
A teraz mgłą zachodzi... na wieki li zaśnie?
Jakaś chmura olbrzymia wisi ponad krzyżem,
Ogniste błyszczą węże, wichura się zrywa,
Zdała odgłos piorunów huczy jakby spiżem!
Gromadka wiernych dzieci pod krzyżem się skrywa,
Płacząc łzami pokuty... patrzy w górę z trwogą,
Czy gromy hukną w Matkę i porwą jej ducha?
Mdleje Matka na ciele... rani grom niebogą,
Lecz duch jej potężnieje... bo działa już skrucha!
Dzieci wierne, wytrwałe, czują życia drgnienie...
Promienne blaski Matki padają od krzyża...
Wyższa myśl ich orzeźwia, budzi serc pragnienie...
Po burzy słońce błysnie... i spokój się zbliża...
Takie myśli krążyły w głowie Skalińskiego,
Gdy z klęczek w wieczór wstawał po śpiewach
[pokutnych,
One blaski dawały oku zwilżonemu,
Otuchę budząc w sercu po bólach okrutnych!
Widział grzechy przeszłości, ale liczył kary:

»O, trzykroć zmiotła śmierci nam kwiaty młodości!
Piją bracia pokutę, piją z wielkiej czary,
A każdy w duszy krzyżem przed Bogiem swym leży.«
Nagle wstaje Skaliński, głowę wznosi w górę
I gniewnym pyta wzrokiem: — »Czy każdy to czyni?
**Widzę tłumy wąpiących, którzy patrzą w chmurę
I bluźnią hardzie Bogu! Czy Stwórca ich wini?
Przekląć musi Stworzyciel, jako zrobił w puszczy,
Gdy Mojżesz zwątpił w Siłę, co skałę poruszy,
Żeby wodą orzeźwić chore członki tłuszczy!
Wąpiący swojej pychy tu nigdy nie skruszy,
Stopą swoją nie dotknie gleby ukochanej
I w puszczy błdzić będzie przez całe swe życie,
Jako Mojżesz nie dotknął ziemi obiecanej,
Lecz zdala znalazł grób swój, bo bluźnił tu skrycie!**
Boże!« — jęknął Skaliński — »jestem słabym człkiem,
A życie chłonie siły i grób jest w pobliżu...
Pozwól jednak, mój Panie, żeby z późnym wiekiem
Nie miękła dusza moja, lecz była ze spiżu!
Żeby wiarę głosiła jako dzwon spiżowy,
Co braci zdala wzywa do domu Bożego,
Skoro dzień ten zabłyśnie — wielki, święty, nowy,
Gdy każdy znajdzie ulgę dla serca biednego...
Ulga przyjdzie niebawem... może każdej chwili...
**Lecz miejmy wiarę taką, co góry przenosi,
Która w czynach szlachetnych ciągle siebie sili,
Miłością serca grzejąc, nadzieją je rosi.**
**Rolnik zagon sposobł, w pocie orze, sieje,
I żniwi kłosa złote, bo praca plonuje:**
Żniwo zawsze przyjść musi, zwykle światła dzieje,
Lecz w czyny strójmy życie, niech mózół poczuje!
Żniwo będzie obfite, jeśli wszyscy wyjdą

Sposobić zagon ojców! W pałacach i chatach
Jedno echo rozbrzmiewa: Z wolą silną przyjdą,
By rozgrzać chęci swoje! a wiara na czatach,
Żeby wola nie słabła, ręce z trudów mdlały,
A skwarne słońce czasu nie ćmiło rozsądku:
Prace takie zbiorowe świata cuda dały,
Nie burzą pokój święty, pilnują porządku.« —
Głowę zwiesił Skaliński, myśli zawsze ciężą
I męczą duszę nieraz... półsenny tak siedział.
Myśli wielkim tyranem, człeka ciągle wiążą,
A zwłaszcza gorącego, — Skaliński to wiedział:
Oka w nocy nie zmrużył, jeśli sprawa pilna,
Rozmawiał z samym sobą i szukał lekarstwa,
W mózgu radę przepalał, zatem była silna,
Korzystać z zdrowej mogła już każda tu warstwa.
Chłopak spieszył do niego, głosząc żale swoje,
W Skalińskim znalazł ojca, lecz także mentora,
Magnat, szlachcic, mieszczanin, w planów nowych roje
Wciągali Skalińskiego — godnego nestora.

W mroźny ranek marcowy jakaś czerstwa postać,
Opięta w kozuch białą, o pana pytała,
Wkrótce druga i trzecia pragnie radę dostać,
Gromadka spora włościan przed dworem już stała.
Poznał włościan Skaliński, skinął ręką zdala,
Przybysze idą śmiało, a patrzą z ufnością,
Boga chwając już w progu; starzec wzrok zapala,
Ojcowskim mierzy wzrokiem i pyta z czułością,
Czego serca ich pragną?...

»Rady, panie, rady!

Bo uczą wiary polskiej w niemieckim języku!

Dzieci płaczą pod piecem, w izbie z matką zwady,
A w szkole, — Jezu dobry! co jęku i krzyku!
Dzieciak nijak nie umie, jakże gadać może,
Bo matka, ojciec stary po polsku modlili!
Z mlekiem matki niemowlę wyssie mowę, Boże!
Czy inni kiedy Boga prawdziwie uczcili?« —
»Przyjacielu,« — Skaliński zwolna głośno powie —
»Stworzyciel mowę dawał, więc prawa dyktował:
Każdy Boga w ojczystej winien chwalić mowie,
Lecz przybysz innych zasad tu z nami próbował.
Prawo jednak niebieskie wyższem prawem będzie,
Ztąd rady szukać trzeba, niech prawda zwycięży:
Zbierzcie zatem podpisy, w chatach, w dworach, wszędzie,
Petycję wyślę zaraz! O, krzywda mitręży!« —
»Kiedy jeszcze jegomość,« — mówił Krysiak stary,
W Berlinie posłem bywał, to lepiej kipiało!
Dzisiaj słaba obrona, krótko biją wary,
I letnia będzie wola, bo w sercach nie wrzało!« —
»Czasy, Krysiak, są zmienne, również polityka,
Lecz lepiej zgóry walić, niż lisa udawać.
Niechżeż każdy otwarcie żądań swoich tyka,
Na łaskę, albo krzywdę, nie liczyć, nie zdawać.
Zdrowy rozum powiada, kim cię Bóg twój stworzył,
I w jakie przybrał prawa w ojczystej krainie,
W jakim celu tę miłość w twojem sercu złożył,
Co wcześniej zapal budzi już w małej dziecinie!
Chociaż ptaszę bezduszne, jednak siebie broni,
Swe gniazdo ubezpiecza i gasi pragnienie,
Przyrodzonym instynktem piosnkę swoją dzwoni,
A drobnym swoim dzieciom zachować chce mienie.
Prędzej, później, zwycięży tylko prawo Boga,
Więc broniąc świętej sprawy, gorąco ufajmy!

Taka bracia najmilsa jedna tutaj droga,
Do wspólnej sobie pracy więc ręce podajmy.« —
Krysiak głową pokiwał: — »Jegomości rada,
To iście sprawiedliwa, lecz takie to światy,
Każdy skubie, co może, ciągną przeto zwada —
I nigdy pewnie dalsi nie będą nam braty.
Chociaż pójdzie petycja, oni zrobią swoje,
Mocniejszy słabszych zwali, to widzę co ranka,
Jako dziobią koguty koło chaty w dwoje,
Lub Kubuś pięścią wytnie słabszego już Janka.« —
»Widzisz, Krysiak, koguty, jako małe dzieci,
Działają w ciemnej złości i w wielkiej głupocie!
Czucia takie zwierzęce, ale duch ukwieci
Rozumne ludów czyny, — oświeci w ślepotcie.
Kiedys przyjdą te czasy, w których duch zwycięży,
Więc kształć pilnie umysł i sobie służymy!
Taka czynów ślepotą wszystkich lud mitręży,
Nie widzą w kraju słońca, — lecz lody i dymy!« —

Poszli bracia włościć radą pokrzepieni,
Przy schodach w ciasnym kącie spotkali chłopczyne,
Bose nogi rozcierał, które mróz rumieni,
Lecz w oczach zapal błyskał, jakgdyby ptaszynę
Słońce w pole nęciło, — w ręku książki trzyma
I śmiałym idzie krokiem. — »Gdzie idziesz, dzieciaku?« —
Pyta Krysiak ciekawie, — »jako śmiało dyma!
Nie widzisz murów pańskich, ty zmarzły chłopaku?« —
»Idę przecież się uczyć! Tazio, panicz, czeka —
I czytać pięknie każe i śpiewać tak ładnie!
Panicz mówi: »Jędrusiu, zrobię z ciebie człeka,
Lecz pilnym będziesz zawsze, bo leniuch — to kradnie!

Kradnie dzionek ten Boży!« — »Słuchaj,« — Krysiak
[powie, —

Co panicz tobie gada i oświeć dzieciaki!
Rosną jako to zielsko, pusto mają w głowie,
Bo w obcej mowie uczą te biedne robaki!« —
Poszli drogą ku wiosce, — Jędrus żwawo skoczył,
Bo panicz przysłał Wicka, by chłopca wprowadzić.
Tadzio siedział nad klatką, skoro Jędrka zoczył,
Poważny przybrał wyraz, jak mentor chce radzić,
Zatem rzucił pustotę, nawet dowcip miły,
I wskazał miejsce chłopcu pod oknem, przy stole:
»Próbuj teraz, Jędrusiu, próbuj własnej siły,
Nie wszystko dzieci uczą w tej wiejskiej tu szkole.
Czytaj pilnie i dużo, poznasz szersze światy
I dzieje różnych ludów. Tu widzisz portrety,
Spojrzyj w księgę rozwartą, patrzaj, jakie szaty
Nosili monarchowie, tam wojsko, bagnety,
Wielki hufców proporzec, — dalej orły, działa,
Tu biją dzielnie Turka, tu Szweda ścigają.
Patrzaj, chłopci w sukmanach, jaka garstka mała,
Lecz z jaką wałą siłą! — odbili! — już mają!
Biorą działa, chorągwie, — »górą« — krzyczą — »górą!«
»Niech Bogu będzie chwała za nasze zwycięstwo!«
Tutaj klęczą pod krzyżem, znowu idą chmurą,
By czynem wielkim dowieść, że w sercach jest męstwo.«
Jędrus chwycił wyrazy, nadstawiając ucha,
Obrazy badał wzrokiem, rumieńce dostaje,
Wreszcie pyta skwapliwie: — »Czyli Stachu słucha
Panicza w Topolinie, a panicz, czy łaje?«
»Stacho bardzo jest pilny, pójdziesz śladem jego!
Nie wolno gnuśnieć dzieciom w lenistwie, w ślepcie!
Zawsze dziadek to prawy; pilnuj tylko swego,

A wkrótce koniec będzie tej grubej ciemności! —
Zlekka drzwi się rozwarły, wchodzi pani domu
I łzawem patrzy okiem na chłopca i syna,
Gładząc główki dziecięce. Jędrak pełen sromu
Do kolan przypadł pani, a Łucja zaczyna:
»Tadzio uczy, — to ślicznie! ale Jędrus bosy!
Mój synu, ducha krzepisz, — a ciało w potrzebie!
Ratuj jedno i drugie! Dzieci — młode kłosa,
Ochrony potrzebują, bo nikną na glebie!
Przynieś, Tadziu, obuwie, ogrzej Jędrka nogi
I posil chlebem chłopca. — To wszystko jałmużny,
Które winien możniejszy, jeśli brat ubogi..
Tem spłacasz należyłość, boś Niebu jest dłużny.
Niebo ciebie stawiło w wyższej warstwie ludzi,
Więc możność tobie dało wszechstronną i wielką,
Żeby siebie wykształcić, słusznie zatem trudzi
To tkliwe twoje serce, by pomoc dać wszelką.«
Tadzio spieszenie wydobyl starsze swoje rzeczy
I niemi odział Jędrka, a chlebem posilił.
Wcześniej brata chłopczyna ciało, ducha leczy —
I szczęśliw w sercu uczuł, że rady nie zmylił,
Dziadek przecież wspominał: — »Jędrak, chłopak zdolny,
A pełen skwapliwości, choć wyrostł gdzie strzecha!
Ale kształcić go trzeba! kiedyś kwiat ten polny
Zakwitnie w słońcu bujnie i będzie pociecha!« —
Jędrak szczęściem promieniał, objął pani nogi,
Całował Tadzia ręce i wybiegł jak strzała;
W sieni trącił posłańca, który zeszedł z drogi,
Bo chłopca cała postać wyższością tryskała!
Potem z wrzawą okrutną napadł grono dzieci
I z krzykiem pokazywał ubranie i buty,
Dopadł wreszcie i chaty: »Matusz« — wołał — »leci

Oj leci jakby z Nieba! podarek jest suty!« —
Matusz głową kiwała, ale zaraz pyta:
»Posłaniec z poczty chodził, co słyhać we dworze?« —
Jędrak milczał, nie wiedział, — w zamian Czesław czyta,
Że Janusz wkrótce wraca, a wraca w honorze, —
Zdawszy pilnie egzamin jako doktor prawa.
Depesza radość nieci w Skalińskich rodzinie:
Bije w dłonie Hanusia, szczęściem Łucja Łzawa,
Promieniał ojciec, dziadek i wujcio w swej minie!
»Janusz dzielnie się spisał!« — głośno Michał woła —
»Za taką pilność wielką nagroda niech spadnie.
Szwagier, siostra pozwolą, rozradujem czoła,
Liczniejsze zbierzem grono, przyjmiemy układnie». —
Szczerym szczęścia uśmiechem sankcję starsi dali,
Więc Rolski z Hanią, z Tadiem, już program układa.
Jutro pracę dostaną starsi, młodszy, mali,
Doktora wioska wita, więc słuszna parada!
»Jakże ślicznie się złoży, wszak to imieniny?
Pojutrze dziewiętnasty!« — mówiła Hanusia —
»Janusz właśnie przybędzie, rozpogodzi miny,
Weselej będzie w święto naszego dziadusia!« —
Zaraz szybko działają: listy rozpisano,
Tłómacząc opóźnienie i prośbę sąsiadom;
Kupcom w bliskim miasteczku polecenia dano,
A wieczór poświęcono już cały naradom.
W wilią końca nie było krzątany w dworze,
Bo kucharz, gospodyni specjały szykują,
Biorą, pieką i wnoszą, dziwny ruch w komorze;
A Wicek z żwawą Bronią jak ptaki szybuja,
Mając szczotki na nogach, żeby froterować,
Podłogę zbliżyć blaskiem do lustra srebrnego.
Hania paczki rozwija, idzie wszystko chować,

Bo stangret nawiózł z miasta towaru licznego.
Siwy lokaj Walenty srebro pilnie czyści
Tabaki szczyptę łapiąc, bo senność go chwyta;
Lachatt' z dziećmi wiejskimi bierze z donic liści,
Z jodliny wijąc wianki, a myślą już wita
Piękne oczy Janusza. Chłopiec miłym bywał,
Bładową miewał cerę, a włosy złotawe,
Usta nieco szerokie w mały wąsik skrywał,
Spojrzenie, czoło białe, miał zacne i prawe.
Łuki czarne zgłębiały wyrazistość oczu,
Podnosząc dziwne blaski, mieniające się stałą.
Każdy patrząc w młodzieńca tonął w ócz przezroczu,
Bo przeczuł jakie myśli w tych gwiazdach się palą.

Mrozem krzaki oszronił marzec dziewiętnasty,
Gałązki z cukru lepi z brylantów połyskiem,
Szyby okien ustroił w sztuczny wzór pierzasty,
Naturę całą zbieli swym zimnym uściskiem.
Ale murów nie przebił w oporowskim dworze!
Tam serca zawsze ciepłe i czułe wrażeniem,
Wszyscy hołdy chcą złożyć w odpowiedniej porze,
O, dzisiaj solenizant odżyje wspomnieniem.
Starzec zerwał się rychło, przybrał siebie w futro
I cichym krokiem poszedł drożyną kręconą...
Przeżył tyle w tem życiu, patrząc pilnie w jutro,
Modlitwą pragnął krzepić swą duszę znużoną...
Wioskę zwolna okrążył, idąc łąką, gajem,
Aż wreszcie głównym traktem już dotarł do Brodów.
Nagle skręcił ścieżyną, poszedł w bok, ruczajem,
I zginął w głębi chatki omszałej, bez wschodów.
Nogi znały tę drogę, ręka stare klamki,

Bo szybko drzwi uchylił, pozdrowił i pytał;
Niby patrzył na obraz, zdobny w czarne ramki,
A zcicha słuchał starców i w twarzach ich czytał.
Weteranów z szpitala często łaską darzył
I dzisiaj przyniósł grosze i słowa pociechy, —
Równy z nimi na błoniach inną przyszłość marzył...
Z młodością szybko gasły nadziei uśmiechy!
»Kiedyś lepiej być musi!« — dodał z siłą w oku,
Gdy Marcin kiwał głową, a Piotr mu wtórował:
»Ciężko wlecze się życie, ginie rok po roku...« —
**»Nagroda będzie zawsze, kto wiary dochował!
Może ujrzą prawnuki wielkich światła blaski!«**
Skaliński słabych gromił za chwile zwątpienia.
**»Dzisiaj, starcy, nam błagać wytrwałości łaski,
A młodszych zakuć w pracę czystego sumienia.**
Teraz chodźcie się modlić, sygnaturka woła,
Ofiarę zacznie proboszcz w tym wiejskim kościele«. —
Mile spojrzał Skaliński, schylił nawet czoła —
»Jesteśmy« — dodał — »grzeszni, a dni nam nie wiele«. —
Dwoje starców się wlokło Skalińskiego śladem,
Nie gardził ubogimi, dodawał otuchy,
Umiął wszystkich ovladnąć swoich myśli ładem,
Że z wątłych nieraz istot rodzili się zuchy.
Przeszedł progi świątyni, pochylonej wiekiem,
Zwolniwszy ciche kroki za filar się wsunął,
Uznał swoją maluczką — nikły proch — człowiekiem!
Pokorą wielką zgięty — więc krzyżem tu runął.
Widział winy i swoje, również dzieci, wnuków,
Praojców słabe chwile, pokoleń też błędy...
Gryzą swoim następstwem niby stada kruków,
Upada ciało... dusza... ubytek jest wszędy.
»Miłosierdzia, o Panie!« — łkało z piersi głębi —

»Dopóki siły trochę — i trochę odwagi!
Strasznie los nas dotyka, ducha mrozi, gnębi...
Litosnym jesteś Ojcem, o odwróć te plagi!
Winy nasze są ciężkie, ale Tyś jest Bogiem,
Przed którym ziemia zadrży w posady głębinach!
Pomnij, wierni byliśmy, broniąc krzyż przed wrogiem,
O, szukaj ulgi, Panie, w tych wielkich przyczynach!*)
Dumni byli magnaci, gardząc kmiotkiem biednym,
Rycerstwo zapalczywe niewinnych krzywdziło,
Skoro jednak potrzeba, wszyscy synem jednym, —
Bo komuż z braci z ziemią i z wiarą nie miło?
Duma miękła w cnym żalu, miłość serca grzała,
Waleczne poszły hufce, padały ofiary!
Wiernych synów ta ziemia zawsze wydawała,
Ofiarność w sercach była olbrzymia! bez miary!
Odważ cnoty na szali, odważ błędy, Panie!
A skoro ciężar równy — niech litość przemoże!
Ukaż Ojca oblicze, — przyjmij nasze łkanie!
Miliony proszą Ciebie! o, dźwignij nas Boże!**)
Łzami skropił posadzkę, szlochał z żalu długo,
Żarliwą modłą swoją cną duszę rozpałił,
Tonął myślą w Niebiosach będąc wiernym sługą
I długo swemu Stwórcy i skarżył i żalił.
Wreszcie powstał pokrzepion. — Proboszcz skończył
[modły,
Wychodząc czekał w kruchcie na swego sąsiada,

*) Polska była przedmurzem chrześcijaństwa, broniła Europę od napadających ją hord pogańskich. Jan III. Sobieski, zwycięstwem pod Wiedniem r. 1683 (12 września) zniszczył potęgę Turka, a uratował chrześcijaństwo.

**) Ogólna liczba wszystkich Polaków wynosi obecnie przeszło 18 milionów.

Ale starca przeszłości dawne bóle bodły,
Na cmentarz zatem skreślił — tu ciężar niech spada!
Długo klęczał na grobach, ojca, matki, żony,
Wspomnieniem wzmacniał duszę i szukał wytchnienia:
Nieraz jako młodzieniec bywał obrażony,
Gdy ojciec wskazał rady, te rady zbawienia!
Albo schmurzył swe czoło, skoro słodka żona
Łagodząc burzę chciała, co w mężu zawrzała!
»Dzisiaj grób nas rozdziela, — poszli drodzy — ona!
A pustka wieje wkoło — i ducha zachwiała...«
Dawno — dawno zrozumiał ojca rady zdrowe
I matki napomnienia i żony błaganie...
Chciałby wskrzesić do życia błogie chwile owe!
Przepadły niepowrotnie... zostało — szlochanie!
Głowę zwiesił Skaliński, ale jednej chwili
Do góry wzrok podnosi i patrzy w niebiosy:
»Z wami kiedyś się złączę!« — szepnął — »duch się sili,
Z pokorą, z męstwem, pragnie przeboleć te ciosy!
Niechaj dzieci, prawnuki, filar widzą w dziadku,
Co dźwiga terażniejszość z minioną przeszłością,
Niechaj biorą praojców dawną cnotę w spadku,
By świecić pośród ludzi przymiotów zacnością.«
Myśli przerwał znów proboszcz, znając Skalińskiego,
Że duszą w przeszłość tonie — więc zabrał z cmentarza,
Ogrzał winem i słowem serca gościnnego,
Z swobodą dawne dzieje starcowi powtarza.

W Oporowie domowi próżno wyczekują,
W gawędce zatopieni i proboszcz i starzec
Zapomnieli o czasie. — Wreszcie w takt kłusują
Kasztany z krytą bryką, bo mroźny był marzec.

Tadzio przybył po dziadka, prosząc uniżenie
W imieniu starszych wszystkich i księdza Wojciecha.
Proboszcz pragnąc dogodzić, przyjął zaproszenie,
Ruszono w trójkę żywo, stąd była uciecha.
Dzieci wiejskie czekały strojne w szaty, w wieńce,
Z sercami bijącemi od frontu, przed dworem,
Miały wygląd świąteczny, w twarzach blask, rumieńce,
Wygłosić pieśnią chciały życzenia z honorem.
Ledwie bryka stanęła, zabrzmiał śpiew chóralny
Na nutę dziwnie słodką Hanusi układu,
Potem Jędrus wygłosił jakiś wiersz pochwalny,
Do kolan przypadł starca. — Skaliński bez ładu
Rzucał czule wyrazy, będąc rozrzewniony,
Przygarnął ręką dziatwę i w czoło całował,
Potem dopadł już sieni trochę umęczony.
Za starcem pomknął Tadzio, za siebie coś chował,
Wreszcie podał dziadkowi pysznej rzeźby klatki,
Hanusia pantofelki misternej roboty,
Pani Łucja poduszkę swojej pracy, z siatki,
A Czesław przyniósł miodu dla wspólnej ochoty.
Wicek wypadł do dziatwy, wskazał czeladnicę,
Ruszyła z życiem, gwarowo, by wypić i kawę;
Tadzio przybiegł znienacka, porwał w wir klucznicę,
Wykręcił niby frygą, rozpoczął zabawę.
Jędrus wszystkim przewodził, zapalał wszędzie nieci,
Rozbrzmiały szczere słowa, serdeczne uśmiechy;
Tyle było radości, szczęścia w twarzach dzieci,
Że proboszcz z starcem przybył pochwalić uciechy.
Wkrótce jednak Skaliński zabrał gościa swego,
Wskazując miękki fotel przy ciepłym kominie.
Obaj chwili pragnęli czasu spokojnego,
By drzemką wzmocnić siły, gdy obiad przeminie.

Biorą pisma do ręki, politykę śledząc,
Lecz zwolna ręce wisną, powieki się mrużą,
Myśl ich błądzi po krajach, ale nic nie wiedząc,
Że głowę dłoń podparła, a oczy nie służył
Drzemka trwała dość długo, nagle gwar ją spłoszył,
Topolin z wrzawą przybył i »stany« już jada,
Wreszcie skoro się wieczór całkiem rozpanoszył,
A Tomasz trochę wesół odezwał się z zwadą,
Błysły wielkie latarnie, rznięte, kryształowe,
Stała z herbem bryka, więc służba wybiegła:
Hrabia August przybywał, dając hołdy owe
Jedynie Skalińskiemu, — bo sława rozległa.
Cały powiat szanował starca pogodnego,
Więc spieszą w równej mierze i możni i biedni,
Żeby uczcić zasługę męża czcigodnego,
Przy sercu ogrzać serce... tak twierdzą niejedni.
Z hrabią córka przybyła, starszy syn i ciotka.
Zatętniał życiem salon, gwarzono układnie,
Wreszcie Lodka radziła zagrać w myszkę, kotka,
Bo tańczyć teraz w poście, to bardzo nieładnie.
Żywy wieniec zabarwił blaski salonowe,
Widniały róże, lilie i kwiaty błękitne,
Wdziękiem kobiet błyszczące, dały czary nowe,
Postacią swoją wdzięczną tak były wybitne.
Lodka myszką więc była, Artur kotem zwinnym,
Obiegał spiesznie koło i wtargnął do środka.
Henryk, dzisiaj wesoły, bardzo bywał czynnym,
Przeszkody robił wielkie, że śmiała się Lodka.
Wreszcie Artur zacięty skoczył nagle bokiem,
Chwytając fałdę sukni — i runął jak długi!
Roman wstrzymać go pragnął, dąży spieszny krokem,
Lecz chwieje w prawo — w lewo — i leży już drugi!

Tomasz pędzi też wiatrem, żeby dźwignąć dwójkę,
Zahacza w biegu nogą i ściele się ciałem,
Wreszcie ruszył i Henryk poratować trójkę,
Wołając: — »Stany giną z swem życiem już całłem!«
Tomasz słowa uchwycił, z ziemi dźwignął głowę
I wołał z głębi duszy: — »Och, żeby przepadły!
Równość, jedność, braterstwo, oto hasło nowe!« —
»Doktorze, cenię ciebie, lecz jesteś zajadły!« —
Mówił Czesław półgłosem — »zwolna idą zmiany,
A przebyć muszą kolej w tem życiu konieczną.
Skoro była ciemnota, z krwi i z kości pany
Tym światem zawładnęli, bo możność bezpieczną.
Dzisiaj postęp otworzył niższym warstwom bramy,
Pochodnia wiedzy świeci i drogi wskazuje,
Ale berło nim przejdzie w innych stanów łamy,
Potrwają jeszcze lata... tak rozum nasz czuje.«
Hrabia August się zbliżył, ścisnął dłoń Czesława
I przylgnął nagle sercem, — a Tomasz się skrzywił,
Gwałtem zniszczyć chce w świecie stare, dawne prawa,
Wewnętrzny jakimś bólem uczucia swe żywił.
Byłby nawet wśród panien bryzgnął jakieś żale,
Lecz Rolski prędko przerwał i młodzież zachęcił,
Przyniósł z Tadziem bukiety, wieńce, barwne szale,
Ustawił żywe grupy, a pracę poświęcił
Temu, który przybywał, jako doktor prawa.
Słyszano turkot bliski — o, Rolski już w sieni!
Wyszedł ojciec i dziadek, matka cała łzawa,
Witania trwają długo, — a Janusz się mieni,
Przypadł matce do ręki, ojcu, objął wuja,
Pokornie schylił czoło przed dziadka uściskiem; —
Wreszcie porwał go Rolski, ręką macha, buja,
Zebrawszy jakieś chmury na czole swem niskiem,

Wiedzie żywo młodzieńca, roztworzywszy salon:
Janusza wzrok ociemniał od barwy i blasku!
Zoczył napis »witamy« — ozłocony w galon,
Rusałek cudnych grono wśród kwiatów i lasku.
Napis trzyma Hanusia, w szacie długiej, białej,
U skroni barwny wieniec, a Wanda z foliantem,
Jako muza nauki; Felcia w dłoni małej
Unosi róg złocisty, u skroni z brylantem,
Szczęścia sypie tu kwiaty, które Artur chwyta,
A Lodka składa w bukiet dopadłszy kolumny.
Grupę kończą młodzieńcy, całość w wieńce zwita, —
Z układu tego Rolski był szczęśliw i dumny.
Janusz patrzy z zachwytem, nagle chrząknął dziadek,
A proboszcz słowem zaczął: — »Witamy młodzieńca,
Który zgarnął po przodkach najbogatszy spadek,
Poparty własną pracą, — bez wstydu rumieńca!
Rodzic wpoił ci wiedzę, dziadek siłę ducha,
A matka nauczyła ukochać, co święte!
Idąc drogą żywota, dusza praw tych słucha,
Pomnożyć pragnie szczerze, co z skarbu już wzięte.
**Zdążaj dalej w tryumfach, oświeć nieudolnych,
Wątpiących zasil męstwem i naucz ukochać
Ideały szlachetne... chociaż dni mozolnych,
Nastanie upał wielki i złączą już szłochać,
Szaty z żalu rozdierać, padać z umęczenia...
Ty z duszy tryśnij źródłem i pokrzep ich siły!
Pokaż drogę błędzącym, — drogę wybawienia,
A honor spłynie tobie i czysty i miły.
Tarczą będziesz w rodzinie, mędrcom pośród stanów,
Światłością w ciemnych nocach i zniczem w narodzie,
Będziesz ojcem maluczkich, królem swoich łąków!**

Młodzieńcze, życzę szczęścia w szlachetnej

[swobodzie!« —

Proboszcz rozwarł ramiona, Janusz przypadł szczerze,
Dziękując z całej duszy. — Skaliński go chwycił:

»Będiesz naszym filarem!« — szepnął — w każdej
[mierze!«

Całując wnuka w czoło, szacunkiem go szczycił.

Rolski teraz wystąpił, zabrał przybyłego,

Przy samej stawiał grupie: więc wstęgi opadły,

Kwiaty z rogu się sypią, z wieńca zielonego

Powstaje wąż ruchomy, — w swej sile zajadły,

Płacze wkoło Janusza, giną nogi, ręce,

Kolumna rośnie z kwiatów, — lecz głowa wyziera;

Hania jeszcze pomaga w uwielbienia męce,

Na głowę kładąc laury, uściskiem podpiera.

»Wiwat!« — krzyczą obecni — »wiwat Skalińskiemu!

Potomek godny rodu! niech będzie sztandarem!« —

Wieniec spada z Janusza, kielich dają jemu,

Młodzieniec cały wzruszon zakipiał i warem:

»Jestem całkiem zawstydzon«, — mówił kornie, zcicha, —

»Zasługi jeszcze żadnej przywłaszczyć nie mogę, —

Ale dusza do czynów tylko zacnych wzdycha,

A słabe moje chęci pamięcią wspomogę:

Wspomnę chwile dziś błogie, wspomnę rady drogich,

Wskazany pójde śladem, a Bóg mi pomoże!

Teraz, w zamian podzięki, życzę sił tak mnogich,

Że żadna władza ziemska cnych chęci nie zmoże!«

Trącił z księdzem Wojciechem, potem pań odszukał,

Okrążył starszych grono i młodzież ochoczą,

Miłem, szczerem obejściem śmiało w serca stukał,

Że wszyscy jemu radzi i dumą nie boczą.

Chwila była wieczery, parę wiedzie para,

Felicję wybrał Janusz, w jej kwiat się ozdobił.
Słychać śmiechy i szepty, kołem idzie czara,
Potężny srebrny puhar, co wiek go wyźłobił.
Stara ojców pamiątka w Skalińskiego rodzie
Krażyła zawsze tylko przy ucztach wspaniałych;
Hrabia August ją badał, klejnot taki bodzie,
To rzadkość była wielka, z rzadkości niemałych!
Z srebra kuty był puhar, wkoło medaliony,
Portrety polskich królów porządkiem wyrte,
Przytem bardzo ozdobnie wewnątrz ołożony
I lata panowania w floresach ukryte.
Zdrowie takim puharem pito Skalińskiego,
A Henryk dodał jeszcze w serdecznym zapale:
»Tylko czara praojców godna zdrowia tego,
Bo który dzisiaj z braci w tej sławie i w chwale,
Co ją lata wykuły, idąc z cnotą, z czynem!?
Wspaniała postać taka, to posąg jest żywy,
Który łączy z przeszłością, — niby ojca z synem, —
A przetrwa pokolenia... **to wódz jest prawdziwy!**
»Rozproszonych gromadzi, wątłym siły doda,
Maluczkim radą służy, niewinnych osłoni,
Nawet dzieckiem nie wzgardzi, wdowie rękę poda,
Nad bliźnim bratem swoim i łzę tu uрони.
Piję zdrowie nestora, piję wodza zdrowie!
Niech sztandar jego długo powiewa na błoniach,
Łączy chatę z pałacem, płodzi radę w głowie,
Żelazne męstwo szczepi w najslabszych tu dłoniach.«
»Wiwat Józef Skaliński!« — hukło jednym echem,
Ruszyli z miejsc panowie, powstały kobiety,
Każdy dąży do starca, który swym uśmiechem,
Zacnością swoją wielką zaszczyca bankiety.
Trysły jeszcze toasty, niby źródła wody,

Krzepiące siły wątle, bo uczta jest długa.
Zmęczon Rolski siedzeniem, robi giest, zachody,
By młodzież z pętów zwolnić, bo dzisiaj jej sługą.
Spiesznie wszyscy powstają, salon wychłodzony,
Więc młodzież zaraz chętnie do zabaw się garnie;
Rolski młodym przewodził, winem rozogniony, —
Spędzano dalsze chwile w szczerości, a gwarnie.

Pieśń VI.

R. 1884 — banicja.

Wkrótce słońce cieplejsze rzuca ludziom blaski,
Do życia wiosna budzi umarłą naturę,
Śniegi tają na błoniach, płyną życia łaski,
Lecz mędracy świata z lodu budować chcą górę!
Górę, która rozdzieli jednej Matki dzieci,
Zawali chaty rodzin, wypędzi za progi...
Mrozem zetnie ich członki... głodem rzuci w śmieci...
Że nawet z czynu tego zatrzęsą się wrogil
Górą taką **banicja!** górą taką prawa,
Co sejmy uchwałyły z Bismarcka poradą.
Plaga pada na ludy, plaga wielka, krwawa,
Domowe szczęście... spokój... zakłóci tu zwadą.
Prawa brzmiały okrutnie: Wszyscy wracać mają
W Królestwie urodzeni pod berło pierwotne,
Nawet wdowy i dzieci prawa dotykają,
Choć w Prusach urodzone, więc swoje, żywotne.
Pochodzenie mężczyzny tylko górę bierze,
Wędrować musiał wkrótce i rzucić dobytek,

Chociaż skarby miał w ziemi, — w jednej został mierze
Z żebrakiem osądzony... ztąd straszny ubytek!*)
Chociaż lata już całe glebę swoją orze,
Bo ziemia przecież przodków, od Boga mu dana,
Chociaż płacił podatek w oznaczonej porze,
W szeregach służył wiernie na rozkaz i pana!
Nieraz rzucał rodzinę, żeby bronić kraju,
Zasłaniał piersią swoją i orły, sztandary!
Dzisiaj pędzą go prawa, pędzą jakby z raju
Grzesznika upadłego... bo trzeba ofiary!
Grozi polskość, niemczyźnie, która mocą dysze,
Więc wygnać dzieci trzeba... bo Matka za silna!
Niechżeś lepiej tu obcy ziemia ród kołysze!
Banitów wszystkich chęci i wiara za pilna!
Niechże giną tysiące z całym swoim mieniem,
Niech przeklną chorzy, biedni, co dach swój rzucają!
Alboż kogo obchodzi sierot los z cierpieniem?
Wszak dosyć mrówek wszędzie, niech z głodu padają!
Pracy lud tu wydała, — rozważano sobie —
A żywił niebezpieczny już z kraju wygnamy!
Rozkaz wydał Puttkamer, zamknął jakby w grobie
Tysiące całe ludu! czy grzebać ich mamy?
Pragną życiem oddychać, pragną tylko chleba,
Bo ręce z pracy drżały, a grzbiet się pochylił, —
Mają prawo szacunku, alboż krzywdzić trzeba?
O postęp wieku tego swe drogi omylił!

*) Prawo banicji z r. 1884 skazało na wygnanie z granic państwa pruskiego Polaków, urodzonych pod berłem rosyjskiem. 40.000 było banitów, wydanych przez ministra spraw wewnętrznych Puttkamera, którego usunął Fryderyk III, król pruski i cesarz niemiecki, a zostawił Bismarck.

Sprawiedliwość się cofa, kirem skryła lice,
Rzuciwszy piorun wzrokiem, a młodsze jej dzieci, —
Pobłażliwość i ludzkość, — leją łez krynicę,
Bo straszne barbarzyństwo ich świętość oszpeci!
Plamy rzuci na szaty, których białość śnieżna,
O, plamy niezatarte przez lata i wieki...
Wiek ten wolność wygłaszał, — jakież cel? zależna!
Kapryśna wolność taka! nie daje opieki!
Wolność bryłą dziś z ciasta, którą cel nagina:
To zrobią bawidelko misterne, a lśniące,
Albo kulę wydętą, albo Apollina,
Powabne wszystko zdala, a pustką świecące!
Wreszcie drzewo wytworzą, wewnątrz tkając druty,
By ostre miało kolce, jak drzewo prawdziwe,
Żeby owoc kosztując, sam był każdy kuty,
Bo usta może skrwawić, jak dziecię to chciwe.

Idzie błoga wielkanoc, ale kirem kryta!
Galińscy wypędzeni żegnają rodzinę:
Stasia z dziećmi przybyła, twarz jej bólem ryta,
A oczy zapadają w te jamy tak sine!
Krzepią ducha Skalińscy, ale żal ich dławi,
Hamują łzy ukryte i sądzą w kościele,
»Alleluja« gdy zagrzmie, Stasię spokój zbawi,
A ludu chmura była w tę wielką niedzielę.
Dźwięczą z chóru radośnie pieśni zmartwychwstania,
A tłum, jak łany zboża, faluje już cały!
Płyną szmery i szmery, słyhać jęk, szlochania,
Wygnańców pełno wkoło, więc dusze zawrzały.
Lucja klęczy w pokorze, ale łzy jej cieka,
Jak z źródła obfitego, a Stasia już szlocha!

Wszystkie serca gorące bóle ogniem pieką...
Kto chaty ojców, swojej, i gleby nie kocha?
Drogim każdy jest kącik, każdy przedmiot drogi,
Bo dusza człeka wnikła i razem zatliła
Z życiem naszym i życie w wszelki sprzęt ubogi,
Nasiąkała w otoczenie ta przeszłość, ta miła!
Płyną pieśni pobożne, płyną łzy i ludu,
W ofiarze świętej słyszać modlitwę kapłana,
Korną, cichą i długą, jakby trzeba trudu,
By w Niebo podążyła — choć dusza złamana...
Wreszcie tłumy ucichły, kapłan skończył modły
I poszedł cichym krokiem ku wschodom ambony,
Jako świecznik kościoła błysnął swemi godły,
Urzędem swoim wielkim był Niebu zbliżony.
Ewangelię przeczytał, głosił cześć Chrystusa,
Potęgę zmartwychwstania przedstawił dobitnie,
W końcu szeptem się spytał: — »Alboż w ślad Jezusa
Pójdziemy, mili bracia, i chwała zakwitnie?

**»Boć przychodzi godzina, w którą wszyscy, co są
w grobach, usłyszą głos Syna Bożego. I wynijdą,
którzy dobrze czynili, na zmartwychwstanie żywota,
a którzy źle czynili, na zmartwychwstanie sądu.
Jan, 5, 28, 29.«**

»Bracia« — mówił już kapłan głosem podniesionym, —

**»Okupić trudem życia tryumfy te trzeba,
Jako Chrystus był czynem, męką zasłużonym...**

I naszych wiernych wiodą te szlaki do Nieba.

Alboż myślisz zmartwychwstać? Powiedz, jaka

[droga?

Czy wolisz zmarnieć prochem na puszczy bezludnej?

Powstać musisz, bo dusza, dusza — obraz Boga!

Więc ciało kiedyś dźwignie z tej grozy tak trudnej,

W którą śmierć je uchwyci! Ale zmartwychwstanie,
Czy żywot tobie zrodzi? czy sąd ci zgotuje?

»Boże!« — wołał tu kapłan — »usłysz jęk, płkanie,
Zmartwychwstać chcemy wszyscy, kto Boga miłuje! —
Wiarą podnieść się z prochu, łaską, czynem, bólem...
Więc dźwigać krzyż będziemy, kajdany niewoli,
Z cichą, rzewną pokorą... Boże! jesteś Królem,
Mocarzem ponad światy! my dzieci niedoli...
Pomóż, Panie, błazącym, żeby trudom sprostać,
By ducha dźwignąć w pracy — i duszę tam — w sobie,
Ciało w chwili potężnej, którą Niebo chłostać
Zapragnie potępieńców... ich winy... choć

[w grobie...*)

Panie, Panie, zmartwychwstać pragniem duszą całą...
Litosnem spojrzuj okiem — wszak ducha nam dałeś,
Dałeś wolę duchowi... chociaż siłą małą
Te nasze słabe chęci — Ty, Panie, zechciałeś
Wzmacniać dawniej nasz puklerz, poprzeć hufców

[męstwo

I zwracać ostrza grotów na chmurę pohańców,**)

Użycz w pracy społecznej, użycz moc,

[zwycięstwo,

I uczyni z ludów wiernych Twej łaski wybrańców.
Niechaj syny nie rzucą w twarz nam wzrok pogardy,
Nie wytkną ojców palcem, jak ludzi straconych,
Niechaj dalsi przed nami zniżą kark swój hardy
I uczczą znojne myśli i pracę strudzonych.
Niechaj mędrcy z uznaniem czyny nasze głoszą,

*) Na sądzie ostatecznym.

**) Liczne były zwycięstwa Polaków nad Tatarami, Turkami itd.

A błogie dni zwiastując, nie grożą niewolą...
Ojczel łzami pokuty dzieci winy roszą...
O ukaż, Panie, światło, ulituj się dołą!
Oby sądy nie padły klątwą ciężką, srogą,
Na całe pokolenie, te sądy przyszłości!
Boże! prowadź Twe dzieci rozświetloną drogą,
Niech w domu znajdą spokój, a światło
[w wieczności!]

Kapłan uniósł prawicę, błogosławiąc tłumy,
A tłum ten rozslochany już krzyżem się ściele,
Kornie składa swą prośbę, zrzuca hardość dumy,
Uznając Boga Królem — i Ojcem w Kościele. —
Długo trwają dziś modły, każdy krzepi ducha,
A lęka myślą wrócić do bliskiej niedoli.
Łucja pierwsza powstaje, chociaż żalem bucha,
Bo ulżyć pragnie córce, — dopomódz jej woli.
Stasia, blada jak marmur, idzie chwiejnym krokiem,
Co widząc Jan przez tłumy toruje jej drogę;
Podał ramię Skaliński, podpierając boki,
Lecz z żalu straszne drzenie ogarnia niebogę,
Słabą, całkiem mdlejącą, wyniesiono z bryki.
Nadbiegła szybko służba, lecz głowę traciła,
Zamiast prędko dopomódz, psuła tylko szyki,
Lecz Łucja macierzyńską opiekę zdwoiła:
Wkrótce chora już w łożu, cicho, ciemno wkoło,
Hanusia tylko z matką w milczeniu czuwała.
Straszna niemoc ogarnia Stasi blade czoło,
Że mężna nawet Hania o życie jej drżała.

Słońce gaśnie powoli, mrok już ziemię chłonie,
Gdy Tomasz przybył z radą i przywiózł i leki;

Stasię badał sumiennie, ale chora płonie,
Przytomność traci wszelką, a spokój daleki.
Oczy tłące, rozwarte, w jedno miejsce patrzą,
A usta pogmatwane rzucają wyrazy,
Jakieś widma piekielne jasność wszelką zatrzą,
Niepokój rodząc straszny i wstrętne obrazy.
Lekarz nocą pilnował, czuwał mąż, rodzina,
A Wicek łód przynosił i z trwogą spoglądał.
»Zapalenie jest mózgu, ból ten — troski wina!« —
Do Jana mówił Tomasz — i chorej doglądał.
»Ciężka bardzo choroba, młodość jednak silna...
Lekarzy biorę więcej, co głowa to rada!
Myślę skutek osiągnąć, ale myśl jest mylna —
Pożegnać muszę teraz, — poranek się wkrada.«
Tomasz wyszedł z rodziną, został mąż stroskany,
Stojący nieprzytomnie, oparty o łożę, —
Żonę wielbił prawdziwie, w cnotach zakochany,
A los ją wydrzeć myśli... czy losu nie wzmoże?
Patrzył długo w jej rysy cudnie wyrzeźbione,
Na ciemne łuki oczu i usta prześliczne —
Ciężar bardziej przygniatał, jakby zakrwawione
Tam w piersi było serce... o, smutki rozliczne
Gwałtem chciały go ugiąć w pełnej wieku sile
I złamać bujne życie z tym kwiatem podciętym...
Chora Jana spostrzegła, patrzy długo, mile,
Wskazując krzyż na ścianie i głosem przejętym,
Jakąś siłą nadziemską woła: — »Drogi Janie,
Ty wierzyć musisz, wierzyć... i wierzyć bez końca!«
Jan już dopadł jej ręki, słychać jęk, szlochanie...
I znowu głucha cisza, choć promień już słońca
Zajrzał w okna ciekawie. — Chora ciągle drżała,
Przytomną była chwilę, a chwil tych niewiele.

Jakiś obłąd w swych wielkich, ciemnych oczach miała,
A niemoc bezgraniczna już cienie swe ściele.
Kłęczał długo Galiński z głową podniesioną
I z wzrokiem w krzyż utkwionym, a ręce splecione
Modłę korną zdradzały... widać myśl wzburzoną
Hamują słowa chorej — w jej duszy wyśnione. —
Z rannym świtem już Hania jako gwiazda błysła,
Rozmawia z Janem czule, wspomina mu dzieci,
Tęskne ojców wzywają — przyczem łzami trysła:
»O, pociesz malców, Janie, niech radość im świeci.«
Wyszedł cicho Galiński, idąc wprost na górę,
Otwiera drzwi ostrożnie, lecz jednej tu chwili
Czworo rąk się uniosło: — »Całuj, tato, córę!« —
Zdaleka Minia mówi, a Boguś się sili,
Żeby ojca pociągnąć: — »Przychodź, tato!« — woła.
Gawędził ojciec z dziećmi i główki ich pieści,
Nagle dziwnie spochmurniał, troska idzie z czoła,
Bo w puchach niemowlęcych dziecina szeleści:
»Mama! Mama!« w kołysce płacze Henia mała,
Żalonym bardzo głosem, więc ojciec poskoczył,
W ramię bierze maleństwo, ale Henia drżała,
Bo matki tylko pragnie — znów ojciec się zmroczył,
Tuli, buja i pieści, jednak próżne chęci,
Rozpaczny zatem spojrział, — w tem wbiega co żywo
Pani Łucja Skalińska, dzieci bawi, nęci,
Lecz malce utęsknione, ztąd patrzą się krzywo.
Wybiegł szybko Galiński, ból mu serce ściska,
Za drzwiami chwilę słucha, — jak echo zabrzmiało:
»Mama, mama, gdzie mama?« — Boguś żalem tryska,
A Minia wtórowała, więc chórem już grało.
Dopadł schodów Galiński, niańkę, bonę woła,
A w strasznym rozstrojeniu i gniewem wybucha,

Jakaś rozpacz bezbrzeżna biła z oczu, z czoła,
Że każdy z żalem patrzy, rozważa i słucha.

Ciężko wloką się chwile w oporowskim dworze,
W serdecznym lęku, w pracy, o życie tu chodzi.
Lekarz także się trudził w rozmaitej porze,
Dziś przybył z kolegami, do chorej ich wodzi.
Obaj byli Niemcami, Kettler, starzec godny,
Bogaty w doświadczenie, a Müller zacięty,
Ale lekarz przebiegły, w słowach ostry, chłodny,
Wielkością Niemiec, swoją, był zawsze przejęty.
Wchodzą cicho na palcach, stają blisko łoża,
Oczyma wpierw badają, — a chora się zrywa,
Rzuca, woła i płacze: — »Matko, Matko Boża,
Ty ratuj dzieci nasze!« — i twarz swą przykrywa.
Straszne zimno ją bierze, drzenie dziwne ciała,
A w oczach obłęd ciągły i ciągła bezsenność.
Znowu męczą ją widma... jakiś lęk wciąż miała,
A potem martwą ciszę... wpadała w kamienność.
Nagle znowu zakrzyknie: — »Idą, idą, oni!
A w piersiach kamień noszą, a pięści zacięte,
W rękach mają pochodnię, ale ogień roni,
Zapala chatę naszą... to wrogi zawzięte!
Janie, Janie, gdzie dzieci? Dzieci w ogniu zginą!
Na Minię padła iskra, a Henia pod belką!
Boguś w płomień zapada, twarz ma całą siną!
O wody, Boże! wody! o ulżyj kropelką!
Dach już w morzu płomieni! oni dach przywala,
Zamęczą dzieci nasze... a czczone popioły
W cztery strony rozsypią! Oni Kościół spalą,
Relikwie święte zdepcą, zbezczeszczą anioły!

Całe błonia zagarną, — biorą plon, dobytek,
I puszcę robią wkoło i puszcę tu — w duszy...
Sądzą... chwała się wzmoże, rośnie cześć, pożytek...
Tyraństwo twoje, ludu, twe więzy pokruszy!» —
Tomasz słuchał uważnie, Müller bucha warem,
A Kettler wniknął w siebie i bada sumienie...
Chora rękę podnosi, oczy płoną żarem,
Proroczym woła głosem, w obliczu natchnienie:
»Ludy... ludy te zginą, jako inni giną,
Co siłą wojowali, a ducha gnębili...
Kiedys ciała ich dzieci będą bryła siną...
Tyrani uciskając i siebie zabili!
W nocy kości ich hufców zbielą całe pola,
Przywalą plon im zgłiszczą, a matki w żałobie,
Krzyczeć będą w rozpacz: — »Boże! Twoja wola,
Że sława zaginęła, potęga już w grobie?«
Gromem Bóg im odpowie: — »Serca bezlitosne,
O, litość ogłuszona! Bezduszne wy dusze,
Pychę szczęścia odętel idą dni żalosne...
Brzemienne mocą klątwy! na proch was pokruszę!« —
Chora rękę spuściła, oczy przymykając,
A Müller zmarszczył czoło i kaszlnął potężnie,
Kettler mówił poważnie, głowę przechylając:
»Nemezis zawsze przyjdzie, więc znośmy ją mężnie!« —
Długo trwała narada, była kłopotliwa,
Aż wreszcie przerwał Janusz, na wino poprosił.
Poznał Kettler już dawno, jaka nieszczęśliwa
Banicja w skutkach swoich, więc głos swój podnosił:
»Zawsze czyn to brutalny, mameluków godny!
Narodów postępowych jest hasłem to zdanie:
Żyjąc sami rozumnie, czyńmy kraj nasz płodny,
By inni także żyli!« —

»Rozumiem, mój panie,« —
 Przerwał Mueller zacięty — »zdanie takie ładne,
 W praktyce jednak trudne; tu chodzi o wpływy,
 Które zwykle bywają nawet bardzo zdradne...
 Słowianin w wierze twardy... to wróg nasz prawdziwy!« —
 »Cenny przymiot!« — zawołał stary Kettler żywo,
 Przykładem zatem świecą, wstępujemy w ich ślady!« —
 »Ale ducha ukrzywdzą! idzie bokiem, krzywo,
 A przecież winien wchłonąć tysiące bez zwady!« —
 Rzucił Mueller odpowiedź: — »Z wiarą język ginie
 I wszelki wpływ germański nie dotrze do jądra!« —
 »Ale, zacny kolego, twoja mądrość słynie,
 Zaciekłość jednak dzisiaj fałszywa, niemądra!
 Jedno grozi niemczyźnie, olbrzym, olbrzym wielki!
 Tembardziej groźny będzie, im więcej grzeszymy
 Naszą złością ku Słowian! Zginie opór wszelki,
 Bo krzywdy buchną zemstą! My głupstwo robimy!
 Nigdy szczerze macochy żaden syn nie wspiera,
 Gdy w fałdach różga skryta, co ciało ćwiczyła!
 Czerpię z długich przekonań... szerszy świat rozbiera
 I gani politykę... to sprawa niemiła!
Dobrem serce się chwyta, tutaj wręcz przeciwnie!
 Rozumny głową kiwa i wzdryga ramieniem,
 Dziwnie — wierzaj, kolego, dziwnie, bardzo dziwnie...
Krzywdzące nieraz czyny nie będą promieniem!
Czekam, pragnę promienia, nawet słońca wszędzie,
Co ciepłem ludzi wabi, a światło roznosi!
Wówczas rozum zakwitnie, człek człowiekiem będzie,
A żadną bestją chciwą... co dziób swój podnosi!« —
 Skończył Kettler rozprawę, Mueller machnął ręką,
 Bo Tpmasz szybko zdążał i Czesław przybywał,
 Także dziadek się znalazł, trudzon obaw męką,

Choroby wynik z twarzy lekarzy zgadywał.
Jedno wszyscy głosili: — »Młodość dużo może,
Organizm chociaż wątły, lecz zdrowy z natury.« —
»Zatem« — mówił Skaliński — »Bóg nam dopomoże,
A spokój rozpromieni, lub spłoszy te chmury.« —
Słuchał pilnie Galiński, jedno w sercu czyta:
»Ty wierzyć musisz... wierzyć... i wierzyć bez
[końca!« —

Jakaś ufność gorąca duszę jego chwyta...
O, Stasi słowa święte... promienie to słońca!

Zwolna toczy się bryka, — w lasach woń majowa —
Lekarze powracają, a wieczór był cudny,
Zatem krokiem się wloką. — Głowa jakąś płowa
Pod krzyżem zamajaczy, — to widok ułudny!
Żadną miarą! to starzec, dwoje kul i dziecię!
W łachmany kryci, zziębli, — do Boga wołają.
Ręce wznoszą do krzyża, źle im, źle na świecie!
Lekarze przystanęli i biednych pytają.
Starzec kule uchwycił w dłonie chude, drżące,
Zaledwie dźwignął z kolan skrzywione swe nogi,
Potem zwrócił powieki, raczej doły śpiące,
Zkąd głosy wychodziły — z pobliskiej tu drogi:
»Jestem ślepiec ubogi, dziecię — oko moje!
Żebraczym żyję chlebem, bo chatka uboga.
Dzisiaj spadła nam troska, straszne, straszne znoje!
Wygnańcem jestem biednym! a błędna ma droga.
Wielcy, zacni panowie, pewnie głos wasz znaczy,
Prawdziwą dajcie pomoc! co zrobię z sierotą?
Matkę, ojca straciła... może rząd wybaczy,
Że w Polsce urodzona? Tu chodzi z ochotą

Koło chatki ubogiej, ślepcą oprowadza...
Co zrobić z chorem ciałem, ja starzec, kaleka?
Jedną tylko mam prośbę, ona nie zawadza!
Pozwólcie umrzeć w chatce... bo droga daleka...« —
Tomasz z bryki wyskoczył, Kettler podszedł bokiem,
Oglądał starca, dziecię, rzucając westchnienie:
»Niewolników to godne!« — potem zbliżył krokiem,
Starcowi pieniądz cisnął: — »Traciecie swe mienie...
Radą służyć nie mogę, niechaj Bóg prowadzi
I krzepi wasze siły!« — I Tomasz pociesza,
Dając dziecku jałmużnę. — Kwaśny Mueller radzi
Powracać lepiej ostro, w rozmowę się miesza;
Ale Kettler markotny, milczał chwilę długą,
Bo tonął w zadumaniu i w **myśli poważyl**
Winy mocnych i słabszych...«

»Alboż złotą smugą

Naznaczy przyszłość czyny?» — zapytać odważył.
Ale Mueller się zaśmiał bardzo sarkastycznie,
Więc Kettler wydał usta z potężną pogardą,
Mierząc wzrokiem Muellera. Tomasz elastycznie
Kołysał swoje ciało, lecz z miną już hardą,
Wreszcie burknął pod nosem:

»Również w Oporowie

Rodzinę pędzą z chaty, a wdowię, — Piotrowa
Żywi dzieci sześcioro! Niechże pan mi powie,
Zkąd biedna weźmie wszystko? Tu żywi i chowa
Własną pracą rodzinę; państwo dopomogli,
Że skrzętna była bardzo, — urosło i mienie.
Dzisiaj, skoro najgorszą biedę swoją wzmogli,
Z torbami z dziećmi pójdzie... na straszne cierpienie...
W Prusach była zrodzona, także wychowana,
I w Prusiech został mężem rosyjski poddany,

Nawet wdowia jej szata łzami tutaj zlana,
A teraz los jej własny i dzieci złamany!« —
»Jedność swoją ratować musi każda siła!« —
Zawołał ostro Mueller — »banicja konieczna!« —
»Widzę w kleszczach was trzyma jakaś myśl
[przegniła!« —

Wyrzucił szorstko Tomasz — »morfina bezpieczna!
Lepiej oczy przetrzejcie, idąc światła drogą,
A serca w chrześcijańskie uzbrójcie przymioty!
Przeszłość będzie wam kłutwą, kłutwą bardzo srogą!
Do jasnych dróg duchowych nabierzcie ochoty!« —
Bryka toczy się miastem, zatem cichną słowa,
Choć gwaru pełno wkoło, bo z domów wylegli
Pracą znojni mieszkańcy, przytem troska nowa
Banitów gromadziła, po radę wybiegli.
Tomasz rzucił kolegów zwolna idąc w tłumy,
Był znanym demokratą, więc lud go otoczył,
Z troski swojej spowiadał, z urażonej dumy...
A Tomasz radząc wszystkim, niejedno tu zoczył.
Kilkunastu wygnańców zliczył w małym mieście,
Nie znając jeszcze wszystkich! więc kupcy tam byli,
Przemysłowców gromada, także łyzy niewieście
Banicji dołączono, — ztąd w trwodze już żyli,
Jaka przyszłość ich będzie, jakie zniosą straty,
Czy wreszcie rząd sąsiedni przygarnąć ich raczy...
Długie w Prusach przeżyli, długie, trudne lata,
Więc może zagranica o przeszłość zahaczy...
W troskach dni im spływają, noce niedospane,
Lecz rankiem każdy chętnie ofiary wysłucha:
Ludu pełno w kościele, oczy zapłakane,
Modlitwa szeptem płynie i krzepi im ducha. —

.

Henryk często przybywał, konia wiązał zdala
I cichym idąc krokiem o chorą się pytał,
Ciepła uczuć młodzieńca ogarniała fala,
Promieniał całą twarzą, więc każdy w niej czytał.
Janusz najpierw wybiegał witać przyjaciela,
Bo byli sercem bliscy, do dziadka prowadził,
Który kochał Henryka, zatem go ośmiela,
Z młodzieńcem chętnie mówił, rozważał i radził.
Dawniej mało mu ufał, dzisiaj poznał chęci,
Więc przylgnął całem sercem, a Henryk szczęśliwy
Urosł w ludzkim mniemaniu, — przytem powab nęci,
Uprzejmy bywał zawsze, pomocny i tkliwy.
Dzisiaj dłużej posiedział, groźny stan przeminął,
A chora wiele lepiej, choć z siły opadła,
Zatem wieczór swobodniej w Oporowie spłynął,
Bo pierzchła z czoła chmura i troska zajaśniała.
Hania siostry chorobą była wycieńczona,
Więc odtąd dziadek kazał Hanusi folgować,
Miała użyć powietrza. — Noc dziś przyciszona,
Świeżością, ciepłem tchnęła, więc pocóż się chować?
Wszyscy zatem wylegli, błędzą wkoło domu,
A marzeń pełne myśli i serca rozgrzane.
Komu marzyć nie wolno? komu, pytam komu?
Gorętsi zawsze marzą, bo dusze wezbrane.
Henryk chodził z Januszem, wreszcie dopadł Hani
I długo w dziewczę patrzył przejęty jej głosem.
Hania zlekka się cofa: — »Ale, proszę, pani!« —
Zawołał z prośbą hrabia — »przeznaczeń tu losem
Długo pani łaknąłem, dzisiaj proszę zostać!
Pobladała nawet pani z tej pracy nużącej!
Nieraz w niemej rozpaczyc mogłem siebie chłostać,
Bo jakżeż radzić sobie w tej trosce ciążącej?

Pani zawsze przy chorej, — z ojcem ciągnęła walka,
Nie myśli klucza dzielić i sprzedać się każe!« —
Hania nagle zadrgnęła, przyszła w myśl rywalka...
Z pamięci jednak hrabia Amelię już maże:
»Jakże sprzedać to serce, jeśli kocha wiernie?« —
Już szeptem mówił hrabia. — »Pojmuje mię pani?« —
»Bardzo pana rozumiem, jednak ostre ciernie
I w życie wplatać trzeba!...« — »Więc pani to gani?« —
Ależ nigdy, przenigdy! chociaż przyjdą chwile,
Zamiera nieraz dusza... i ofiar potrzeba!« —
»Gotów jestem pracować w całej młodej sile,
Nie sprzedam jednak uczuć dla złota, dla chleba!
Chciałbym gniazdo tu stworzyć, żeby los ustalić,
Więc ojca poprosiłem, by uznał dzierżawę!
Ojciec zamiast zrozumieć, zamiast chęć pochwalić,
Sarkazmem w twarz mi rzucił!« —

»Ja żywię obawę...

Pan się z ojcem poróżni... jestem niespokojna!« —
Tu Hania w niebo spojrzy, a łzy jej błysnęły.
Henryk ujął jej rękę: — »Radość wielka, hojna»,
Że pani dzieli troskę!« — więc żarem spłonęły
Ciemne oczy hrabiego: — »Pani, Hanno droga,
Rozłączać myślisz serca, gdy blisko są siebie?
Jakżeż tobie dziękować?! Chwila jaka błoga,
Że duszę zrozumiałaś!... ja wielbię dziś ciebie!
Kocham wzniosłą twą duszę, która w liliach chodzi,
Charakter, rozum wielbię i kocham tve ciało
Jako duszy mieszkanie — ono w pięknie brodzi!
Uczuciem takim wzgardzisz, gdy szczęście je dało?« —
»Dobry panie Henryku,« — Hania mówi zcicha,
Rzęsami kryjąc oczy wymowne i łzawe, —

»Szczęścia pragnę dla pana!« — zlekka dziewczę
[wzdycha —

»Osobę moją biorąc, choć chęci są prawe,
Ścieśniasz pole działania, chleb ojcowski roniąc,
Bo honor trzeba poprzeć!« —

»Ja wesprzę go czynem!

Czynem godnym honoru! Alboż złoto goniąc
Hrabiowską wzmogę sławę? Ja prawym tu synem!
Wolę stracić dobytek, wolę skromne życie,
Niż ronić skarby takie, co dusza twa mieści!
Tobie dzisiaj przysięgam wobec gwiazd — tu — skrycie:
Wybrało ciebie serce z miłości i cześci!
Chociaż ojciec przynagla, brat i siostra woła,
By góry złota szukać, ja ciebie tu pragnę!
Jedna tylko mi zdejmiesz, jedna troskę z czoła,
A resztę silną wolą i czynem tu nagnę!
Hanno! powierz mi serce, powierz twoją duszę!« —
Błagalnie hrabia spojrział w Hanusi oblicze.
Hania oczy podniosła: — »Cenić stałość muszę,
Dzisiejszą chwilę w życiu do drogich policzę!« —
Hrabia ręce wyciągnął, dłonie dała obie,
Więc złożył pocałunek na rękach jej białych.
»Tajemnicą niech będzie,« — rzekła — »ufam tobie,
Lecz walki z ludźmi boję... i uwag niemałych!« —
»Zmilczę, jeśli rozkażesz, chociaż wobec świata
I wobec twoich drogich, uczucia me głośne,
Chęci moje wiadome wobec ojca, brata!« —
»W zaciszu lepiej chronić uczucia miłośne,
Niechaj więcej dojrzeją...« — mówi słodko Hania —
»To kwiat, co mrozu lęka i wichru się boi!
Młody jeszcze i świeży, chociaż siłę wchłania
Z stałości charakterów i burzy ostoi.« —

Słowa dusz tych pokrewnych brzoza podsłuchała,
Z wrażenia sploty swoje rzuciła ku łące,
Schronić w lubem zaciszu miłość zamierzała...
Wieczorna gwiazda w przyszłej pokrzepia rozłące,
Kąpiąc parę wybraną w blaskach srebrnej tarczy;
Ciekawie promień każdy w jej oczy spoziera,
Jakby pytać zamierzał: — »Alboż miłość starczy
Za wszystko w znojne lata...? ta miłość, czy szczerza?« —
Hrabia spojrział na gwiazdę, tuląc dłoń dziewczęcia,
A w oczach błysła wola i ufność niezmierna!
Hania rzęsy zrosiła, roniąc łzy z przejęcia...
Więc brzozie rzecze gwiazda: — »Ta miłość... to wierna!« —
Szczerą duszy tę spowiedź przerwał Janusz młody,
Rozmowa długą była, więc dziwną się zdała,
Nawet wołał Skaliński: — »Zimno, wieją chłody!
Wejdziemy wszyscy teraz, zaziębi się mała.« —
Hrabia żegnał Skalińskich z wielkiem rozczuleniem,
A drogę całą prześnił o białej dziewczynie...
Ugrzązł duchem w przyszłości, popadł w toń marzeniem,
Koniowi puścił wodze, — wierzchowiec już słynie,
Dzieli z panem zadumę, — wolnym idąc krokiem,
Przebywa kawał boru, cieniste parowy, —
Nieraz zlekka podskoczy, ruszy z miejsca bokiem,
Gdy wpadnie w krzaki cierni, lub stuli u głowy
Cienkie uszy włochaste, wówczas zwierzę czuje:
To spłoszy stado saren, szarego zająca,
Albo sowę olbrzymią, która w noc króluje,
Ztąd nieraz jeźdźca myśli rozrywa i zmaca.
Hrabia dążył do domu
. Hania milczy, waży
Lecz wreszcie wchodzi cicho do Łucji komnaty,
Wola matki jest świętą, niechżeż wyposaży!

Do kolan matce rzuca miłości swej kwiaty:
Szczерze wszystko wyznaje, każde powie słowo,
Z rumieńcem żywym w twarzy i z łzami u oczu.
Nagle z lękiem się zatnie, chwyci nić na nowo
I z trwogą spojrzy w matkę, a patrzy z uboczu.
»Haniu, Henryk jest zacny« — powie Łucja mile,
Jedwabne gładząc sploty klęczącej swej córce, —
»Rodem, wiedzą dostojny, w pełnej zdrowia sile,
Henryka jednak ojciec spoziera ku górze.
Zatem radzę ostrożność, szanuj godność twoją,
A serce trzymaj w karbach... i ród twój jest stary,
Zasłużony w przeszłości, zdobył sławę swoją,
Lecz mitrę August wskaże i będą już swary.
Rody cenią swą godność, — wieki wieniec plotą,
Co zdobi sławą domy, lecz sława ta czystą,
Sława będzie i świętą, jeśli czyn z ochotą
I zacną chęć swą zwiąże... tę miłość wieczystą,
Którą kładą niebiosa w nasze wątle dusze,
Gdy służyć idziem sprawom bez własnych korzyści!
Rody takie nie zginą, zniosą mąk katusze
I z prochu bielsze wstaną — bo boleść oczyści,
Nada blasku ich duszom, balsam wetrze w ciała,
By wiecznie, wiecznie trwały ku świata nauce!
Alboż sława Czarnieckich marą w lot przebrzmiała?
Pułaskich, Kołłątajów i mistrzów, co w sztuce
Godność kraju pojęli? Każdy gniazdo ceni
I cenić nawet winien, bo kalać nie będzie!
Smutnie, jeśli za dziadów wnuk się wciąż rumieni,
A błogo, skoro słucha o czynach ich wszędzie!
Nawet chłopci w swych chatach rody rozróżniają
Pszenicą siebie zowiąć, lub chwastem szkodliwym,
Cenią godność swych rodzin, wartość swoją znają;

Mieszczanin również waży, jest czujnym, wrażliwym.
Chrystus miłość poleca, zatem kochać trzeba
Nie gardzić bliźnim bratem, a choćby w siermiędze!
Ale dobre od złego każą różnić Nieba,
A snując nić żywota, przebierzmy i przedzę.» —
Hania główkę pochyla, ciężą myśli, ciężą,
A serce miłość czuje, lecz także i godność,
Zwykle w parze z radością troski duszę wiąza,
A ludzie znają dobrze ich siłę i płodność.
Wkońcu Hania już matce powiedziała z łzami,
Że jeden tylko Henryk ją pojął prawdziwie:
»Zatem muszę go cenić, chociaż grom nad nami!« —
Przyznała w duszy Łucja: — »Wybrała szczęśliwie!« —
Widząc smutek u córki, jęła opowiadać,
Więc snuła z dawnych wspomnień ciekawe obrazy:
»Mając ojca dziwaka, nieraz przyszło biadać,
Pomysł rodził dzikie, nie znosił urazy.
Kiedyś bał się szykował, ojciec wezwał córkę,
Oświadczył zaraz krótko: — »Już suknię wybrałem,
Nowych dziesięć jest miechów, zajrzyj tam na górkę.
Tę suknię, Łucjo, w myśli ja dawno już miałem.
Ziemianina ty córką, znaną z zamożności,
Więc strój ten odpowiedni dla innych przykładu!« —
»Słowa w ustach stłumiłam z wielkiej ostrożności« —
Mówiła Łucja żywo, — »sięgnęłam do ładu
Myśli moich wylękłych... wola ojca święta!
Lecz jakże łączyć piękno z miechami brzydkimi?
Wreszcie wpadłam na pomysł cała trwogą zdjęta:
Przykryłam miechy gazą i gwiazdy złotem,
Które ręką wyszyłam. Ojciec ani spytał,
Lecz skoro ujrzał w sali tę gazę już złotą,
Spojrzał dziwnie surowo, córce z twarzy czytał...

Całując rękę ojca: — »Ja szylam z ochotą!« —
Rzekłam bardzo potulnie — »z miechów suknia cała,
Po matce gaza żółta i cienka ta przędza.« —
»Suknia piękna, bogata, oszukałaś, mała!« —
Schmurzony ojciec mówił — »to złoto! — nie nędzal
Święta matki twej pamięć, zatem zwyciężyłaś,
Lecz innym razem ojca nie chwytaj fortelem!
Pomnij, siwym tym włosom myślą ubliżyłaś..
Oszczędność innym wskazać — to było mym celem!« —
»Ojciec kochał mię bardzo,« — dalej Łucja snuje —
»Więc chociaż Skalińskiego przytulił jak syna,
Skoro gody nadeszły jakoś szyk się psuje,
A ojciec zniechęcony, czy zięcia to winą?
Ale nigdy! przenigdy! ojciec gniewem buchał,
Bo tracił córkę z domu, a jedną posiadał!
Rozdrażnienie to widząc, każdy z gości słuchał
I nawet jednym słowem nie przeczył, nie biadał.
Kilka pięknych już karet stało w pogotowiu,
Ekwipaż ojca twego z cudnymi rumaki,
Wyszłam kryta woalem, — nagle huczy w mrowiu,
Bo rozkaz gromem leciał, lecz inny — a jaki?
Wozy żniwne stanęły uwieńczone kwiatem,
Dwunastu jeźdźców przodem z szarfami z jedwabi, —
Wsiadłam z wiejskie dziewczęty, z panem młodym,
[z swatem,
Karety poszły próżne.. lecz wszystkich to bawił —
Jadąc z ślubu, kmiotkowie zeskoczyli żwawo,
Na rękach pannę znieśli, przed dworem stawiając,
Tutaj wiodą już starsi z solą, z chlebem, w prawo —
Wraz z darem parze młodej i serca składając.
Ojciec lud nasz ukochał, pragnął miłość wszczepić
I w zięcia serce młode i stało się dziwo:

Panicz, dawniej oziębły, lud ten poczał krzepić!
Szlachetne w sposób taki się snuło przedziwo.« —
Hania pilnie słuchała, lud jej drogim bywał,
Bo siłę przeczuwała, — a powieść z przeszłości
Dużo miała uroku — w niej się ból jej skrywał...
Kto kocha, cierpieć musi, a cierpieć w skrytości...
Ból jest solą w miłości, która siłę daje,
Ustala zdrowe soki, a tępi zgniliznę,
Ból jest ogniem probierczym, który w pomoc staje,
Wypali stal z uczucia — odrąci mieliznę.

Pieśń VII.

Szczere uczucia.

Janusz krzątał się pilnie, ojców zagon drogi,
Ojcowie zasiew dali pod skibę i w duszę!
Czynnym bywał od rana, — czas młodości błogi
Z korzyścią pragnął przeżyć i spłoszyć tę głuszę,
Która w sercu zalega nawet w wiośnie życia,
Z młodzieży czyniąc trupy, zgnilizną cuchnącą!
Janusz pragnął pracować nawet z wsi ukrycia
I w szerszem dążyć kole, jak kwiaty te pnące,
Które wiotkiem ramieniem obejmują dęby,
Wnet czyniąc dom podporą, a siebie ozdobą.
Nawet chociaż na zgładę idzie dąb w wyręby,
To powój pełza dalej z codzienną tą dobą,
Chwyta trawę puszastą, krzaki rosą lśniące,
Aż wzbije w górę siebie pod drzewo wspinałe.
Janusz chęci miał szczere, serce gorejące,
Nie spychał czynów słowem! Miesiące choć całe
Bywał w polu zajęty, w gumnach, w ojca biurze,
Z Henrykiem jeździł wszędzie, na wiece, zebrania,

Dziadek wnuka prowadził, kazał ćwiczyć w piórze,
Wysyłać artykuły i robić zeznania.
Wobec wszystkich z czynności. Janusz wkrótce słynął,
Z młodzieńca biła wola, ztąd pewność, lecz skromna,
Starszych godność ceniąca. Zanim rok upłynął
Wytrwałość odkrył światu, nie była ułomna,
Dziwnie twarda, stalowa, z czasu rdzy szydząca,
A radna w każdej sprawie, choć trudną się zdała!
Janusz póty rozmyśla, póty trud odtrąca,
Aż dopnie celu swego, choć praca nie mała.
Służąc sprawom ogółu z wielkiem wysileniem,
Zespolił płodne chęci z Henryka czynami,
Który ofiar nie szczędził, służąc nawet mieniem!
Skaliński nazwał młodych **»wiernymi synami!«**
Teraz patrząc im w oczy, mówił drżącym głosem:
»Spokojnie legnę w grobie, bo siłę spostrzegam!
Długo, długo czekałem... Czesław zmęczon losem,
Zwątpieniu uległ wcześniej, więc chociaż zabiegam,
Hartu nigdy nie zbudzę! Wątle zawsze ciało,
Ztąd wątle żyje dusza... a dzisiaj złamany
Stasi nagłem wygnaniem, — chociaż Niebo dało
Chorobę zwalczyć córce, majątek sprzedany,
Opatówiec za bezcen! Strata ojca boli,
Pożera słabe siły, — wszak choro wygląda?
Trzeba umieć przeboleć trudy naszej doli...
Nie zawsze dobrze trafia w badaniu i sąda.
Wprawdzie dzisiaj Galińscy chleb w Królestwie *) mają
Nabywszy kawał ziemi, lecz przyszłość ich jaka?
Nowe życia stosunki, alboż szczęście dają?
To stare nawyknięcie chorobą jest raka,

*) W Królestwie Polskiem, pod rządem rosyjskim.

Która ciągle powraca, mimo cięć lekarza!
Więc zawsze tęsknić będą do kątów pierwotnych.
Takie silne uczucie zawsze ból wytwarza,
Nie dając spokojności przy sprawach żywotnych.
Jeszcze inna jest troska: Czesław ubolewa,
Że hrabia August stroni...« — tu patrzył w Henryka —
»Hania przecież nie nagli... żalność serce zlewa,
Gdy dwoje serc tak godnych z trudami boryka!« —
Henryk odparł z wzruszeniem: — »Ojciec zmieni zdanie,
Gdy pracą dźwignę Trokę, — ja cierpię niezmiennie..
Alboż przykre dziwactwo zniszczy w proch uznanie,
Zdobyte walką szczerą...? Wszak wytrwam tu wiernie...!
Panna Hanna unika... czuję dobrze, czuję!« —
Tu Henryk błysnął łzami, Skaliński odpowie:
»Hani duszę kochałem, dzisiaj moc miłuję,
Bo ceniąc wolę ojca, rozważa w swej głowie.
Ojcu prawo przyznaje, gniewu, klątwy boi...
O, łaski Bożej pragnie, jak kwiatek tej rosy,
Która daje ochłodę, zatem w skwar ostoi:
Gdy rodzic błogosławi, sprzyjają Niebiosy.» —
Henryk głowę pochylił, tonąc w zamyśleniu...
Dziś rok upływał właśnie, gdy słowo mu dała
Biała jego Hanusia... w dziwnem rozrzewnieniu
Przesiedział długą chwilę i patrzył gdzie stała
Owa brzoza płacząca, której długie sploty
Otulić chciały parę, gdy miłość wyznała...
Żywo sobie przypomniął cudną noc, zaloty,
Gdy srebrna tarcz księżycy nad szczęściem czuwała.
Dzisiaj Hania daleko, siostrę w smutku cieszy,
Powróci może kiedyś zmieniona... zmieniona...
Henryk porwał się z miejsca... — »Dokąd hrabia
[spieszysz?« —

Skaliński pyta mile — »bo noc ta zamglona
 Stworzy jeszcze fantazję chorobliwej duszy.« —
 Lecz Henryk słów nie słyszał, bo szukał ochłode,
 Błądząc długo w alei... wysnuł nić katuszy,
 Na którą nanizane ich serca tak młode...
 Uczuł pychę rodzica, cześć złotego runa,
 Popioły zwiędłej duszy, egoizm zajadły!
 Z dziwną siłą dźwięczała hrabi uczuć struna,
 Rzuciła całun światu — powieki zapadły,
 Kwiaty, ludzie zniknęli... tylko brzoza biała
 Splotami swemi chwieje... tak cicho szeleści...
 Wabi... wabi do siebie! — Jako lilja stała
 Przed rokiem ona... Hania... a dzisiaj ni wieści!
 Gdyby trochę kochała... winna spieszenie wrócić...
 Rozmyślał Henryk ciągle, wzmagając tęsknotę,
 Wreszcie upadł na ławkę, żeby mąk ukrócić,
 Sprowadzał myśli wątek na ludzką ciemnotę.
 Próżne były zabiegi, w myśli Hania wraca,
 Niewinna jako dziecię... lecz rośnie w olbrzymia!
 Razem, wspólnie się biorą, idzie dzielnie praca,
 A chociaż złość nieludzka swą siłę rozdyma,
 Żeby stawić zaporę młodej, szczerzej chęci,
 Gorące zmrozić dusze i serca ostudzić,
 Praca więcej mężnieje, opór siłę nęci,
 Owoce będą błogie, o warto się trudzić!
 Nawet lekko im przyjdzie — święta jakaś postać
 Odgarnia podłóść wszelką, — te ciernie na drodze...
 Stróż to anioł Hanusi — cnota — pragnie sprostać
 Potrzebom społeczeństwa.
 »Na jawie li słodzę
 Życie moje marzeniem?« — pytał siebie hrabia,
 Gdy lekki turkot zbudził z długiego uśpienia.

Znowu widzi tę brzozę... zwabia... ciągle zwabia...
To z lilij jakieś widmo!... złudzenia... złudzenia...
Hrabia zerwał się z miejsca — idzie — wzrok wyteża
I znowu staje — wzdycha — oczyma pożera.
Drzenie ciało przejmując, pierś się w łuk wypręża,
Z nadmiaru uczuć serce rozsadza, — bo wzbiera!
Postać stała pod brzozą jako mgła śnieżysta,
Ramieniem otulając to drzewo wspomnienia...
Nagle blaski przez liście rzuca tarcz srebrzysta
I w cudną rzeczywistość zamienia widzenia:
Hrabia upadł na klęczki, patrząc w twarz dziewczyny,
Swej białej, drogiej Hani, jak z Nieba mu spadła!
Niby srebrna ta gwiazda, której wbrew przyczyny
Nie stworzył Król wszechświata, — więc cel swój
[odgadła. —

Hania w drodze nagliła, żeby wieczór spędzić,
Ten wieczór pamiątkowy pod brzozą swą miłą,
Chociaż stangret swej pani dawno począł zrzedzić,
Bo jazda uciążliwa, wygrała swą siłą.
Słów tych wszystkich nie zliczę, ani serc tych drżenia,
Co słyszy, czuje brzoza po długiej rozłące!
Kilka długich miesięcy przeszło wśród cierpienia,
Wspomnieniem takich bóli niech szczęścia nie mączę! —
Nagłym Hani powrotem Łucja ucieszona,
Skaliński wielce wzruszon — nie pomną urazy,
Jaką August wyrządził. Hania rozmarzona
Henryka tylko widzi, nie czując obrazy.
August głuchem milczeniem zbywa syna wolę,
Udaje nieświadomość. Skalińscy strapieni
Hanię siostrze posłali, widząc cień na czole,
Co gasi świeżość zorzy, gdy w blaskach się mieni.
Hania długo walczyła, wreszcie ból ją chwyta,

Rozdziera tkanę mózgu szponami dzikimi,
Myśl jej chłonie w swej paszczy, — wolę, chociaż ryta
Głęboko w silnej duszy, zębami ostremi
Szarpie w strzępy krwawiące... czyniąc z duszy trupa!
I wreszcie jako mocarz ożywia jej ciało,
Dając sercu tęsknotę... orła skuł u słupa!
Olbrzymie mając skrzydła to orłę wzleciało!
Prędzej lotu nie wstrzyma, pędząc z wielką siłą,
Objąwszy świat wspomnienia i strony ojczyste,
Ażby brzozę ujrzało... swoją chatę miłą!
Przy źródle krzepić pragnie uczucia swe czyste.
Z jaką lubą radością Oporowo wita!
Błękitny, miły pokój, zaciszne schronienie,
Jeśli dusza w tęsknotę, albo w ból spowita,
Marzenia roni kwiaty, przechodząc w cierpienie...
Ileż razy na klęczki pada tutaj Hania
Przed głową, która w cierniach litośnie spogląda!
Miała bowiem ołtarzyk, śnieżny tiul osłania
Tę boską Twarz Chrystusa, co wiary pożąda.
Wiary, która potęgą rodzi moc olbrzyma,
Cierpienia, trudy znosi z przedziwnym spokojem,
Wiary, która katusze, nawet śmierć przetrzyma,
I wieczność nazwie rajem, a ziemię tu znojem.
Hania miała tę wiarę, Hania ufność miała,
Że jeśli sprawa zacna, to Niebo pomoże.
Czyste były ich chęci, zatem przeczuwała,
Że upór ojca zmięknie, życzliwość się wzmoże.
Noc jej przeszła spokojnie, ufność ból uśmierza
I duszę ukołysze w rozkosznem uśpieniu.
Rankiem, razem ze świtem, Hania trud zamierza:
Do Brodów pójdzie pieszo, da folgę pragnieniu.
W swoim wiejskim kościółku świętej mszy wysłucha...

I westchnie z duszy głębi do dobrej tej Matki,
Która dzieci kochając, krzepi ciągle ducha
I zleca Synaczkowi swych łańców bławatki.
Wstała razem ze słońcem, rosę srebrną strąca,
Z konwalij plotąc wieniec dla krzyża świętego.
Lekką stopą, jak skrzydłem, z chęci promieniująca,
Przebiega zielen łąki i gaju wonnego;
Cała trochę zdyszana, zorzą zabarwiona,
Upadła z korną modłą przed krzyżem w kościele,
Wienczy ciało Chrystusa wielce upragniona —
Ofiarę przyszła spełnić, a spełnia nieśmieie.
W każdy piątek przez lato przybyć obiecuje,
Zdobędzie trudem łaskę dla siebie, Henryka...
Życie będzie katuszą, jeśli zerwą... czuje..
Z uczuciem szczerem serce wszak długo boryka! —
Kapłan modły skończywszy wyszedł cicho, bokiem,
A Hania zatopiona i klęczy i klęczy...
Nagle szmer ją przebudził, zbliża ktoś się krokiem,
Padając obok Hani, klęczeniem się męczy.
Henryk! Henryk, to Henryk! powie Hani dusza,
Ten Henryk w wierze chłodny! Z błogości zadrżała,
Łzy jej trysły potokiem... hrabia serce wzrusza,
Z czułością mówi Hani: — **»Twa dusza, twa biała,
Robi z serca świątynię!** Tobie wobec Boga,
Przysięgam miłość, wierność, bo wielbię prawdziwie!
Niechaj Bóg nas prowadzi dokąd Jego droga!« —
Tu ujął dłoń dziewczęcia i modlił gorliwie.
Razem długo klęczeli, razem poszli zwolna
Kwietnemi łąki, sady, z promieniem na czole,
Hania duszą świetlana, w cud uwierzyć zdolna,
Pogodny Henryk sercem, bo zwalczył swe bóle.
Dusze były wezbrane... łąki... kwiaty... pola...

Perlistą rosą drżące — się rajem zdawały...
Jakaś błoga, urocza, świta w życiu dola!
O, pocóż cudne chwile już skończyć się miały?
Przyszli razem do dworu. — Łucja patrzy — lęka —
A Henryk oddał pokłon i rzucił z wzruszenia:
»W zasnę duszę twej córy — dusza moja wsięka,
Nie skałam podłym czynem mojego sumienia!
Dzisiaj z brzaskiem tej zorzy, która świat rumieni,
Wlewając nowe życie w uśpione istoty,
Dusza moja poczuła jakiś blask promieni,
Więc szedłem dokąd ciągnął ten promień, ten złoty!
Matko! matko! błogosław!« — mówił miękkiem głosem,
»Bo w grobie rodzicielka, co życie mi dała!
Jeśli łaska twa hojna — błogim pójdziem losem,
A gdyby nieprzychylna...« — tu Łucja zadrżała,
Tuli głowę Henryka, Hani patrzy w oczy,
A kreśląc krzyż na czole, szepnęła rzewliwie:
»Niechaj życie to wasze w łaskach Nieba kroczy,
Szczepając się wzajem, prześnijcie szczęśliwie!«
Młodzi padli do kolan, ceniąc matki dary,
Bo z nimi pójdzie Niebo i stworzy pogodę,
One nawet złagodzą ojca ciętość, swary!
Wyrodne dziecko szczęściu zakłada przeszkodę.

Scena ranna uśmiechy wniosła w dom rodzinie,
Dziś Czesław nawet rażny, bo szczęście podnieca;
Przyjął hrabię serdecznie, skąpał nawet w winie
Formalne oświadczyń, swobodę zaleca.
Ale szczęście jest zmienne, jako tarcz słoneczna,
Gdy chmurą kryje blaski... powrócą... lecz kiedy?
Może słońce ocieni chmura niebezpieczna,

Piorunem wstrząśnie ziemię, że jęknie z swej biedy!
 Albo grady posypie ostre, lodowate,
 Że skrzepną serca ludzkie i zmrożą się łany!
 Zwiędną dusze szlachetne, pola w plon bogate,
 A lata przejdą całe, — nim zgoją się rany!
 Takim gromem ognistym, takim gradem mroźnym,
 Augusta było pismo umyślnie wysłane:
 Czesław pieczęć gdy złamał, błysnął wzrokiem groźnym,
 Posoką oblał ciało i serce wezbrane!
 Strasznie spojrzął na hrabię, który Hanię bawi,
 A listem w pierś rzuciwszy, wyjęknął: — »O, podły!« —
 Dusze wszystkie zakrzepły, któż ten ból przetrawi?
 Skamieniał Henryk cały, czy chęci ochłodziły?
 Nagle jęk się wyrывa z Łucji serca głębi,
 Bo Czesław mdleje, pada... niemocą zastyga...
 Rozpacz Hanię porywa, ból się wzmaga, kłębi,
 Przed śmierci czarną marą i młodość się wzdryga!
 Służba pana unosi, spieszy Łucja, Hania
 I Janusz wylękniony, lecz starzec zawoła:
 »Przywieść zaraz lekarza!« — pierwszy ból pochłania,
 Podnosi list z posadzki, spoziera z pod czoła,
 Wreszcie czyta półgłosem: — »Dzielę z panem wieści,
 Że Henryk złączon słowem z Amelią z Wystrucia!« —
 »Kłamstwo!« — Henryk zakrzyknie, broniąc z bólem
[cześci, —
 »O, straszne! ojciec żąda, bym shańbił uczucia!
 Dzisiaj idąc do Brodów pismo zostawiłem,
 Bo wczoraj było późno, już ojciec spoczywał;
 W liście prośbę pokorną moją powtórzyłem
 O jaki dach nad głową, bo ojciec mię zbywał.
 Przytem znowu wyznałem, jako Hani pragnę,
 Że w szczerzy czyn zamiary ja moje przybiorę.

Nigdy uczuć serdecznych w ojca chęć nie nagnę!
 Ufajcie przecież duszy, z was siłę ja biorę!« —
 »Zacny panie Henryku«, — starzec powie zcicha,
 »Ja ufam, wierzę tobie, lecz Czesław nerwowy,
 List ten hańbą dla niego! Przyplątały licha
 Zabiegi intrygantki! bo pan jest wzorowy!« —
 »Ona ojca spętała, czyniąc obietnicę,
 Przesadną w każdym razie, stosunki te znane« —
 Odparł Henryk rzewliwie. — »List! ten list! wietrznice
 Tu ojciec przeciwstawia, gdzie sercem wybrane
 Dziewczę słynne swą cnotą, zacnym swoim rodem!
 I w chwili właśnie takiej... gdy ziemia jest Niebem!
 Czyn ten chyba szatanów z głębi piekieł płodem!« —
 »Uparty ojciec czemu nie dzieli się chlebem?«
 Pytał znowu Skaliński. — »Upór tylko pański,
 Rozdrabniać ani myśli, więc albo me chęci,
 Albo sprzeda Wiktora, — czysty plan szatański!
 Ofiara zawsze będzie... bo złoto tu nęci...« —
 Janusz wrócił z sypialni — »Jakże ojciec?« — pyta. —
 »Przytomność powróciła. Henryku, mój drogi,
 Daruj ojcu ten wybuch! Boleść długo kryta
 Wulkanem bucha zawsze!« — »O, los mój dziś srogi!« —
 Z drżeniem Henryk odpowie. — »Najpierw słodycz piłem,
 Od miodu milszą słodycz, a teraz piołuny!
 Wielce szczęśliw do Nieba duszę moją wzbiłem,
 Powrócą może zgliszcza... popioły... całuny!« —
 Henryk głowę pochylił, pierś wezbrała łzami...
 »Jak strasznym wyraz »podły«... O, w uszach mi
 [dzwonił!« —
 »Ależ, panie Henryku, żale między nami
 Już dawno przepaść winny, bo szczęście się ronił!« —
 Starzec krokiem postąpił. — »Wybacz zapomnienie!« —

Ramiona rozwarł swoje — więc Henryk się zrywa,
Pada czule w objęcia: — »Wróci kwiat... marzenie...
Wiosenna tylko chmura, co słońce zakrywa!«
Mówił cicho Skaliński w samo ucho hrabi:
»Hanusię przyprowadzę, jej słodycz pociesz.
Cichą swoją dobrocią chyba ojca zwabi,
Z szlachetnych uczuć takich was Niebo rozgrzeszy.« —
Wyszedł zwolna Skaliński, wkrótce Hanię wiedzie,
Szlakana, całą drżącą, a niemą z boleści.
Henryk widząc jej smutek, rzecze: — »Mojej biedzie
Zawdzięczasz, droga, troskę... jak wielbię cię w cześci
Jutro sama przekonasz: Albo ojca zmuszę,
By oddał hołd należny zacnemu domowi,
Albo z kraju wyjadę — pracą trudy skruszę,
A może sprzyjać będzie i Niebo losowi...
Wrócę wiernym Hanusiu... ale długie lata
I bardzo może długie u obcych przesiedzę!
Jeśli twoje niewinne serce z lękiem brata,
Zapomnij naszą miłość... o Haniu! ja zbiedzę
Twoją młodość tak bujną, twoją piękność wonną
Ja zmrozę jako wichurę tę lilie w ogrodzie!
Alboż godzi się łamać taki kwiat dozgonną
Miłością nieszczęśliwą... w tak zacnym tu rodzie?!Wybacz, wybacz, jedyna!« — rzecze Henryk z łzami,
Całując z czcią jej ręce. — »O, boleść szalona
Żegnać może na zawsze!« — »Alboż między wami
Nie było zaufania? Wszak kocha cię ona?!«
Rzecze czule Skaliński. — »Pracuj w imię Boże,
A resztę zostaw Niebu... i ufaj jej chęci!
Wszelką walkę w swej duszy Hania mężnie wzmoże,
A żadne serce inne, jej serca nie znęci!« —
Hania oczy podniosła, z blaskiem wiary, siły,

I łkając rzekła miękko: — »Za tyle miłości,
Alboż rzuci cię dusza? Alboż świat mi miły
Bez dźwięku twego głosu? Przetrzymam w żałości!« —
Henryk przypadł do kolan, bierze kraj jej szaty,
Całuje jako świętość, a łzy się perliły
W smętnych oczach młodzieńca... Hania daje kwiaty,
Co dzisiaj wcześniej, z rana, jej szatę zdobiły.
Dziadek patrzył na parę, marszcząc czoło blade,
Powstrzymać pragnął żale, lecz dusza wezbrała,
Cichym jękiem wybuchnął. — Hrabi chęci rade,
Że mają sprzymierzeńca, co Hania kochała.
»Ochroń«, — rzecze do starca — »ochroń kwiat mój
[wonny,
Szlachetną twoją pieczę, wdzięcznością osłodzę!
Oby lęk mój o ojca, oby bywał płonny,
W rozpacz, w ciężkim żalu z pod strzechy wychodzę!«
Lekkie słyhać stąpanie, Łucja zcicha staje,
Więc Henryk matki rękę gorąco całował,
Potem wybiegł w milczeniu... chwila taka daje
Niezmierną, straszną boleść... przed ludźmi się chował.
Usta ciągle milczały kurczem zaciśnięte...
W podwórzcu dopadł konia, popędził jak strzała!
Ruchem szybkim, szalonym, głużył wszystko wzięte...
»O, ileż szczęścia dzisiaj Hanusia mi dała!
Szczęście święte i wonne... alboż kiedy wróci?
Czy ojciec wolę skłoni do mojej wybranej?
»Boże!« — myślał już z jękiem — »niechaj męka
[skróci,
O, żebym jutro przybył do Hani kochanej!«

.

Pędzi wiatrem wierzchowiec cały pianą kryty,
 Unosi jeźdźca żywo przez gaje, parowy,
 Wreszcie stanął już w Troce, jakby w ziemię wryty.
 Mateusz witał pana, pochylił już głowy:
 »Pani prosi do siebie, starszy hrabia chory« —
 Wyszepiał z dziwnym lękiem, panicza tak kochał...
 »Kiedy zasłabł mój ojciec? Szukam dobrej pory,
 By z ojcem porozmawiać!« — lecz sługa zaszlochał.
 Henryk zmierzył go wzrokiem: — »Powiedz, Mateuszu,
 Ukrywasz tajemnicę! ja ojca uproszę!« —
 »Wstrzymaj, hrabio, zamiary! doszło moich uszu...
 Gotowe wielkie plany... z wszystkiego ja wnoszę.
 Wkrótce państwo wyjadą, albo Paryż zwiedzą,
 Lub w Wiedniu siedzieć będą, słyszałem dobitnie.«
 Henryk westchnął przeciągle: — »Trokę« — myślał —
 [»zbiedzą!« —
 Na sprzedaż pójdą serca — to bardzo zaszczytnie!« —
 Rzucił czapkę niedbale, chodził spiesznym krokiem,
 Rozpaczne jakieś myśli do głowy się tłoczyły!
 Stłumił wreszcie wrażenie, wyszedł cicho, bokiem,
 Do komnat ciotki dąży, choć żale go mroczą.
 Ciotka bladość spostrzegła, smutek w twarzy hrabi,
 Całuje czule w czoło i mówi układnie,
 Dziwnie słodką pieśczętą szczerość hrabi wabi
 I duszy głębie bada i serce dokładnie.
 Henryk jednak nie ufał, dociec prawdy wołał,
 A później chęci głosić, więc począł dochodzić.
 »Ojciec« — mówi Klotylda — »bardzo, bardzo bolał!
 »Nie widzi drogi wyjścia, bo można zaszkodzić
 Waszym losom w przyszłości... panna kocha ciebie!
 Oświadczył ciebie ojciec listownie, Henryku!«
 Hrabia niby huragan zerwał z miejsca siebie,

Schwyciwszy głowę w dłonie już wypadł wśród krzyku,
W którym dusza konała... »Sprzedać, sprzedać!« — woła
»To serce, duszę sprzedać dla cielca złotego!

Wołę zrzec się bogactwa, nigdy shańbić czoła!

Nie wolno czynem splamić honoru czystego!« —

Ciotka widząc stanowczość, myśli prawdą złamać,

Za hrabią idzie spieszenie i szczerze już głosi:

»Drogi, dobry Henryku, mamże tobie skłamać?

Opowiem szczerem słowem: — Amelja cię prosi,

Żebyś przybył do Wiednia — narzeczona twoja!

Przyjęła ciebie mile... w tym liście pisała.

Szczęście wielkie ci rzuca słaba ręka moja,

A zacna baronowa już posag jej dała,

Żeby Trokę ratować z przyległemi włości!

Więc wybaczyć ojcu pospiech, konieczność tu zmusza...«

Henryk nagle skamieniał, jako głaz z żalości!

I w długim odrętwieniu nie mówi — nie rusza.

Klocia ramię dotyka: — »Słuchaj, słuchaj« — powie —

»Kobieta, jeśli kocha i życie osłodzi...

Spokój zatem twej duszy! spokój twojej głowie!

Rozsądek niechaj zimny twą boleść ochłodzi.« —

Henryk milczy uparcie, czoło tylko chmurzy...

Odchodzi Klocia myśląc: przewalczy się pewnie...

Ledwie drzwi się zamknęły, hrabię rozpacz burzy,

Rozrywa wszelkie szafy i skrytki już gniewnie,

Szarpie dzwonek zawzięcie — sługa stary wchodzi:

»Spakujcie Mateuszu pospieszenie me rzeczy,

Jutro rankiem wyjeżdżam!« — »Hrabia siebie głodzi,

Herbata w sali czeka, — niech hrabia nie przeczy!« —

Mówi sługa z czułością, ale Henryk błądy

Na pierś swą tylko wskazał: — »Ja syty bólami!

Uciec muszę daleko, szukać chleba, rady!
Nie zdracę wychowałeś!« — Mateusz ze łzami
Objął nogi hrabicz: — »Pójdę z wami, paniel
Wy słonkiem mojem jasnem, a mroczy się życie!« —
Henryk stanął w zadumie, widać pomieszanie:
»O, chciałbym ciebie zabrać! lecz jadę tu skrycie,
Fundusz biorąc maleńki — praca żywic będzie;
Lecz kiedyś Mateuszu, przezacny mój sługo,
W życiu siebie znajdziemy! Czuwaj tutaj wszędzie,
Opieka twoja cenna, — wyjeżdżam na długo!« —
Sługa spełniał żądanie w ciszy pochylony,
A Henryk dobył papier i pisał wyrazy.
Żegnał ojca pokornie, wielce rozrzewniony,
Rodzeństwo, nawet sługi, bez wszelkiej urazy,
Dodał krótkie wyznanie: — »Idę w świat pracować,
Nie mogę szańbić serca i zdradzać anioła,
Który raj mi otworzył! Proszę cześć zachować,
Szacunek Hani zacnej! — to dusza ma woła!« —
Później jeszcze skreśliwszy długi list do Hani,
W milczeniu wyszedł cicho i obszedł podwórze.
Jakże wyjazd ten spieszny strasznie hrabię rani...
Nie wróci może nigdy! więc żegnał i wzgórze
Z parkiem, z pięknym pałacem, który sterczał dumnie,
Urągał szczęściu człeka sylwetką ponurą...
Sterczyć będzie wiekami, człowiek legnie w trumnie...
Tak dumiał Henryk długo — wtem księżyc za chmurą
Blaskiem całym wypłynął, oblał światła czarem
Parkowe krzewy, drzewa — a liściem szeleści
Grupa świeża brzeziny... hrabia odżył warem
Gorących wspomnień życia... i razem boleści!
Zerwał brzozy gałązkę, razem z kwiatem chowa,
Co Hania dała w darze — i odszedł wzmocniony,

Chociaż troską brzemienne serce, także głowa,
Lecz myślą, która płynie już cały olśniony:
»Stwórca daje uczucia, Stwórca dopomoże,
Gdy zacne tylko będą...« — tak dusza mówiła, —
»Praca będzie pokutą, — pracuj w imię Boże,
Bo przeszłość ojców grzechem twą sławę zaćmiła!« —
Długo jeszcze przesiedział Henryk z wiernym sługą,
Rozbierał życie całe — znużenie go męczy,
Zatem spoczął na krótko. — Rano chwilę długą
Poświęcił również słudze... rozłąka ta dręczy!
Wreszcie wyszedł na drogę, objął pałac wzrokiem,
W powietrzu słyhać tylko głębokie westchnienie...
Dłonie ścisnął starcowi, potem jednym skokiem
Gotowej dopadł bryki i ugrzązł w marzenie. —
Starzec został na ganku, — stoi, patrzy, słucha,
A łzy jak perły lecą po bladym obliczu,
Wreszcie upadł na klęczki, jękiem szczerym bucha:
»Błogosław, Boże, pracy! O wracaj, hrabiczul!«
Powstał wreszcie już drżący, odszedł w hrabi progi,
Wołają obowiązki i pan się przebudzi.
»Słońce« — szepnął — »przepadło! idzie wieczór srogi,
Do grobu zbliży szybko... utrudzi... utrudzi...«

Zegar głosi dziesiątą, hrabia służbę woła,
Henryka żąda widzieć, Mateusz drętwieje.
»Hrabia dzisiaj wyjechał« — szepnął, schylił czoła
I podał list Henryka, a krokiem się chwieje.
August rozdarł kopertę, czytał, pobladł, — cisnął
W szaleństwie jakimś dzikiem na starca swe ręce...
Rzucał biednym o ścianę, nawet gzyms aż prysnął!
Klotylda wpada nagle, przeszkadza tej męce.

August pieni się z gniewu: — »Zdrajca, zdrajca!« —
[krzyczy,
»Wypędzić tego łotra, bo z synem spiskuje!
Niechaj zdycha na śmieciach, niechaj z głodu ryczy!
Fatalny przebieg taki! przygniecie... zrujnuje!« —
»Spokój« — woła Kłotylda — »spokój radę poda!« —
Więc August wstąpił w siebie, nie miotał się z sługą. —
Wiązał pęczki Mateusz — »Bóg otuchy doda«, —
Pomyślał wlokąc stopy na drogę już długą.
Łzami oblał swe kroki... szłocha... idzie... płacze...
Nie przyjął nawet chleba, co daje klucznica,
»Przecież głodu życzyli... z głodu śmierć... siepacze!« —
Powoli gaśnie słońce — i bledną już lica...
Jako biedny wygnaniec Oporowo wita,
Henryka list oddaje. — Przenikła tę duszę
Hania tkliwa i rzewna... Mateusza pyta,
A widząc smutek woła: — »Rodziców poruszę,
Oni ciebie przygarną, — ufaj Mateusz!«
Więc poszła jako dziecię spłakane do matki,
Prośba korna już doszła nawet dziadka uszu:
Posilić starca kazał, rozwiązać manatki.
»Odtąd«, — rzecze poważnie — »będziesz chleb nasz jadł,
Nie ciężka tutaj służba: co wieczór opowiesz
Dzieje dawne wieśniakom, albo będziesz siadał
Czytając w wielkiej izbie, od Hani się dowiesz.
Wiejską dziatwę prowadzi, z wiejską dziatwą śpiewa,
Panience dopomagać, to twoje zadanie!
Teraz posil tve ciało, źle się pewnie miewa,
A Hania skróci tobie to rzewne płakanie.« —
Starzec tklawie dziękował panu, pani, pannie,
Z miłością wzrok swój spuścił na piękne oczęta,
Które patrzą tak smutnie. Opowiadał Hannie

Szczegóły wszelkie, znane; — łamała rączęta,
Widząc boleść Henryka, straszny gniew hrabiego!
Czułością darzy sługę za miłość do syna!
Ciepło płynie z ogniska jakby rodzinnego,
To wszystko dziełem Hani, jej wola, przyczyna.
Odtąd starca z dziewczęciem łączy los, przymierze,
Był sługą, przyjacielem i ojcem troskliwym,
Razem ciągle pracując, żyli w silnej wierze:
Że przyszłość Henryk przeczuł — i będzie szczęśliwym!

Pieśń VIII.

Zaloty i wesele.

Minął rok znów zupełny, nawet lato złoci
Dojrzałe pola łąnów, lecz nikłe te zboża,
Rolnik ręki przykład, czoło z pracy poci,
Urodzaj jednak nędzny — ha, wola w tem Boża!
Klimat bardzo się zmienił, wiosna mroźną bywa,
Wyszczerbia żyta kłosa, marnuje pszenicę,
Nawet plony ziemniaków ledwie wydobywa
Gospodarz zasępiony, bo mrozu iskrzycę
Wczesnie jesień pokaże! Straty ciągłe, znaczne,
Schmurzyły wszystkich czoła! W dodatku robotnik
Płacy żąda wysokiej, rządy także baczne
Podatki wznoszą w górę, a każdy ochotnik
Zabezpiecza i życie, zboże, dom, dobytek,
Rodzinę mając także i kształcić ją musi,
Gospodarstwo choć daje niezły plon, użytek,
Wydatków jednak wszelkich nie zmoże, nie zdusi!
Niespodziankę gdy klęska zwłaszcza przyszykuje!
Rodziny całe w trosce i ducha już ronią...

Cierpi każdy niezmiernie, jeśli łan miłuje!
A w głowie miewa dźwięki, że pogrzeb mu dzwonią!
Kłęska taka Czesława zdrowie nadszarpnęła,
Więc lekarz wysłał z żoną, gdzie wody Nauhejmu.
Tomasz widzi chorobę, nawet bojaźń wzięła...
Lecz ukrył wszystko w sobie, nie życzył rozejmu
Takiej zacnej rodzinie! kiedyś ojcu powie,
Za wczesnie smucić jeszcze, bo gorzkie jest życie.
Inne przecież tu plany, Janusz wczesnie dowie,
Na ślub swój wkrótce sprosi, a bierze go skrycie. —
Hania z dziadkiem została w oporowskim dworze,
A Janusz w gospodarstwie, krzątano się pilnie,
Żeby w niczem nie zaledz, wszystko spełnić w porze;
Skaliński radą służył i czynem usilnie.
W wolnych chwilach Hanusia Mateusza cieszy,
A zwłaszcza skoro z Anglii nadeszły już listy.
Henryk często pisywał, Hania wówczas spieszy
I z starcem dzieli wieści, a uśmiech jej czysty
Zdradzał miłość gorącą. Henryk pisał wiele:
Już kończył swoją pracę, gdzie warczą maszyny,
Kursa bierze w teorii, postępuje śmieie,
A siłę bierze z Hani, swej lubej dziewczyny!
Pomoc przyszła od Watta, przyjaciela domu,
Henryka zawsze kochał i radą mu służy.
»Zresztą ojcu nie robię« — pisze — »wcale sromu!
Pracuję rzeczywiście, choć praca ta nuży.
Piszę często do Troki, długo ojciec milczy; —
Stosunki zachowuję — wybaczy mi pracę!
Wiktor znowu popełnił jakiś wybryk wilczy,
Tysiące przegrał w karty, a mają i spłace!
Posag żąda Amelia, odtrąciła brata,
Cezara pono bierze, to bogacz niezmierny.

Ciocia w rozpacz popada, nieszczęśliwie swata,
Olimpia smutek żniwi, bo Rodryk niewierny.
Rodryk pędzi z Wiktorem dziwnie lekkie życie,
Monaco, Paryż, Wiedeń, już znają ich sztuczki,
Rodryk nawet ożenion z baletnicą skrycie,
A Wiktor pójdzie śladem podobnej nauczki.
Serce pęka mi z bólu, skoro myśl zabłądzi
Do mojej lubej Troki... fortuna magnacka
Zginie jako ta bańka, którą powiew rządzi!
Rozprysnie wpływ się wielki i gleba ta laska,
Która pilnie żywiła tyle zacnych rodzin!
O, niechaj klątwy ludu nie zgniotą nam czoła,
Niechaj żale nie czernią naszych dni urodzin!
Niedbalstwo rodów wielkich o pomstę zawoła...
Haniu, Haniu, twa dusza wielka, zacna, czysta,
Najbliżej jeszcze Nieba — modlitwą gorącą
Potrzeb głębie ogarnij, żeby łask perlista
Krzepiła rosa ludzi, bo burze ich zmacą.
Przyjdą czasy upalne, pełne bólu, sromu,
Zwątpienie duszę porwie i rozpacz ogarnie...
Może nawet zabraknie chleba, gleby, domu!
Nie wolno duszy ginać... jak opój tak marnie!
Użycz zdrowych nam pojęć, użycz, Boże święty,
Niech sprawy ciemne Tobie nie bluźnią w ukryciu!
W Twoich wielkich zamiarach jesteś niepojęty...
Zagadkę nieraz widzimy i w ludzkim tu życiu!
Ale woła Twa święta! cierpieć każesz w miarę —
I przyjdzie wreszcie chwila, ta chwila potężna,
W której spełni się duszkiem żółci wielką czarę,
Lecz razem Stwórca rzecze: — **»Już dosyć! bo mężna,
Silna wiara zwycięża! dosyć cierpią oni!«**
Ufajmy, Haniu droga, ufajmy tak silnie,

Niechaj miłość i wiara serca nasze chroni,
A błysną dni szczęśliwe, o, błysną niemylnie!« —
Listy takie pociechą były w trosce Hani,
Mateusz czerpał siłę z swojego panicza,
Odtąd pilniej pracował obok młodej pani,
Że dziadek Mateusza do »wiernych« zalicza.
**Wiernym synem nazywał każdą pilną duszę,
Co pięknym działa czynem, nie mąci spokoju,
Ganił ostro ospałość, w sercach pustki, głuszę,
I dziwne marnotrawstwo ludzkiego tu znoju.**

Hania działwie z Oporów warsztat założyła,
Wybrała górny pokój obszerny i jasny,
Długie stoły, a wazki, rzędem ustawiła,
Gotowy lokal stanął i widny i krasny.
Wkoło świętych obrazy, wśrodku anioł biały
Roztaczał śnieżne skrzydła w gipsowej figurze,
Lampka obok tlejąca, kryty bluszczem cały,
Opiekun dobrej działwy rozpostarł się w murze.
Wieczór dzieci spędzały obok zacnej Hani,
Dziewczęta uczy Lachatt' i robót i szycia,
Chłopcom stary Mateusz często pracę gani,
Koszyki każe robić i pudła do zbycia.
Hania zwykle czytała powieść z życia wziętą,
Zdarzenia tłumaczyła, swe czyniąc uwagi;
Działwa rady chłoneła, była w żar przejętą,
Gdy wspomni pierwszych chrześcian, ich męstwo i plagi!
Oczy tliły się blaskiem, słowa padły z duszy:
»Pójdziemy świętych śladem, Chrystusa kochamy!« —
Odtąd czujność się wzmogła, dobry przykład wzruszy,

Dla zacnych — sądzą — warsztat! — »O, złym go nie
damy!« —

Między sobą radziły, ceniąc pracę Hani,
A strzegły posterunku jak dzielni żołnierze!
Nawet starsi z wieśniaków przyszli słuchać pani, —
Wieczorny słynał warsztat, pociągał ich szczerze. —
Wkrótce przybył Topolin dzieło nowe witać,
By pięknym idąc śladem czynami się wstawić;
Głównie panny przejęte, przyszły zaraz pytać
O szczegóły każdy drobny, — więc począł im prawić
Stary, zacny Mateusz, jako wódz tej szkoły.
Uśmiechem Hania mówi, bo z dzieła szczęśliwa,
Zwłaszcza skoro plonuje wszelki trud, mokoły,
A była gościom rada, bo z serca życzliwa.
Suto stoły zastawia, podwieczorkiem darzy,
Owoce widać wonne i ciasta, wędliny,
Piją kawę, herbatę, jako kto zamarzy,
A dziadek z gospodarstwa był szczęśliw »ptaszyny«.
Zatem prędko obmyślił Hani niespodziankę,
Rozkazał zaprządz konie, by panny powiozły;
Miały zabrać posiłek, zwiedzić bór, polankę,
Janusza pracę zbadać, czy zoczył już kozły.
Dzielny z niego myśliwy, również rólNIK pilny,
Dziś mając mniejszą pracę, polował od rana,
Ruch ten, praca go krzepi, wyrosł zdrowy, silny,
W wspaniałą zdobny postać, wyglądał na pana.
Panem bywał i w sercu, także w myśli, w czynie,
Szlachetnym bywał panem, co lud swój ukochał:
Gardził wszelką podłością, która z pychy płynie,
I nieraz z bliźnim swoim serdecznie zaszlochał.
Tadzio zaprzągnął kucyki, szuka Hani, Łodzi,
Na resztę czekał powóz, a czekał gotowy.

Chciano podejść Janusza, figiel taki słodzi,
A panny uśmiechnięte, bo żarcik to nowy.
Przyszły wreszcie ubrane jako krakowianki,
Spódniczka krótka, gorset, szerokie rękawy,
Chustki wzięły na głowy, zamiast wstęg wiązanki,
By zostać niepoznane dla dłuższej zabawy.
W ręku miały koszyki: — »Grzybów szukać przyjdzie«, —
Zawoła żywo Lodka — »lecz Tadzio nas wyda!« —
»Tadzio z końmi zostanie, prędzej w las nie wyjdzie,
Aż Hani sygnał dźwięknie! gwizdawka się przyda!« —
Dziadek rzucił instrument — srebrny, wąski, mały,
Zabawy dobrej życząc. Wśród śmiechu i wrzawy
Bryki szybko pomknęły, wreszcie bór już cały
Roztoczył cienie swoje i czekał wyprawy.
Konie w ciszy stanęły, panny grupy tworząc,
Ruszają najpierw śmieie, a później już zwolna,
Jakby urok przeczuły, który przyjdzie z zorzą —
I Lodka nawet zmiłkła, a żywa, swawolna.
Stopy lekko tykają sine wrzosa, puchy,
Te leśne mchy wilgotne, a białe rączęta
Zamiast sięgnąć po rydze, albo konar suchy,
By w chatce ogień wzniecić, te nasze panięta
Stroją gorset w paprocie, wreszcie rzecz Fela:
»Polanka zaraz blisko, spotkamy rycerza!« —
Pilnie jęły się schylać, tłumiąc śmiech wesela,
Spostrzegły bowiem zbliżka Janusza — jak zmierza.
Postać piękna myśliwca jako dąb króluje,
Choć młody jeszcze wiekiem, postawą już nęci.
Staje w miejscu Felicja, w sercu lęk uczuje...
I nagle wstydem płonąc, korale już kręci.
Krótka chłopska sukienka, widać całe stopy...
Więc w gąszcz się chyba skryje, lub zmroku odczeka.

Słońce jakby na psotę rzuca całe snopy
Promieni złotych, lśniących — i wyda zdaleka!
Janusz szelest posłyszał, zwraca pilnie ucha,
To rogacz w dal pomyka, — więc wzrok swój wyteża,
Postać całą wygina, patrzy, znowu słucha,
I nawet strzelbę ciężką z ramieniem wypręża,
Żeby strzałem powitać, — nagle z lękiem woła:
»Nieszczęsna, dokąd idziesz? mierzyłem już w ciebie!«
Spostrzegł wiejską dziewczynę, zadrżał, schylił czoła
I patrzy śmiało w krzaki. — Felicja za siebie
Cofa szybko swój koszyk, nagle zcicha ginie —
Lecz Janusz szelest śledził. Wtem zoczył u skraju
Inne wiejskie postacie, — piękno w ruchach, w minie.
Przypieszył kroku, — ciekaw, — już bliski ruczaju!
Nagle słońce rzuciło takie wielkie blaski,
Że spostrzegł strój odmienny, więc szybko się zbliża,
Łamie ręką gałęzie jako suche trzaski,
Lecz głowa każdej z dziewcząt do ziemi się zniża.
Staje, patrzy, nie wierzy, — wreszcie podszedł z boku
I śmiało spojrział w oczy: — »To panie! o Boże!« —
Panny śmiechem buchnęły, Janusz zwolnił kroku:
»Czy wszystkie panie tutaj? Czy dalej są może?« —
»Felcia, Felcia przepadła!« — rzuca Hania śmiało,
»Przed chwilą tutaj była, w pobliżu jest pewnie!« —
Janusz strzelbę odrzucił, serce z wzruszeń drżało —
»Mierzyłem właśnie w krzaki!« — zawołał już rzewnie —
»Byłbym rękę pohańbił... ale szukać trzeba!«
Więc pobiegł lekkim krokiem. — Felicja strwożona,
Cicho stoi pod świerkiem, szuka słońca, nieba,
Bo zmrok się dawał uczuć. — »Tu ona! och ona!«
Krzyknął Janusz z radości, bierze rękę Feli,
Wyciąga dziewczę z gąszczu i patrzy z słodyczą:

»Jakże Bogu dziękować, strzegli rąk anieli!
Ja byłbym zabił panią!« — już dodał z goryczą,
Widząc czułość Janusza, dziewczę zapomina
O krótkiej swojej sukni, lecz zręczne i drobne
Spostrzegł Janusz jej stopy. Czuje wzrok dziewczyna,
Młodzieńca zwraca myśli na liście ozdobne,
Które w ręku trzymała. Janusz bierze kwiaty,
Myśliwską zdobi czapkę, do kurtki przypina:
»Cudnie pani w tym stroju, ładne« — rzecze — »szaty,
Przedziwny wygląd mają, gdy pańska jest mina.«
Płoną lica Felicji, płonie wzrok młodzieńca,
W milczeniu idą dalej, a panny wołają:
»Wiedzie strzelec sarenkę, zdobną w czar rumieńca,
O, celne zawsze strzały w tym borze padają.«
Hania sygnał już dała, drzewa echem niosą,
Aż wpadnie w ucho Tadzia i bryki zajadą.
Bór już w mgły się zaszywał, pachniał srebrną rosą,
A Wanda straszy wilkiem i z postu zagłada.
Wkrótce konie stanęły, Tadzio koszyk niesie,
Więc wyszli wszyscy z boru, u skraju siadają.
Zorza blaski roznieca, tonąc w ciemnym lesie,
Purpurą, złotem iskrzy te chmury, co dają
Taki wygląd czarowny, złoci krzaki, drzewa,
Olbrzymią płytę wody, łączącą się z borem.
Widząc piękność natury, każdy w duszy śpiewa
Pochwalny hymn niebiosom, więc idąc tym wzorem
Panny dźwięcznie nuciły: »Wszystkie nasze sprawy«.
Wspaniała pieśń rozbrzmiewa po tafli jeziora,
Płynie dalej po rosie... Janusz jako prawy
Wtórował męzkim głosem, lecz Tadzio, że pora
Była zwykła posiłku — w koszyk patrzy pilnie.
Nie ważą jednak starsi pragnienia chłopczyny,

Każdy tonie w zadumie... czuje czar tak silnie!
A Janusz pomknął bliżej do cichej dziewczyny:
Patrzy w wiotką jej postać, bierze rękę z wolna
I składa pocałunek. Felicja w płomieniach...
Wstaje z miejsca wzruszona... Łodki chęć swawolna,
Pociąga fałdę Wandy, — a Hania w marzeniach
Oczy wznosi ku niebu... Tadzio patrzy, czeka,
Aż wreszcie sprzykrzył sobie i rażno zawoła:
»W koszu pełno dobroci, niosę kosz zdaleka!«
Hanusia ciemne chmury rozpędza już z czoła:
»Tadzio,« — rzecze — »zarobił, słuszna jego sprawa!
Więc proszę państwa bliżej, — tu bułki, wędliny,
Ciasta, dobre owoce!« — Przyszła chęć, zabawa
Weselszy obrót wzięła, a widać to z miny
Chłopca, który ożywał, sypiąc dowcipami.
Tym śladem poszła Wanda z kolecami w języku,
Również Łodka i Felcia, ale Hania z łzami
Patrzała w złote niebo... nie psując im szyku.
Gasła zorza wieczorna, — Janusz odwrót radził, —
Komary lecą chmurą, opary się wznoszą,
Zatem panie do bryki szybko uprowadził,
Lecz Łodka z Hanią jechać kucami już proszą.
Janusz bawił podróże, siedząc prosto Feli,
Myśliwskie prawil sztuczki i wuja wspominał,
Który idąc na dzika użył karabeli,
Na drzewie jednak czekał, by dzik się tu wspinał;
Wreszcie skoczył z wysoka, widząc cielsko dzika
W uściskach śmierci jawnej — więc przeszył go szpadą,
Głosząc szumnie we dworze, jako zabił żbika!
A byłby wybryk taki i skończył się zwadą:
Roman, tęgi myśliwiec, zwierzę zwałił ciosem,
Nie myślał sobie ująć zaszczytu, pochwały;

Dziadek sprawę rozstrzygnął dając ciągnąć losem,
Wybierał kartki Roman, — zwycięstwem szumiały! —
Wreszcie bryki stanęły, — służba kosze bierze —
Skaliński woła z ganku: — »A kozioł? a rydze?!«
Janusz poczuł urazę, ale starzec szczerze
W ramiona strzelca chwyta: — »Szyderstwem się brzydzę!«
Wanda wszystko wyznała, jako w Felcię mierzył.
Skaliński palcem grożąc, zabawki nie radził,
»Chytry!« — rzecze z uśmiechem — »nic się, nic nie
[zwierzył,

A dziadek sprawę taką by łatwo wygładził!« —
Spojrzał w oczy Felicji, spojrzał w oczy wnuka,
Z radości wąsy targał, bo cenił dziewczynę.
Janusz w dziadka spojrzeniu pobłażania szuka,
Zoczywszy dobre chęci, nie podał przyczynę,
Ale w ramię całuje piękną starca postać.
Felicja z boku patrzy i wszystko rozumie...
Tkliwych kobiet przecuciu trudno zawsze sprostać,
Wrażliwe serce przyszłość wyczytać już umie.
Śmieje starzec się z wnuka: — »Łanię upolował!
Myśliwy z niego tęgi, nie łatwe to łowy!«
Temat dwojga tych młodych byłby w bród królował,
Walenty jednak przerwał, rzucając te słowa:
»Wieczór gości przywodzi, przybył pan Budziszek,
W sąsiedztwie leczył chorych«, — doktora wprowadza.
»Zaraz podam herbatę, wino, rum, kieliszek«. —
Tomasza wita Janusz, on wąsy wygładza.
Wielkie było zdziwienie, idzie Szklicki młody,
A w swojej elegancji nie chodzi, lecz płynie.
Hania zerka na Lodkę, Lodka bierze wody,
By napływ krwi przytłumić, — z białości wszak słynie?
Artur dzisiaj poważny, dziennikarstwo rusza,

Wygłasza dziwne żale, procesów wyniki.

Wolność druku przecenił: — **»Kara wszystkich wzrusza,
Za szczere, dzielne słowa, sądowe te pliki!
Biura tylko przeciążą, dosyć aktów mamy!
Więzienne idą kary i niszczą rodzinę!**

Kiedyż ulgę prawdziwą prasie prawem damy?»

Sposepniał całkiem nagle, tłumaczył i winę.

»Zapadł wyrok onegdaj, rok więziennej kary!
Półrocze, albo kwartał — i miesiąc się zdarzy.

**Trzeba siły i walki, trzeba w pracę wiary,
Że trwają redaktorzy, choć często ich parzy!**

Jedno nieraz ich gubi, jedno małe słowo,

Obrazę upatrując już łapią na wędki!

Trzeba umieć układać Salomona głową!

Redaktor biedny z żalu i gorzki i prędko.

Artur zbudził doktora, siedział zasępiony,

Więc głosić począł wszystkim o wiecach, zebraniu:

»Nieraz« — rzecze — »podwładny całkiem zatrwożony,
Stawiają tamy wiecom już w pełnem wydaniu!

**Wulkan srogi wybucha! wolność w przepaść wpada,
Roztrąca białe skrzydła, konając z boleści!**

Zawiść w dłonie uderza, zwycięstw chciwa, rada,

Nieszczęsna zapomina, gdzie swobód tu cześci!» —

»Dawniej każdy wygłosił swoje szczere zdanie,

W zebraniach, w wiecach, w pismach — dziś mówić nie

[każą«...

Dodał Józef Skaliński. — »Sobą człek przestanie,

A będzie chorągiewką, lub zerem, co mażą!

Taki postęp wychowa tylko karły ducha,

Lecz karły groźne nieraz w podziemnej robocie,

Pełne jadu, zgnilizny! Wszelka przemoc krucha,

Bo łamie sprawiedliwość, choć kapie się w złocie,

W końcu zawsze ugrzęźnie! Próżne wszelkie chęci,
Zwyciężyć dobro musi, bo Bóg jest na Niebie!
Póki słońce przyświeca, każdy czyn wyświęci,
Przed sądem stawia Boskiem... pocieszysz i siebie!
Jaka boleść dla ducha, jeśli siłę czuje,
Że Bóg go przybrał w skrzydła wolności olbrzymie,
Żeby świat ten ogarniał! Moc tu lot krępuje,
W kajdany okuć każe, krzyknąwszy: »niech
[drzymie!«

»Przemoc każda obudzić tylko gorycz musi, —
Popróbuj związać orła, czy bronić się będzie?
Z siłą wielką niech ludzkość wszelką zbrodnię dusi,
Lecz ducha zacne cele niech poprze i przędzie.
Sądzę prawo powróci swobód sprawiedliwych,
Bo ludy przejrzeć muszą! Choroba dziś męczy,
Która psuje organizm, robi nieszczęśliwych,
W ustroju każde państwo marnuje i dręczy.
W łonie własnem rozterki — rzecz to bardzo zdradna!
To rak, co ciało toczy... i soki przetrawia...
Jadem śmierci zatruwa... Jaka zgoda ładna!
Spokojem swoim krzepi i ducha poprawia.
Nigdy duch ten nie weźmie robót w lochach tajnych,
Otwarcie działać będzie, jak dziecię w rodzinie,
Czując ciepło ogniska, gardzi czynem skrajnych,
W swobodzie zacnej prawa swe skrzydła rozwinie.
Lotem swoim obejmie całą ludzkość, całą,
By każdej dobrej sprawie z pomocą pospieszyć,
Pojmie wielką potrzebę, pojmie także małą,
I goić będzie zawsze — nie niszczyć — nie

[grzeszyć!« —

»Dziwna gorycz się mnoży pośród wszystkich ludzi« —
Dorzucił znowu Tomasz, — »stronnictwa aż syczą!

Czują siłę wyjątków, złość się tylko budzi,
Dokuczyć słabszym można... »wytępić!« już

[krzycząc!«*)

»Komu grozi stronnictwo?« — pytał starzec z siłą —
»Walecznym, którzy stali z innymi w szeregu?
W boju mężnie ginęli — sypiąc ciała mogiłą!
Nie ludzki pomysł chyba! szatański jest w biegu!
Biedne dzieci! kolebka tutaj stała wasza...
Tu Matka wychowała... tu ziemia żywiła...
Prawo Boskie jest wielkie! chociaż złość rozprasza...
I z piekieł gromy przyszły, nie wzmoże ta siła!
Chować tutaj będziecie wasze pokolenia,
A wieki urodzajna wyżywi ich gleba!
Zmażą wszystkie się grzechy prawem łez, cierpienia...
Porządek Boski wróci, bo moc w nim jest Nieba!« —
Starzec mówił z zapalem, skończył z drżeniem w głosie,
A wielkie łzy zrosiły poważne oblicze...
Cisza w gronie zalega... jako dzwon po rosie,
Tak dźwięczą w uszach słowa... i tleją już znicze,
Które szczęście dawały... wszyscy łzy poczuli,
A boleść bezgraniczna już piersi rozsadza!
Wreszcie ciche marzenie w trosce wielkiej tuli,
Pociesza, głosi radę i spokój sprowadza.
Starzec spojrział na twarze: panny karmin miały,
A oczy wyiskrzzone nadziemskim zapalem,
Felci, nawet i Lodce, ręce zlekka drżały,
A Hanię żalność wzięła i duszą i ciałem!
»Wielką«, — rzecze znów starzec — »siłę przypisują

»Ausrotten« — wytępić. Słowa tego używały nieraz pisma niemieckie, wspominając o istnieniu Polaków pod berłem pruskim.

Kobiecie naszej zawsze! **Wszak Bismarck wygłasza:**
»Polka wrogiem największym! wszyscy Niemcy
[czują!« —

»Tem zdaniem całe gromy na Polki już sprasza.
Zacna zawsze kobieta dużo, dużo może,
Jak niemniej swawolnica zawiedzie do piekła.
Zatem pragnę dla kobiet, żeby prawo Boże
Ich czynem kierowało... by łza tu nie ciekła!
Niechaj zawsze kobieta bierze moc Spartanki,
A wiarę męczennicy z areny Nerona,
Niechaj duszę wystroi w białą cześć kapłanki,
A będzie panią można i matka i żona!
Będzie siostrą w ucisku, pocieszeniem duszy,
Poważną doradczynią, kapłanką ogniska,
Będzie ludu mistrzynią, światłem ducha w głuszy!
Powierzył Bóg jej dzieło... i w serce je ciska!« —
Wino stało na stole, starzec kielich bierze
I zdrowie spełnia kobiet, prawdziwej podpory.
Wszyscy wznoszą kielichy, piją w szczerzej wierze
I Tomasz nawet dzisiaj tu bardziej już skory.
»Jakoś znikły błahostki« — rzuca Wanda zlekka,
Tomasza trąca Artur: »A tłumacz się przecie!«
»Pani«, — rzecze do Wandy — »zawsze skórę spieka,
Szlachetnym będę odtąd. Już głośnem po świecie,
Jako biorę sakrament!« — »Zatem winszujemy!«
Wołają panny chórem. — »Dziękuję, to mało!
Sądzę wszyscy pozwolą, obiad wspólnie zjemy,
A skromna będzie uczta na jaką mię stało,
W chatce tutaj pożycznej, w chatce ładnej Zosi,
Wygnanki biednej córki, — zaślubić ją pragnę!
Strzecha w której zrodzona, niechżeż gody głosi!« —
»Będziemy wszyscy, panie, poproszę i nagnę!« —

Powie starzec życzliwie — »ale jakże ładnie
Cichaczem urządziłeś?« — »O, lisią ma skórę!« —
Woła Artur z uśmiechem. — »Poszło gładko, składnie,
Lecz prawda wiochnę bierze, nie pańską tu córę.« —
»Wielkie trudy w konkurach humor panom biorą!« —
Powiedział wreszcie Janusz, a milczał zawzięcie,
Cały oddan marzeniom. — »Przecież ładną porą
Zdobywać szczęście przyszłe, to miłe zajęcie!« —
»Zwłaszcza zimą przesiedzieć kilka mil na saniach,
Odmrozić twarz i ręce, chorobą przypłacić!« —
Rzucił Tomasz szyderczo. — »Widzę z min, po paniach,
Że wielkie wymagania, a można i stracić!« —
»Jakto, panie doktorze?« — woła Wanda żywo —
»Wszak trudzisz często siebie i w mniejszej zdobyczy?
Biorąc serce na wieki — idzie chęć leniwo?
Z kobietą przecież zgarniesz... tysiące... słodyczy!« —
»Panna Wanda ma słuszość! wielką!« — starzec rzecze —
»Kobieta daje więcej w małżeńskim układzie,
Trudem zatem konkury niechaj mąż przypieczel!
Rozjemcą chyba słuszość już będzie w tej zwadzie!
Żeby poprzeć me zdanie, sądzę, Janusz pewnie
Odprawi siedmioletnie, wytrwałe konkury!«
»Jakże, dziadku kochany?« — powie Janusz śpiwnie,
»Zbyt długie wojowanie osłabia już mury!« —
Znowu w ramię całuje, dziadek patrzy, śmieje,
Janusza mierzy wzrokiem i ręce zaciera:
»Widzę«, — rzecze łagodnie — »jakoś źle się dzieje,
W Januszu dawne życie już nawet zamiera!« —
»Ale lepsze się budzi!« — dodał młodzian z siłą,
»Mocniejsze jeszcze będzie, zaręczam na słowo!
Jakoś łatwiej pracować z inną duszą miłą,
Wytrwałość będzie większa, z zachętą na nowo!

Skoro jeszcze wybrana pełna szlachetności,
Prawdziwie wyższych zasad, nie można się lękać!«
»Widzę, Janusz zrozumiał cel i blask przyszłości,
Kobierzec rzucą ślubny... i przyjdzie już klękać!« —
Janusz wielce zmieszany, twarz mu płonie żarem,
W Tomasza godzi starzec, by wnuka ochronić.
»Z strachu zadrży ci dusza, albo kipi warem,
Kochany eskulapie? Bo wolność uronić,
Wielka bieda, młodzieńcze!« — »Biorę wiochnę, panie!«
Z naciskiem doktor powie — »i będę szczęśliwy,
Żadnych trudów nie żąda«. — »Inne moje zdanie,
Doktorze, mówię szczerze, lecz temat drażliwy.
Żonę sobie poślubiasz, żadną wiochnę, sługę,
Bo równą tobie będzie, gdy węzeł połączy!
Cześć jej oddaj należną, cześć za trud, przysługę,
Bo wszelki brak szacunku, pogardę ci sący!
Sądzę, dobrze wybrałeś, wedle zacnej chęci,
Nie wnikać w motyw głębszy, pogody ci życzeń!« —
Podniósł kielich Skaliński, Tomasz wąsy kręci —
»Niech żyje przyszłe szczęście! nie mówię, lecz krzyczę!« —
»Będzie jakoś... ha, będzie!« — Tomasz krótko powie,
Dziękuję zgromadzonym za słowa życzliwe,
Odtąd smętna zaduma psuje spokój w głowie
I pyta w duszy, zcicha, czy szczęście możliwe?
Długo jeszcze mówiono, biorąc różne sprawy,
Aż północ wygłosiła, że spocząć wypada;
Zatem goście ruszyli, pomni chwil zabawy.
Felicja z grona tego najbardziej tu rada!
W drodze tryska dowcipem, zwykle bardzo cicha,
I psoty robi Lodce i Wandę pikuje.
Lodka w zamian milcząca, tylko lekko wzdycha:
»Nieźnośny Artur dzisiaj! na wielkość choruje!« —

Wanda robi uwagę, jako Tomasz wpadnie,
Zbyt prosta piękna Zosia, nie łączy ich wiedza,
Będzie cudem to chyba, jeśli pójdzie składowie,
Różnica duża taka najczęściej tu zbiedza.

Tydzień minął wśród zajęć, w Oporowie głośno,
Że chatkę dawną Zosi już stroją wieńcami,
Radość w wiosce ogólna! — Hani coś żałośno, —
Nie wierzy w szczęście Zosi, wybucha żalami.
»Haniu«, — rzecze Skaliński — »słuszny lęk, przeczucie!
Nie kocha duszy Tomasz, lecz piękne jej ciało!
Pewnie krótko potrważą — szczerą chęć — uczucie —
Bo możny doktor w wiedzę, a Zosia za mało!
Trzeba przyznać jej cnotę, zacność przyznać trzeba,
Lecz jakże wielbić ducha w najgrubszej prostocie,
Jeśli człowiek uczony? Ciału starczy chleba,
Lecz duch się ocknie prędko, nie spadnie w swym locie,
Ale wyżyn pożąda, wyżyn równych sobie,
A widząc jako inny tu pełza po grudzie,
Jęknie pełen boleści: Śmierć mi, śmierć przy tobie!
Nie złamnę skrzydeł moich, bo umrę w tym trudzie...
Pełzaj sobie po ziemi, pójde innym torem! —
I leci coraz dalej, aż zleje się z chmurą!
Pełza inny po świecie, idzie drogą — borem —
Porzuci wreszcie chatkę i zginie za górą!
Duchem równi być muszą, jeśli pragną szczęścia,
Inaczej będzie walka, lub boleść szalona.
Łatwiej znosić tu ludziom każdy trud zameżcia,
Gdy para równa sobie, od wzgardy zwolniona.« —
Starzec kończył uwagę, wchodzi gość — Piotrowa,
Zamierza prosić w dworze o wielką przysługę,

Twarz ma nieco schmurzoną, lęk jej dławi słowa:
»Pokornie państwa proszę o sprzęty, usługę.« —
»Wszystko będzie w porządku« — żywo rzecze Hania —
»Powiedzcie tylko szczerze, czy Zosia wesola?« —
»Serce Zosi, panienko, doń się szczerze skłania,
A reszta w ręku Boga...« — Piotrowa zawoła.
Poszła cicho wieśniaczka. — »Dziadku, dziadku drogi«,
Mówiła znowu Hania — »to ślepi już ludziel
Wiare mają ogromną, ale duch ubogi,
Nie może pojąć skutków!« — »W ciemności są brudzie,
Przytem próżność ich nęci: doktor zięciem będzie,
A córka panią... żoną... nie zedrzesz im maski!
Tomasz również oślepien! Zmysły, zmysły wszędzie
Olśniły zdrowy rozum, — rzucając swe blaski.
Haniu, cieszę się szczerze, Janusz taki młody,
A różni szych od złota! Felicja to dusza
Wielce, wielce szlachetna, chociaż blask urody
Nie nosi ziemska tkanka, do czci nas przymusza.
Tylko wielka szlachetność tryumf taki rodzi
I białość śnieżna duszy aniołom podobna!
Zwolna chłonie nas całych, dziwny spokój płodzi,
Odtrąca zmysłów siłę i duma żałobna,
Czyli ugrząść myślemy? czyli wyrwać może?
A smutek wówczas taki ją całą pokrywa,
Z taką żalu potęgą woła: »Ratuj Boże!
Że z kału najgłębszego — do siebie porywa!
Dźwiga, dźwiga, podnosi, jako stal hartowna,
Aż wzbije myśli w Niebo i duszę obudzi!
Swojem pięknem wybielić myśl jej wielka, główna,
Nie zmoże trud jej żaden, ni duma nie złudzi!«
Hania słuszość przyznaje, dziadka wyrok święty,
Felicję kocha bardzo, — lecz głowę pochyla —

Smutek dziwny ją gnębi, bólem duch jej wzięty,
W marzeniu tonie cały i przeszłość rozpyła...
Widzi Anglię — Henryka — tęskność czuje w duszy,
Gdy Wicek drzwi otworzył i podał jej listy.
»Henryk pisze!« — zawoła — »żale moje skruszy...«
Z chciwością czyta pismo. — »O, jaki dziś mglisty...«
Szeptem prawie dopowie: »Troski widzę... troski...
Amelia w Anglii, Boże! Henryka tam śledzi...
Dziadku, była w Londynie! mienią w oczach głoski...
O proszę, czytaj, czytaj, już znowu... już siedzi!« —
Czyta pismo Skaliński, Hania głowę słania:
»Amelia bawi tutaj i bywa u Watta,
Sądzi, sercem ulegnę... moja droga Hania
Wszak ufa mojej sile, poczeka i lata?
Tęskność jednak ogromna ciągle duszę gnębi,
O, rada jarzmo zrzucić, a ulżyć nie może...
Gdyby ojciec rozumiał... ale ból ten ziębi,
Niewinną duszę twoją... i żale jej wzmoże...
Ciotka znowu pisała: — »Dźwignij ojca, Trokę,
Posagiem pięknej panny, a czyn twój wybaczy!« —
»Praca tylko nas zbawi, radzę chęć, nie zwłokę,
Zrozumie może ojciec i pojąć mię raczy.« —
»Taką dałem odpowiedź! Idą z panną w parze
I sądzą pośród obcych — ogłuszają mi duszę!
Razem z pracą rolniczą rękodzielnie marzę,
Choć później — zawsze ojca do zmiany przymuszę.« —
Skończył pismo Skaliński, Hania głowę wspiera,
A łzy się iskrzą w oczach, czy zazdrość ją chwyta?
Zdało Hani się z listu, jako chęć zamiera
I trud się przykrzy jemu... nie będzie już skryta,
Pada w dziadka objęcia, niby kwiat złamany:
»Ha, kulą Henrykowi ja jestem u nogi!« —

Starzec wnuczkę pociesza, leczy duszy rany:
»Nie drażnij siebie, Haniu, bo Henryk ci drogi!
Wytrwać przecież zamierza! Ojcu dawał pracę,
Nie umiał cenić syna i stracił podpórę.
Dzisiaj jeszcze powtarza: — »Ojcu dług mój spleć,
Lecz prostą pójde drogą, — a przyjdę i w porę.«
»Czekać trzeba cierpliwie, kochać, wierzyć, cenić,
Bo Henryk zacny bardzo, nie można odtrącić!« —
»Będę hańbą się palić, wstydem twarz rumienić,
Gdy Trokę straci August! i będę wciąż mąć
Sprawę hrabi rodziną...! Dziadku, dodaj siły
I zerwij nić kochania... bo sama nie mogę!« —
»Czujesz dobrze, Hanusiu, ile Henryk miły,
Więc dumy twojej skargę przewalczę i wzmożę!« —
Dziadek wnuczkę utulił, wieczór spędził w biurze,
Napisał list obszerny do hrabi Henryka,
Żeby Hanię nie drażnił. Biegłym będąc w piórze,
Ostrożnie bardzo doniósł, że miłość boryka
Z wielką duszy ambicją! — »Cierpi« — pisał — »ona, —
A cierpi z całej głębi gorącej swej duszy!
Będzie tobie aniołem, będzie zacna żona,
Lecz ból niech młodej siły nie niszczy, nie kruszy!
Ojcu podaj swe plany bardzo zrozumiale,
Bo klęska tegoroczna nas wielu powali!
Ziarno tylko tu plewą, jarzyn niema wcale,
A burak chyba jeszcze i ziemniak ocali.
Rady czeka Topolin, bieda biedę goni,
Choć Roman łożyć pragnie, lecz Wanda się chwieje,
Sądzę trzeźwość zwycięży, chociaż dzisiaj broni! —
Niemile, drogi hrabio, donoszę ci dzieje,
Zamiast ciebie rozerwać, zamiast dodać życia,
Jeremiad głoszę dźwięki! lecz mężem ty silnym,

Duchem stali podobny! Wracaj z dróg, z ukrycia,
Bo w klęsce czuwać trzeba i w radzie być pilnym!« —
Starzec spełnił powinność, zatem w ciszy zaśnie,
Wszak szczęścia dwojga pragnie? lecz ziemi nie zbiedzi.
Spokój wkoło zalega, dwór już cały gaśnie...
A Hania? W niemym bólu do rana przesiedzi...
Wszystkie gwiazdy zliczyła, jakie widzieć mogła,
I każdej swoją skargę rzuciła w żałości...
Słońce w oczy zajrzało... nagle siebie wzmogła,
Objęła krzyż ramieniem... modliła — z miłości!

Trąby huczą przed domem, lud nasz z Oporowa
Na progi wyległ chatek — Tomasza wesele!
Huczą dalej przed chatką, słucha trąb Piotrowa,
Na Zosię patrząc mówi: — »Ha, szczęścia tu wiele!
Suknie wiszą w komorze, moja panno młoda,
Drużbowie wkrótce przyjdą i doktor przyjedzie.
Ruszej teraz się stroić, matuś kawę poda!« —
Nie spieszno Zosi wcale, nie ufa w swej biedzie...
Wczoraj Franka z pod lasu rzekła w ucho Zosi,
Że doktor panicz dzisiaj, pogardzi dziewczyną.
Teraz jemu nie wierzy... chociaż gości prosi,
Wszak tydzień temu była już kłótni przyczyną:
Matuś stroi ją w woal, w suknię długą, białą,
A Tomasz śmiechem buchnął: »Nie! gorset i wianek!
Chłopską sprawię sukmanę, ona suknię całą
Krakowską przywdziać musi!« — »On w duszy to panek,
Ale chłopą udaje... wczoraj z nami jadał,
Aż w górę z złości skoczył, gdy misę podałam,
Z drzewa łyżki do mięsa! Potem ciągle biadał,
Że głośno w ustach mełę, że krzywo siedziałam...

Uczył chodzić i kłaniać, nawet gadać uczył,
I jeżem brew nastawia, gdy głośno poczytał.
Jeśli dalej tak pójdzie, jeśli będzie kruczył,
Czy dobrze będę miała... ja w duszy się pytam? —
Stała długo przed chatką, patrząc w dal zamglona,
Aż wreszcie turkot zbudził, — to Tomasz przybywał
»Jakto, Zosia pochmurna? Moja śliczna żona?!«
Już zdala Tomasz rzucił, a Zosia się zrywa,
Nagle uciec zapragnie! ale Tomasz bierze
W otwarte ramię dziewczę i w czoło całuje.
Zosię ufność znów chwyta, kocha bowiem szczerze,
Lecz zcicha wzdycha ciągle... czy swobód żałuje?
Idzie wreszcie się przebrać, trefi bujne włosy,
Co kryją postać płaszczem, jak gdyby z tkaniny,
Wiąże potem je w sploty, ziemi sięgną kosy,
A pierś już gorset ściska łabędzią dziewczyny.
Suknia biała, lecz krótka, wstęgą bramowana,
Koszula barwy śniegu, kryzami obszyta,
Długim biczem koralu szyja opasana,
Drogiemi wstęgi głowa i wieńcem pokryta,
Bucik niski, czerwony, dar Tomasza wszelki.
Sukmanę doktor bierze i buty palone.
Widząc parę Piotrowa, rzuca okrzyk wielki,
A Zosia w górę wznosi swe oczy zamglone:
»Szkoda«, — rzecze — »że panicz! chłop to byłby tęgi,
Do kosy w pełne żniwa, a z wiosną do pług!« —
»Jakto, boisz panicza? Czemu lęk, mitręgi?
Wszak żoną będziesz moją... nie chłopka, nie sługa!« —
Znowu bierze w ramiona, Zosia w bok odskoczy,
Jak węgle błyszczą oczy, Tomasza odpycha.
Doktor patrzy zdziwiony, nagle Frankę zoczy,
Z komory wychodziła. — »Na szczęście me czycha!«

Cicho w duszy pomyśli — »zazdrość zbrodnię rodzi...«
Lecz milczy, waży, czeka, — a wargi zacina.
Często spojrzy na zegar, spieszny krok chodzący,
Aż wreszcie zamówiona wybiła godzina.
Słysząc turkot już bliski, stają wozy strojne
W gałęzie, gęste liściem, i jadą karety;
Dążą w strojach wieśniacy, mając ręce znojne,
A Artur nawet przywiózł wytworne bukiety.
Jednym Łodkę obdarzył, drugi wręczył Kasi,
Tomasza, siostrze młodej, bo druchną też była.
Patrzy mówiąc drużyna: — »Nawet państwo nasi!«
A smętna dzisiaj Zosia z radości odżyła!
Staje bryka Skalińskich, proszą młodych państwa,
Dziękuję kornie Tomasz i wóz już wybiera,
Wierny swoim zasadom, niby wzór poddaństwa...
Z zazdrością skrytą Zosia na bryki spoziera,
Przecież będzie i panią... teraz znowu boi,
Bo Franka dziwy plecie, a mądra dziewczyna.
Dzisiaj rano prawiała: — »Tomasz wyżej stoi,
Wyśmiej państwo ciebie — a ważna przyczyna.«
Lęk ją dziwny ogarniał, drżenie budzi w ciele,
Gdy kapłan wiąże stulą, gdy składa przysięgę,
Słysząc długie westchnienie, nawet płacz w kościele,
Na bladej Zosi twarzy rozpoznać mitręgę.
Tomasz głośno przysięga, Zosię wspiera siłą
I wzrokiem bada często, a Hania stroskana
Razem z Zosią cierpiała... twarz swą piękną, miłą,
Ukryła w białe dłonie — nie patrzy spłakana.
Nagle »Veni Creator« zabrzmiał w pełni z chóru,
Więc Zosię podniósł Tomasz, z kościoła już wiedzie,
Hanię bierze Skaliński, wsparty blisko muru,
A Roman Wandy strzeże — i myśli o biedzie

Jaka czeka Tomaszów, — szczęścia nikt nie wróży!
Ruszyły wozy rażno, zabrzmiała kapela,
Huczy cała drużyna; Zosię wszystko nuży,
Parobcy kpiny stroją, nie widząc wesela.
W chatce przyjął Skaliński chlebem, miodem, solą,
Wincenty stół sposobił, a Wicek posłużył;
Wszystko gładko tu poszło Skalińskiego wola,
Z niechęci nawet oczu już Roman nie mrużył.
W drugiej izbie drużyna cichą mowę wiedzie,
Uczając razem z państwem, gawędzą i szczerze:
»Wkrótce przyjdą wybory, — ciężko w naszej biedzie,
Lecz jakże siebie zaprzeć w godności i w wierze?« —
Słyszac głosy Skaliński, kazał drzwi otworzyć
I gromko mówić zaczął: — »Kochani słuchacze!
Alboż dając nam życie, Bóg z nas pragnął stworzyć
Bydłęta może marne, co wiodą oracze?
Bóg nas duchem ożywił, duch ten myśleć umie,
Rozpozna obowiązki i wolę ma silną!
Idźcie głosem sumienia, każdy człek rozumie,
Że bronić godność swoją — jest drogą niemylną!
Pies, a strzeże zagrody! brońcie prawa wasze
W tem mocnem przekonaniu, że obcy zrozumie,
Pojąć musi, szanować, uznać trudy nasze!
A sprawy swojej bronić wszak każdy z was umie?
Głos swój oddaj na tego, który cierpi z tobą,
Bo sprawa tobie bliska, to sprawa i jego!
Sercem sobie zbliżeni, równy dach żałobą,
Potrzebę twoją pojmie i domu swojego.
Pomnij takich Kantaków, Niegolewskich mowy,
Schroedera mądre zdania, Łyskowskich i innych,
Z twego serca wyrwali twoje własne słowa,

W stolicy w świat rzucają — i bronią niewinnych.*)
 Wszystko sobie wywalczyć, wszystko, wszystko
 [trzeba,
 Chybionym twoim głosem nie cofaj tu sprawy,
 Może mało osiągniesz, może zbraknie chleba,
 Nie przebrzmi głos twój echem i pójdzie choć łzawy,
 Pójdzie rosą duchową, pójdzie ludów falą,
 Wydzwoni sprawę wszędzie na morzu i lądzie,
 Może nawet grabarze kości w grób powalą,
 Lecz głos twój wiecznym będzie w narodów tu
 [sądzie! —
 Zatem słuchaj sumienia, słuchaj serca twego,

*) Członkami Izby poselskiej podczas kulturkampfu (walki rządu z Kościołem katolickim po wojnie francuskiej 1871—75) i w r. 1884, gdy chodziło o *banicję*, również w roku 1886, gdy ogłoszono ustawę o *kolonizacji pruskiej* byli niżej podani posłowie polscy. Wybitniejszych naznaczam gwiazdką; Breza Włod. (1873—1876), Brzeski Fr. (1878—1885), Chłapowski Stan.* (baron 1870—1887), Czarliński Emil* (1873—1877), Czarliński Leon* (1876—1903), Czarliński Rom. (1870—1873), Dobrzycki Henryk (1882—1884), Grabski (1882—1899), Dr. Jażdżewski Ludw.* ks. (1873—1903), Kantak Kaźm.* (1862—1886), sławny, dobitny mówca, Koczorowski (1870—1873), Komierowski* (1877—1884), Łyskowski Ignacy* (1866—1887), Magdziński Teofil (1873—1889), Morawski (1870—1873), Moszczeński (1875), Motty Stanisław* (1880—1890), Dr. Mukołowski (1882—1884), Neubauer,* ks. kanonik (1885—1903), Ossowski Władysław (1878), ks. Ostrowicz (1885—1888), Potworowski (1873—1876), Radoński Seweryn (1877—1885), Różański Stanisław (1873—1892), Rezpądek St. (1878—1890), Rutz (1870—1873), Rybiński Leon (1870—1876), Schroeder Fr.* (prof. gimnazjal. i obyw. ziemski 1870—1873 i od 1885—1903 i dalej), Skrzydlewski (1870—1873), Dr. Stablewski Flor.* (obecnie arcybiskup gnieźnieński 1878—1896), Stablewski Stan. (1878), Szczaniecki (1867—1873), Szułdrzyński

A czyny poleć Bogu i ufaj niezmiernie...
Albo sprawę dziecięcia Bóg odtrąci swego?
Miłując wiarę swoją — służymy i wiernie!
Bóg w Swej wielkiej czystości, Bóg nas karać musi,
Z miłości jednak świętej odtrącić nie może!
Trwają chwile pokuty, — przyjdzie brzask, co zdusi,
Rozproszy ciemne noce — i tobie pomoże!« —
Przestał mówić Skaliński, pot mu zwilżył czoło,
Powoli w tłum się wmieszał i długo przesiedział;
Starsi, nawet parobcy, utworzyli koło,
Więc dużo jeszcze braciom w cichości powiedział.
Oni stali wsłuchani, jako w posąg żywy,
Chwytając słowa uchem — i sercem — i duszą.

(1870—73 i 1877—1880), Dr. Szuman Henryk* (1860—1903 i dalej), Świnarski (1877), Thokarski St. (1862—1885), Turno (1882), Wegner (1854—1855 i 1863—1873), Wężyk (1873—1876), Wierzbński Wład.* (1867—1888), Wolszlegier Wład. (1878—1879), Zakrzewski Ign.* (1882—1890), Ziętkiewicz Ludwik, ks. (1883—1885).

Członkami Izby panów w r. 1884—1886 byli następujący polscy posłowie: Brzeski, Kościelski Józef*, hr. Kwilecki Mieczysław*, hr. Mielżyński Józef*, księżę Radziwiłł Ferdynand*, Ślaski Ludwik, Taczanowski Antoni, hr. Żółtowski Marceł, Żychliński.

Wybitnymi członkami frakcyi katolickiej niemieckiej, Centrum zwanej, w r. 1884 i 1886 byli: Dr. Jul. Bachem, dr. bar. Heenemann, bar. Huene, dr. Lieber*, dr. Reichensperger*), Roeren, baron Schorlemer-Alst, Windhorst* (sławny).

Wybitnymi postępowcami byli z r. 1884—1886 następujący posłowie niemieccy: Derichlet, Munckel, Parisius, Richter, Rickert, dr. Virchow.

Ci panowie z frakcyi *centrum* i *postępowców*, chociaż Niemcy, oburzali się w sejmie na prawa wyjątkowe przeciw katolikom i Polakom.

Każdy równo go nazwał: — »Pan, bo pan prawdziwy,
To ojciec swego ludu, więc wielbić go muszą!« —
Uczta była skończona, zajechały bryki:
Skaliński z wnuczką swoją odjeżdżać zamierza,
Nagle Krysiak się wmieszał, słyhać nawet krzyki,
Drużyna bardzo chętna z zamiaru się zwierza.
Silne widać ramiona, starca wzięli w górę,
Z prawdziwą czią synowską do bryki wsadzili;
Znowu rusza gromada, zacną Łucji córę
Na rękach niesie zgodnie, a Tomasz się sili,
Wszystkim szczerze dziękując. Zosia tylko stała
Z podziwu w ziemię wryta, na Hanię spoziera,
Lodkę wzrokiem obrzuca, przygnębiona cała,
Bo Tomasz panie bawił — jej serce zamiera!
Nigdy paniom nie zrówna, zawsze głupią będzie,
Niezręczną nawet bardzo, on kochać nie może!
Franka prawdę głosiła... smutno w sercu... wszędzie...
»O, Jezu Nazareński! o, zlituj się Boże!« —
Państwo wszyscy wracają — może Tomasz przyjdzie,
Pocieszy duszę smutną... ha! trąby już grają!
Matusz teraz już z kuchni pewnie także wyjdzie,
Bo piwo stoi w sieni, szklanice też mają.
Zosia stoi podparta — w mózgu myśli mrowie,
Gdy Tomasz przybiegł w skokach, okręcił nią żywo:
»Czemu, Zosiu, nie słyszę wesołości w słowie?
Od rana jesteś smętna, a patrzysz się krzywo!«
Dalej trąby, oberka! tańczy młoda para!« —
Krzyknąwszy porwał Zosię w szalonym już wirze.
Idą pary za parą, wali cała wiara,
A Zosia zapomina o żalu i kirze.
Tańczą ciągle i ciągle, tchu im w piersiach braknie,
Więc Tomasz nagle stanął i Zosię podnosi,

Jako piórko w powietrzu. Zosia serca łaknie,
Rozchyła uśmiech usta, a Tomasz ją prosi,
Żeby męża pieściła, pieszczot upragniony.
Posadził młodą żonę, przytrzymał jej rękę,
Tysiąc prawi słodyczny, cały rozmarzony,
A Zosia wdzięczna jemu, że skrócił już mękę.
Trąby grały do rana, wreszcie zcichły z brzaskiem,
Do pracy każdy spieszy, choć ciężka i głowa,
Janek, Paweł i Bartek nawet wyszli z wrzaskiem,
Lecz Tomasz ciszę radził, więc wzmogły ich słowa.

Hanię ranek przywitał miłą niespodzianką,
Wiadomość była z Nauheim, rodzice wracają,
Trzeba przyjąć ich godnie, oddać cześć wiązanką
Z goździków woniejącą, wszak tyle ich mają!
Tadzio zrobił transparent, służba bramę stroi,
A Janusz kilka uciech choć małych sposobi.
Czemu dziadek nie wesół? Dziadek czegoś boi,
Pytanie, jakie zdrowie postępy tu robi?
Janusz radzi z Hanusią: — »Ojciec ciągle chory,
A mama umęczona — i jesień nadchodzi,
Zdrowia dużo nadszarpnię! Zawsze chłodne pory
Pogorszą stan pacjenta i słabość się rodzi.
Przytem serca cierpienie bardzo niebezpieczne...«
Po sobie patrzą z smutkiem. — »Czy zdrowszy powróci?«
»Ziemia daje kłopoty — wieczne, Haniu, wieczne!
Lecz przyjazd«, — mówił Janusz — »przeczcucia ukróci.« —
Wieczór nader pogodny ciszę rozpościera
I spokój wlewa w serca — rodziców czekają:
Wreszcie drzwiczki karety Wicek wszerek otwiera,
Rodzice dzieci swoje w ramionach już mają.

Z trwogą Hania spogląda, Janusz patrzy z trwogą:
»O Boże! ojciec blady, postacią się chwieje!
Może zmęczon podróżą, uciążliwą drogą?
O, stan dziś stokroć gorszy, nie dobrze się dzieje!« —
Starzec głową pokiwał, Łucję łączy już dławia,
Rozebrać męża każe i łóżko sposobić.
»Żadne, żadne już wody jego sił nie zbawia!«
Pomyślał ojciec skrycie — »nie gwałtem tu robić!«
Wnuki jednak pocieszał, w końcu rzucił tyle:
»Ha, w ręku Boga życie, — rozkaże — pójdziemy!
Zatem czuwać potrzeba, żeby duch nie w pyle
Tę ziemię rzucić musiał... wiecznością żyjemy!« —
Siły wzmacnił spoczynek, Czesław mówił raźniej
I marzył, żeby Tadzia do szkół już wyprowadzić.
Jędrka z sobą zabierze, będzie w dwóch pokażniej,
Bieliznę uszyć trzeba, ubrania im sprawić.
Odtąd codzien nalegał: — »Jędrak dobra głowa,
Więc kształcić trzeba rozum, niech swoim przyświeca,
Będzie kiedyś pochodnią! Mądre głosi słowa,
Ochota z oczu patrzy i chłopca poleca.« —
Wanda słysząc projekty przysposabia brata,
By razem w trójkę poszli, bo chłopcy się lubią.
Taka trójka, choć młoda, przepchnie biedę świata,
Obronią nieraz siebie, — a innych poczubią.
Jędrak nocy nie dospał, zabrał książki z świtem,
Na progu chaty siadał i uczył i czytał,
Wola była kamienna, woli moc — granitem!
Naukę tylko widział, o chleb się nie pytał.
Matuś gwałtem wołali, żeby zabrał strawę, —
Od czasu kiedy Werner pouczał chłopczykę,
Żeby w szkołach wydołał, rzucił świat — zabawę.
Małego filozofa też miewał czuprynę! —

Wreszcie skoro już jesień barwi młode śliwy,
Skaliński chłopców bierze, zawozi do szkoły,
Wszystkich razem umieścił. Jędrus pan! szczęśliwy!
Bo mieszka z paniczami i dzieli mozoły.
Dzieli także swobodę, nieraz błogie chwile,
A wielką wdzięczność poczuł do swego panicza,
Gotów zgiąć za niego, bronić w całej sile,
Do drogich sercu swemu i Kazia zalicza.
Razem rośli jak dąbki, razem kształcą siebie,
Najstarszy jednak Kazio najwięcej panował,
Umiał zawsze przewalczyć każdy trud w potrzebie,
Bo w domu dużo przeszedł, w kłopotcie się chował. —
Smutno było Skalińskim, Tadzio wszystkich bawi,
A teraz cisza w dworze, a ojciec tak chory!
Troska wielka przygnębia... klęska życie strawi...
Wszak plewy młóć — plewy — do samej tej pory.
Ani tuczyć opasów, ziarno bowiem drogie,
Ni długo pędzić fabryk, ziemniaków jest mało,
Słowem idzie nieszczęście, wielkie — straszne — srogiel
Przerzedzi zastęp ziemian — nie ujdą już cało!

Pieśń IX.

Bratnia pomoc.

Zmrok już padał na ziemię, wiatr ucinał mroźny,
Gdy Wicek przywiódł chłopów i wpuścił do dwora, —
Pragną mówić z Skalińskim. Pies zawarczał groźny,
Najeżył grzbiet i czekał, — czy chwycić tu pora?
Wicek z góry ofuknął, Medor w kąć powraca,
Ślipiami tylko zerka, przybyszom nie wierzy.
Wicek dalej prowadzi, drogę sobie skraca,
Bo pan ich starszy przyjmie, to chłopci z Halerzy.
Znany wszystkim wypadek, dali swemu głosy,
Skaliński patrząc mile, posłuchał ich skargi.
Rodzik wszystko tłumaczył: — »Zbieraliśmy kłosa,
Gdy dziedzic przyszedł zbliska, rozchylił i wargi.
Trochę z ludźmi żartował, zawsze bywał srogie,
A w końcu ostro rzucił: — »No chłopci, wybory!
»Tylko niemiec zwycięży! pilnuj dobrej drogi,
Bo miejsce pewne stracisz — i pójdiesz z obory!« —
Szemrze zcicha gromada: — »Niby było ludzie!
Od czego chłopski rozum? od czego myślenie?

Przyszły wreszcie wybory, każdy ruszył w trudzie,
Lecz spełnił wolę Bożą, co każe sumienie.
Dziedzic milczał z początku, ale chodził, pytał,
Jak jeź się nieraz skreślił, by kolcy nadstawić...
Nasi przeszli z większością — nagle w pismach czytał,
Jak piorun buchnął zaraz, by karać i zdławić.
Karty*) w twarze nam rzuca: — »Idźcie w świat,
[gałgany!

Zabierzcie żony, dzieci, — ja żywić nie będę!
Niechaj żywią was swoi, chleb niech dadzą pany,
Ja z gronem moich wiernych w Halerzu osiedę». —
»Wtedy rzeknę zgorszony: Albo lud niewierny?
Czy panu szkodę robi, że pot swój przelewa?
Rano, w wieczór, w południe, chociaż grosz i mierny,
Na rozkaz idzie pański, a wygod nie miewał« —
»Inna sprawa robota, inna głosowanie!«
Zakrzyknął przeraźliwie — **»Ja żądam tu duszy!«** —
»Wówczas buchnę w żłości: — **Bóg nad nami, panie,**
Oddamy duszę Jemu! niech On nas pokruszy!
Bóg nas tutaj osadził, Bóg nas żywić będzie,
Użyjni glebę naszą, bo gleba jest Jego!
Znajdzie strzechę rodzina, znajdzie chleb i wszędzie...
Wychodzę panu z drogi — bez gniewu srogięgo!
Dziedzic wypchnął nas w złości, przeklął ród nasz cały...
Poszliśmy szukać służby, lecz znaleźć jej trudno,
Wiosek naszych niewiele, chociaż chleb by dały,
A szukać w świecie miejsca i drogo i zmućno«.
»Bądźcie tylko cierpliwi«, — rzecze starzec mile, —
»Znajdziecie chleb i strzechę, bo zaraz zaradzę.
»Wicek!« — woła Skaliński — »poproś pań na chwilę,

*) Karty zwalnające od służby.

Przybyszów posil w kuchni; panicza sprowadzę». —
Wyszli chłopci z otuchą, idą Janusz, panie,
Narada była krótką, — już pióra skrzypiały,
Kilka listów wysłano. — »Szykuj konia, Janie,
A wracaj bardzo szybko!« — rozkazy zabrzmiały.
»Nocuj w Górze, lub w Brodach, jutro weźmiesz Pryszów,
W południe wrócić musisz, bo chłopci czekają«. —
Stangret skłonił się nisko, idąc w ślad przybyszów,
Pokazał pakę listów: — »O miejsca pytają!
Jeśli pan nasz się weźmie,« — dodał w szczerej wierze,
»To nawet mury prysną! ufają mu ludzie!« —
Rażno skoczył na konia, cugle w ręce bierze
I pędzi jako wicher, nie szczędząc się w trudzie.
Chłopci poszli do stajni, nocleg robią sobie,
A godzin prawie kilka spędzili w gawędzie.
Ródzik mówił gromadzie: — »Radzę szczerze tobie,
Byś swemu służywała, a lepiej ci będzie.
Słuchaj Wawrzyn i Maciej, także Bartek młody,
Ta krew to zawsze ciągnie do swego — do swego —
Więcej znajdziesz litości, więcej czci, osłody,
Bo wszyscy z pnia idziemy jednego — jednego!
Jako dzieci się tulmy, dzieci biednej matki
Pod swoją drogą strzechę... niech będzie uboga...
Ale ciepłem przygarnie rozproszone dziatki,
A duszę wielce skrzepi, że trafi do Boga!
Nieraz kościół zawadza, nieraz spowiedź święta,
Modlitwy, posty nawet, procesja w niedzielę!
W ludziach gniew jest piekielny, zawiść niepojęta,
Więc nawet wszystkim cnoty, świętości za wiele!« —
Słuchał Maciej z uwagą, słuchał chwilę długą,
Aż wreszcie wrzasnął głośno: — »Hej! tutaj zostanę!
Razem rosłem z paniczem, będę jego sługą

I sercem, duszą całą do państwa przystanę!« —
»Mądryś, chłopie, choć młody! Kuszą nieraz ludzie
I złoto pokazują, — nie ufaj! — to zdradne!
Wszystko, wszystko przeżyłem nieraz w biedzie,
[w trudzie;
Wybieraj... szukaj dobrze... nie szczęście to żadne!« —
Długo stali parobcy, wreszcie poszli zcicha,
Bo wieś już snem ujęta i ciemno we dworze,
Ciemno w całym podwórzu, może błądzą licha...
A stróż też sygnał dawał, bo krążył w oborze.
Ranek minął w czekaniu, wreszcie Jan powraca,
Skaliński chłopów wzywa: — »Za mało was ludzi!
Miejsć tu wolnych aż dziewięć, sześciu dołę skraca,
Ufajcie odtąd szczerze, niech złoto nie łudzi.
Pryszów żąda jednego, Rodzik tutaj będzie,
I pani z Topolina przytuli rodzinę,
W Górze, w Brodach też miejsca głosi lud, orędzie;
Z wesołem wróćcie sercem, podnieście czuprynę«. —
Chłopi nogi obejmą: — »Niechaj Bóg zapłaci,
Bo chmura była sroga, a słońko zabłysło!« —
»Zawsze chętnie czyniłem wszystko młodszej braci,
O, żeby z pracy mojej tu szczęście wytrysło!« —
Chłopi poszli radośni, usiadł pan w spokoju,
Bo spełnił obowiązek dziedzica i brata,
Zawsze plony tu zbierał z swego trudu, znoju,
Bo trafne mierzył okiem wsze czyny wśród świata.

Zima szerzy swe rządy, śniegu sypie pióra,
Gdy pani Topolińska Oporów odwiedza.
Spieszą witać ją panie, biegnie Janusz z biura,
Lecz z góry oświadczyła, że troska ją zbiedza.

Dzisiaj rady już pragnię, idzie czas wypłaty,
 A gumna prawie puste, bo zboże, to plewa!
 Trochę ziemniak wydzwignął, ale przyjdą raty,
 Bankowi spłacić trzeba, — wezwania już miewa.
 Chmurę miała na czole, oczy zaszły łzami,
 Zaledwie trochę tknęła podanej herbaty,
 Głos jej duszę też zdradzał kłótą w głąb bólami,
 Więc prosił wcześniej dziadek do swojej komnaty.
 Ledwie drzwi się zamknęły, buchło z piersi łkanie:
 »Z torbami pójdą dzieci... i ziemia przepadnie!
 Zaradź, dobry sąsiadzie, w tobie ufność, panie!
 Zbyt szczerą pewnie jestem, to może nieładnie,
 Ale wiara ma silną w twoje zacne chęci,
 Że one same zawsze już duszę pocieszą;
 Twoja wielka życzliwość serca nasze nęci —
 Niech śmiałość moją bliscy — niech wdowę rozgrzeszą«. —
 Podał fotel Skaliński: »Spokój, spokój, pani,
 Warunki nieraz gorsze przewalczyć nam trzeba.
 Proszę, — tylko otwartość! Panią może rani,
 Konieczna jednak w radzie! — **Ta droga nam gleba
 Dużo sprawia cierpienia, nocy niedospanych...
 Serdeczne bóle rodzą te ciernie na łanie,
 Ale ziemię tę orał dziadów pług — kochanych...
 Więc z dołą naszą idzie i miłość i łkanie!**« —
 »Dobrze wszystko rozumiem«, — powie cicho wdowa, —
 »Onegdaj kupca miałam, — nie swego — nie swego,
 Miłość dawnych tradycji — ona skarb zachowa,
 Od pokus będzie strzegła i ducha mojego.
 Jeśli ziemię zaprzędam, lud ucierpi wiele,
 Obczyzna wyprze język, odmieni zwyczaje,
 W szkole ślady wyryje, zmniejszy wpływ w kościele...
 O, sprzedaż taka hańbi, — a ulgi nie daje!

Zatem rady tu szukam«. — Paczkę listów bierze,
Przedkłada Skalińskiemu, tłumaczy — on czyta,
Wreszcie chwycił ołówek, liczy w szerszej mierze,
Uwagi swoje kreśli i znowu się pyta.
Równa dochód z rozchodem, kręci trochę głową,
Bo klęska była duża, wszak puste stodoły?!
Przytem spłaty, te spłaty! jednak rzeczą nową
Nikomu takie spłaty! — »Tu wielkie mozoły«, —
Głośno powie Skaliński — »trudno będzie, pani,
Lecz miejmy ufność w Bogu i w pracę uczciwą!
Fundusz spory potrzebny! — Może pani zgani,
Lecz Roman rękę poda, bo duszę ma tkliwą.
Razem łatwiej zaradzić, — pieniądz chętnie złożę,
Lecz mając klęskę w myśli, ja muszę pocieszyć,
Muszę dźwignąć Oporów! Rok ten kłopot wzmoże,
Pomocy trzeba szczerzej i trzeba się spieszyć,
Żeby długi nie rosły w olbrzymiego smoka,
Co ogień ziejąc wkoło, pochłonie nas całych!
Czuwać trzeba koniecznie, miewać wzrok proroka,
Upadek nieraz idzie z przekroczeń już małych.
Mówiąc bardzo otwarcie, klęska wszystkich wzięła
I bardzo niebezpiecznie rozszerza swe szpony!
Ona nawet zamożnym chmurę trosk rozdeła,
Że mądry z trwogą woła: — »Widnokrąg zamglony!
Czuwać trzeba nam, bracia, stracić można mienie,
A z mieniem skarby zginą, te skarby narodu!
Klęska ducha pognębi, zrodzi krzyż — cierpienie...
Że nawet chęć się straci do swego zawodu.
Czasy idą krytyczne, pisma wspominają
Projekta nowe w sejmie, — ta przyszłość — to zdradna,
Zrodzi może truciznę, którą w złocie dają!
Nie zawsze rada innych i zdrowa i ładna.

Ale, żeby nie nudzić, powiem krótko pani,
Że sprawę załatwimy. Romana odwiedzę,
Jutro będę też w banku, ucisk Tomasz zgani,
Bankowi służy radą, — ja sprawę odsiedzę!
Banki nasze wydzwignąć mają ziomków z biedy,
Nie cisnąć swoim karbem, nie gnębić swem prawem,
Instytucje, co spędzą właściciela z schedy,
Pod pręgierz pójdą ludu, co okiem już łzawem
Patrzy w przyszłość poważnie. — Mówię pani wiele,
Bo gorycz płynie z serca... nie wszystko dojrzałe
W społeczeństwie tu naszym, — idą nieraz śmieje
Bez zasad głębszych, podstaw, — owoce stąd małe.
Ale jeszcze i sprawa: Otóż Roman szczerze
O córce pani myśli, — to człowiek szlachetny;
Będzie filar rzetelny, w dużej, w dużej mierze,
Zamożny, dobry człowiek, bynajmniej nie szpetny.
Trochę wiekiem poważny, — jednak rozum córki
Rękojmię szczęścia daje, nie trzeba ofiary,
Ale zbadać przychylność. Mamy w życiu górki,
Co rozum znosi łatwo — przemienia zamiary«. —
»Dzięki, zacny sąsiadzie«, — powie wdowa zcicha, —
»Twa pomoc zawsze szczerą, a rada roztropną,
Wanda chociaż żartuje, ale często wzdycha,
Przewagę rozum bierze, do ofiar pochopna.
Niechaj bada swą duszę, niechaj skłonność bada,
Na szali cnotę kładzie, zalety Romana.
Jako matka z wyboru będę nawet rada,
Opieka spłynie młodszemu, — w tem ręka tu Pana!« —
Długo jeszcze bawiła pani z Topolina,
A Lucja szczerem sercem dodaje jej ducha,
Janusz, Hania cieszyli, Czesław podał winą,
By raźniej było wszystkim — i grzała otucha;

Później wdowę żegnając, rzucił ważne słowa:
»Wytrwałość zbawić może, gdy Niebo pozwoli!
Wszystkim klęska dolega, pęka z troski głowa,
A w sercu ciężko szlocha, dotkliwie coś boli!« —
Wdowy kłopot Skalińskich wzruszył w Oporowie,
A Janusz silnie błagał, by zająć się sprawą,
Żeby z gruntu podźwignąć. Dziadek krótko powie:
»Wysiłek zrobię wszelki, rodzina jest prawą«. —
Janusz przypadł do ręki, ucałował szczerze,
Skaliński spojrział w oczy: — »Rozumiem twe chęci,
Ale ojciec się waha, ojciec żyje w wierze,
Że posag wniesie panna, ubóstwo nie nęci!« —
Czesław rzucił surowo: — »Jakaś tajemnica!« —
A Hania wystraszona kolorów dostaje,
Łucja patrzy rozumnie, zbladły jednak lica,
Lecz Janusz chwycił watek i z miejsca już wstaje:
»Ojcie, syn twój pobłdził, los nie ustalony,
A serce rozognione, do śmierci zajęte!
Daruj, winą młodości! Jesteś rozżalony...
Uboga wprawdzie panna, lecz cnoty jej święte!
Kocham szczerze Felicję, raczcie błogosławić...«
Tu objął nogi ojca i matki kolana:
»Wolę z skrucłą się przyznać, radość pragnę sprawić,
Przez ojca, matkę — droga niech będzie wybrana!« —
Czesław miękki z natury milczał uporczywie,
A łzy mu błysły w oczach... lecz wreszcie odpowie:
»Twoja szczerść szlachetna! — Prosisz natarczywie,
Niepomny wcale, wcale, że klęska nam w głowie!
Muszę gwałtem się czepić bardzo mądrych środków...
Majątku byt ustalić, to kwestja drażliwa;
Ciągłe głębiej toniemy, coraz więcej schodków,
Co w przepaść czarną wiodą... A Hania, szczęśliwa?

Gdybym sypanął tysiące, August nagnie chęci...
Nie zmuszam serca wasze, poświęceń nie żądam!
Jednak wstrzymać się trzeba, szczęście wprowadzie nęci...
Rozważam zimniej, dzieci, bo głębiej spoglądam«. —
Łucja spojrzy na syna: — »Praca przyszłość zrodzi,
Im więcej wyda plonu, tem bliższe tu szczęście.
Serce twoje rozsądek niechaj trochę chłodzi,
Nie kwiatem także pannie i rychłe zameżcie«. —
»Panna godna pochwały, ród i rozum znaczny,
A dzieci w szczęściu widzieć — pragnienie rodzica«. —
Dodał starszy Skaliński: — »Krok twój będzie baczny,
Lecz w zimny rozum przybierz roztropne twe lica,
Zbuduj chęcią twą własną gniazdo chociaż skromne,
Posady szukaj sobie, a może dzierżawy;
Wtedy widząc twój przemyśl, — twoją pracę — wspomnę
I znajdę pomoc, znajdę, — bo wnuk ty mój prawyl« —
Starzec objął Janusza, życząc dobrej nocy,
Pokrępić snem się radził, bo północ wybiła.
Poszli wszyscy w milczeniu, troska wielkiej mocy
Rodzinę przygniatała, co spokój cenila.

Janusz rychło się zerwał, dziadka sięgnął rady,
Rozmawiał długo, szczerze; dostrzegłszy kłopoty,
Z wielkim pisał pośpiechem, żądny prac, posady,
By pomódz wcześniej drogim nabierał ochoty.
Pragnął grosza przysporzyć, nigdy ująć innym,
Osobą swoją ciężyc nie myślał rodzinie.
Sumy chłonie nauka, wiedział, ile winnym
I jakie sprawiał troski, — z rozsądku wszak słynie? —
Listy były gotowe, — bryka zajechała, —
Janusza, Hanię, zabrał Skaliński do miasta.

W drodze zrobił uwagę, poruszyła cała:
»Ochroniać ojca trzeba, wrażliwość znów wzrasta«. —
Potem umilkł już starzec, ugrzązł w myśli głębiach,
A wnuki wkrótce cichą powiodły rozmowę
Żywo sobie gruchając, miały wzór w gołębiach,
Zbliżywszy swoją postać, schyliwszy i głowę.
Dzisiaj muszą wizytę złożyć Tomaszowi,
Więc Janusz szeptał Hani słyszane nowiny:
»Kiedyś przyszli tam goście, jacyś obcy, nowi,
Piekielna była scena z Tomasza li winy!
Prostą wybrał dziewczynę, trudno żądać wiele —
Nauki, wychowania nie miała już z domu.
Zosię boleść przygniata, widać kir się ściele,
O, żeby tylko z szczęścia nie było tu sromu!« —
Bryka właśnie stanęła, wybiegł Tomasz spiesźnie,
Wysadził z honorami Hanusię i dziadka,
Potem nagle się zmieszał, biegał, krzyczał śmiesznie,
Aż wreszcie wyszła Zosia — i obok sąsiadka,
Młoda pani majstrowa, w czepiec strojna głowa
I fartuch wkoło bioder; — a Zosia jak wryta,
Stoi — patrzy — nie widzi. — Hania rzuca słowa,
Skaliński w duszy Zosi, jak w księdze już czyta.
»Proszę bliżej, co słysząc?« — mówi tkliwie Hania,
Wyciąga rękę mile, lecz Zosia się chwieje.
Tomasz krzyknął surowo: — Zosia idzie — kłania,
Zabłyśły łzami oczy — o, boleść z nich wieje!
Wreszcie usty całuje starca chudą rękę
I dziwne jakieś łkanie wybiega jej z duszy...
Widząc rozstrój w jej sercu, straszną nawet mękę,
Skaliński w ramię bierze — i boleść tem głuszy.
Wreszcie chwalić zaczyna gospodarstwo Zosi,
W kąci cicho wgląda, a widząc staranie,

Zwolna karci Tomasza, Zosi chęć podnosi;
Lecz Tomasz ostro powie: — »To dziczka jest, panie!
Dziczką zawsze zostanie, nic z niej, nic wykrzesać!
Pojęcia lepsze wszczepić nie zdołam już pewnie;
Ani domem zarządzić, ani siebie czesać,
Od rana obrażona i szłocha już rzewnie«. —
Zmierzył wzrokiem Skaliński: — »Uraziłeś biedną,
I ona godność czuje w swej skromnej istocie!
Nieraz chwilą cierpkości, nawet tylko jedną,
Swe szczęście wzburzyć można, choć płonie i w złocie!
Zosia ciebie kochała, prosta, ale dumna,
Zniszczyłeś sny jej słodkie, bo poisz goryczą...
Dusza kuta z marmuru, — jako śnieg kolumna —
Na której zacność wyryć — ty miałeś słodyczą!
Mistrzu, marmur jest cenny, napraw dzieło twoje,
Bo wielką robisz szkodę, kolumna się kruszy!
Ręka twoja zbyt ciężka, rylec robi znoje...
Zręcznością twojej sztuki, niech świat się poruszy!« —
Urwał nagle Skaliński, Zosia znowu wchodzi,
Lękliwie stawia ciasta, herbatę podaje.
Tomasz wzrokiem ją mierzy, starzec męża chłodzi,
Lecz doktor skoczył z krzesła, już syczy i łaje:
»Krzywo stawiasz talerze, ciasta jakieś stare,
Serwety wygniecione i mętna herbata,
Cukierniczka też brudna, cukru bryłek parę!
Kolumnę ciosać będę nie kwartał, lecz lata!« —
Janusz zerwał się z miejsca, służyć idzie Zosi,
Roznosi filiżanki i mile rozmawia;
Zosia łzami się dławi, ale grzecznie prosi,
Uśmiechem, nawet słowem już gości zabawia.
»Trzeba trochę rozrywki«, — rzucił starzec zlekka, —
»Doktorze, przywieź żonę, będziemy się bawić,

Łucja bardzo gościnna!« — »Niechaj pan nie zwleka«, —
Dodała Hania mile — »musimy przetrwać!«
Doktor węża pokręcił, objął Hanię wzrokiem,
A w oczach ognie błysły: — »Powierzę ją pani,
Zechciej wpłynąć cokolwiek twoich cnót urokiem, —
Przy takiej szlachetności w niej wszystko się gani!« —
Hanię oblał rumieniec, Zosię zazdrość chwyta,
Spojrzała ostro, z gniewem, zmarszczyła i czoło;
Dziadek ślepca udaje, Zosię samą pyta,
Czy przybyć kiedy zechce? — a mówił wesoło.
»Jeśli Tomasz pozwoli«, — powie bardzo zcicha. —
»Pozwolę«, — rzecze doktor — »ja zawsze szczęśliwy,
Skoro widzę Oporów...!« — Zosia znowu wzdycha...
»Doktorze«, — woła Janusz — »czy jesteś myśliwy?« —
»Bardzo chętnie poluję«. — »Zatem będę służył,
Zwierzyny sporo mamy, lecz głównie szaraki.
Temat jednak rozmowy panie będzie nużył,
Przejdziemy trochę miasto, zobaczą baraki,
Które wojsku stawiają«. — »Idę także z wami«, —
Skaliński wstając powie — »o bank tam zahaczę.
Sprawę poprzesz, doktorze, mówiąc między nami,
Topolin dźwignąć trzeba«. — »Przeliczę, zobaczę« —
Wtrącił Tomasz spokojnie. — »Radą jesteś w banku,
Więc pomóż biednej wdowie, nie wydrzyj jej chleba!« —
Mówił znowu Skaliński — »Miód jej zanieś w dzbanku,
Rodzina liczna, zacna, niech karmi ich gleba!« —
»Dodam wszelkich już starań, ale różne głosy
Tym bankiem naszym rządzą, i zdrowe i skrajne:
Jedne gromem hukają, chwieją rodzin losy,
A tony mają mętne, a drogi ich tajne;
Inne dźwięczą łagodnie, radzą czekać, czekać,
Odsetek zniżyć stopę, nie naglić z wypłatą.

Sprawę każdą bez końca może bank przewlekać,
By tylko chociaż jedną wypłacić się ratą«. —
»Takie głosy najwięcej wielbicieli mają!« —
Skaliński dodał spiesźnie — »cierpliwość jest złotem!
Dobre, zacne warunki pomoc prawą dają,
A ostre tylko długu bryzgają nas błotem.
Nieraz kilka miesięcy dużą zrodzi zmianę,
Bo chociaż glebę stracą, wspomogą ich dzieci:
Kończy kursa najstarszy, radość goi ranę,
Zameźcie młodszej córki już życie ukwieci«. —
Idąc ciągle gwarzyli, przeszli ulic kilka,
Do banku starzec zmierza, a doktor z młodzieńcem
Tadzia spieszą odwiedzić, niby napaść wilka,
Przy psocie jakiej schwycić i oblać rumieńcem.
Wchodzą lekko na palcach, wzrok rzucają chciwie
I długo przysłuchują z drugiego pokoju.
Jakiś uczeń na łóżku leżał wznak, leniwie,
To gwizdał, albo śpiewał, nie trując się w znoju.
Ale Tadzio i Jędrus, Kazio Topoliński,
W gromadce siedzą sobie i głośno czytają,
Tadzio pierwszy zaczyna: — »Wielki mąż, Karliński,
Nie szczędził nawet syna, gdy klęski padają.
Jedno widzi on tylko: wróg dokucza srogi,
Ojczyznę, Matkę rani... i błędnie już sława!
Los jej zawsze przeważa, los jej dzieciom drogi,
Nie skąpią żadnych ofiar! najpierwsza jej sprawa!
Jeśli człeka ożywi taki obowiązek,
Odrzuci w lot prywatę, zapomni o sobie,
Tylko jeden mu miły, jeden tylko związek —
Ta miłość z ziemią drogą — ta łączy choć w grobie!« —
Tadzio urwał tu nagle: — »Powtórz, Jędreku, słowa,
W pamięci utkwic mają! O, Kazio je umie!

Będę z tobą się uczył, ciasna moja głowa,
Tem mocniej wbijać trzeba!« — »Już Jędrak rozumie!« —
Bronił Kazio kolegę — »czyta, słucha wiele,
Przed świtem z książką siedzi, ciekawie się pyta«. —
Jędrak siebie nie broni, tylko myśl się ściele
Na czole dużą chmurą... w tem Janusz się wita,
Chłopców mile uściskał, potem rzucił składnie:
»Robicie zaszczyt matkom, pochwalić was muszę!
Wiedzy chciwi jesteście, z wiedzą światło spadnie,
Rozgrzeje serce, rozum, przeniknie i duszę!
Wiedza świat wam otworzy, inny, nowy, cudny,
Roztoczy duże koło dla oka bystrego,
Zerwie ciemną przepaskę, z którą blask ułudny
Zabłąka nieraz człeka do lochu ciemnego«. —
Chłopcy patrzą w Janusza, jako w obraz święty,
On zawsze wzorem bywał, rodzinie jest miły;
Jedna myśl go ożywia, cały czynem wzięty,
By tylko zacnym sprawom poświęcić swe siły.
Tomasz żywo przypominał, aby Hanię witać,
Zaprasza Tadzia, Kazia i Jędrka nie mija.
Poszli całą już piątką, w twarzach można czytać,
Że sercem sobie bliscy, a humor im sprzyja. —

W chwili właśnie tej samej, Hania z Zosią siedzi,
Rozmawia długo, mile, lecz Zosia się miesza,
Jakaś w sercu zacięta... Hania biedną śledzi
I ufność budzi w duszy — i szczerze pociesza.
Zosia trochę już mięknie, nawet Hanię prosi,
By kąty zwiedzić chciała i zaraz ją wiedzie,
Pokój męża otwiera, drżącym słowem głosi:
Że wszystkie tajemnice początkiem w jej biedzie.

Hania słucha strwożona, Zosia bierze kwiatki
Z szuflady małej biurka, zaschnięte i blade:
»One« — szepce — »mu drogie — białe były bratki.
Pamiętkę taką zniszczyć me serce by rade...!« —
Hania spojrzy uważnie, w myśli przypomina,
Że dawno doktorowi uwiła bukietek,
Jako zasług nagrodę, kiedy wsi dziecina
Od cierpień była wolna; — ha, nawet bilecik
Wówczas pewnie pisała z polecenia matki; —
Więc wzrokiem wkoło toczy, — spostrzega na stole
Kartkę swoją nieszczęsną! — »Owa kartka... kwiatki...«
Rzuciła smutnie Zosia: »tak w serce mię kole!...
Ciągłe trzyma ją w dłoni, jeśli tutaj siedzi —
I czyta jakby w księdze... godziny... godziny...
Potem łaje z goryczą, wzrokiem dzikim śledzi,
Pogardę rzuca żonie... o, widzę to z miny!« —
»Moja Zosiu, pomyłka«, — mówi Hania mile,
Ta kartka z Oporowa i kwiaty zapewne,
Tobie w głowie tu mącą, ufaj uczuć sile,
A życie słodkiem będzie, nie smutne, nie rzewne«. —
Zosia wzrok swój utkwiała w Hani piękną postać,
A usta urywane szeptały wyrazy:
»Tomasz... panią... ukochał... jakże pani sprostać!?
Wybaczaj moją szczerłość bez wszelkiej urazy...« —
Padła Hani do kolan z wielkim bólem w duszy,
Więc Hania przełęczniona pobladła z wzruszenia,
Siłą woli obrazę w sercu jednak kruszy
I gorycz dumy hardej w słodczy zamienia.
»Słuchaj«, — mówi do Zosi — »Tomasz ciebie kocha,
Lecz wychowanie moje za wzór ci podaje!
Widzę dawno, jak w duszy straszna zazdrość szlocha
I mąci zdrowe zmysły — i pycha powstaje!

Pragnę ciębie wyleczyć, pragnę uczyć ciębie,
Ogładzić w ruchach, w słowie, lecz żądam szczerości,
Wielkiej, wielkiej, zupełnej, — oddaj całą siebie,
Nie słuchaj szeptów ludzkich, — nie płyną z miłości«. —
Hania bierze karteczkę, zwiedłe kwiatki małe,
Rozdziera, kruszy w rękę, do Zosi się zwraca:
»Powiesz, sama zniszczyłam, widząc zwiedłe całe.
Czy ulga teraz tobie — i zazdrość się skraca?« —
Zosia rękę jej bierze, pocałunek składa
I jakby pokrzepiona już z kolan powstaje;
Hania w czoło całuje — z chęci swoich rada,
Jak czuła, dobra siostra pociechę rozdaje.
Szybko nawet uchodzi z biura pana domu,
Ostrożną teraz będzie, odżyje powagą,
Zosi bólu nie przyda, ani trochę sromu,
Lecz prawdę wiedzieć musi, choć przykrą i nagą. —
Wkrótce błysła pogoda, pierzchły z domu chmury,
Bo chłopcy wpadli z śmiechem i z szczerą swobodą,
Wszyscy cieszą się Jędrkiem, stąpa lekko, z góry,
I jakby uzacnioną jaśniej urodą.
Oczy świecą, jak gwiazdy z ciemnic ocalone,
Chwytają słowa uszy i szczepią je w sercu,
Zmysłów reszta też działa, z nocy obudzone,
A chęć do piękna zdoła — jak kwiaty w kobiercu.
Ukłon wcale już inny, gładsze słowa, ruchy,
Krawatka zawiązana bez wszelkiej nagany, —
Słowem dobra to szkoła, — Kazio, Tadzio, zuchy,
Jak osy burczą ciągle, — tak Jędrak chowany.
Wrócił także Skaliński, poparł sprawę w banku,
Zrobiono obietnicę, że ulżą już wdowie,
Jedzie biedną pocieszyć, skoro brzask, z poranku,
Romana weźmie z sobą, o pomoc mu powie.

Z brzaskiem rychłym, a mroźnym, Wicek ogień zniecał,
Z komina złote światło oblało wnet łożę,
Ziejąc ciepło wokoło. — Starzec słudze zlecał,
By stangret wypchnął sanki: — »Niech foryś pomoże,
Śniegu dużo przypadło, droga uciążliwa«. —
Za Wickiem rzucał jeszcze, gdy chłopiec odchodził,
Potem szeptem już mówił: — »Wdowa nieszczęśliwa,
Dla wdowy pomoc pierwsza! O, gdyby ogroził
Roman swoją opieką! — Rozgrzać serca trzeba,
W ambicję wbijać Wandę, to rada rzetelna,
Przytem grosza dorzucić, — — resztę zrobią Nieba,
Bo ręka ludzka chwiejna i zawsze śmiertelna«. —
Wicek wnosi śniadanie, krótka mija chwila,
Skaliński futrem kryty na sankach już siedzi.
Pryszów dosyć odległy, ciężkiej drogi miła,
Topolin także dzisiaj Skaliński odwiedzi.
W drodze liczył już ciągle, ile łożyć może, —
I Czesław kwoty żąda nie małej już pewnie!
Słaby, bardzo znów słaby, — Janusz młody — »Boże!
O, użycz trochę życia...« — zamyślił się rzewnie.
Wspomniał także o Hani, — targał wąsem siwym,
W pamięci Henryk staje i Troka hrabiego...
Ziemia wszystka przepadnie w czasie klęsk burzliwym,
Połowę każdy straci dobytku wszelkiego! —
Ciężką troską schylony, ujrzał wreszcie Pryszów:
Brylantem błyszczą śniegi, bo słońce już wstało,
Dwór rozległy, stylowy, ciągnął wzrok przybyszów,
Zamożność bije w oczy, budynków niemało!
W sieni widnej, obszernej, zdobią ściany rogi,
Tu jeleni, daniel, kozioł, zostawił pamiątki,
Orły sztucznie wypchane proszą gości w progi,
A dzika łeb wyszczerza swych zębów już szczątki.

Dużo pięknych tu komnat, ale pusto, nudno,
Samotny dziedzic żyje, — nie czuje się ciepła
Ręki tkliwej kobiety. — Albo żyć z nim trudno?
Przeciwnie, dusza jego z miłości — zakrzepła!
Wandę kochał prawdziwie, ale widząc śmiechy
I wzgardy lekkie cienie, — wycofał się zwolna,
Długo w ciszy przesiedział, jakby liczył grzechy,
Aż wreszcie przebudziła tu praca go polna.
Sławny, pilny gospodarz, przytem strzelec tęgi,
Prawdziwie pług ukochał i zagon swój czarny;
Biła z oczu energia, rządy ujął w cęgi,
Korzyści rosły ciągle, a czas szedł nie marny! —
Roman wielce ucieszon, każe wszystko znosić,
Co lepsze z piwnic, z kuchni — i sercem przyjmuje.
Lokaj stawia śniadanie, idzie wreszcie prosić,
Postaci pięknej starca się w duszy dziwuje;
Dużo ludzie szeptają, chwając jego czyny,
A zwłaszcza siłę woli, jak z kruszca wykutą:
»Pan ten ciągle tu działa, maże innych winy,
Do pracy nawołuje i leczy pokutą«.
Przyjazd idzie z przyczyną, — sługa pilnie słucha,
Lecz Roman zabrał gościa i poszli do biura;
Ogień kazał rozniecić, ciepłem wkoło bucha,
A z światłem z czoła starca pierzchnęła i chmura.
Szczерze mówił z Romanem, wiedział, człek to prawy,
Choć nieraz szorstkim bywał, lecz w głębi szlachetny;
Prędzej pójdzie do czynu, niżli w tan zabawy,
Pomysłem swoim w radzie głęboki i świetny.
»Chętnie służę funduszem, byle ulżyć wdowie«, —
Odpowie Skalińskiemu — »wymyślić potrzeba
Pomoc jednak gruntowną, — może pan mi powie,
A gdyby parcelować jedynie dla chleba?

Chłopom naszym połowę sprzedać lepszej gleby
I zyskiem długi pokryć, — Topolin utrwalić,
Dając pewność istnienia, — licząc brak, potrzeby...« —
»Ha, plan ten, panie drogi, to tylko pochwalić!« —
Mówił znowu Skaliński — »ale fundusz wielki
Na razie wydać trzeba, a banki są trudne,
Zysku tylko szukają! — Zysk więc zginie wszelki,
A przytem sprawy takie rozwlekłe i zmućne.
Pomoc szybka potrzebna, później można zbadać,
Czy wieś do parcel zdalna, czy kupcy przybędą;
Czynem dzisiaj nam pomódz, niczem słowy biadać,
Nie traćmy dłużej czasu tą miłą gawędą.
Jedźmy razem do wdowy, łzy niech krócej płyną,
Przejrzymy interesa i bank się ubije!
Daruj, panie Romanie, może moją winą,
Że ciebie wplączę trochę, lecz serce odżyje...
Serce trochę zastygłe... ale zresztą tkliwe...« —
Tu Roman spojrzał bystro: — »Nie wszystko rozumiem...
Gwiazdki takie są w życiu bardzo błyskotliwe...«
»Przeżyłem dużo w świecie — i swatać już umiem«. —
Roman chwilę sposepniał, coś go w duszy boli,
Lecz widząc gościa chęci, uśmiecha się zwolna:
»Jestem nieraz już śmieszny« — dodał — »w mojej roli,
Uczuciem panna skąpi, — szyderstwem swawolna«. —
»Będzie teraz inaczej, — ale jedźmy, panie,
To drogi kawał spory, — ja zajrzę tu w księgi, —
Zmienisz szybko krawatkę, — dalsze wojowanie
Odprawim w Topolinie, bez wszelkiej mitręgi«. —
Rażno poszła komenda, rażno żołnierz ruszył —
I dwoje sanek sunie po puchach śnieżystych.
Umiał wpływać Skaliński, wołę wszystkich wzruszył
Szlachetną, szczerą chęcią w zamiarach swych czystych.

Życie nieraz by oddał, żeby wygrać sprawę,
Żołnierzem siebie zowiąć na placu bojowym
Codziennego żywota; woli wojny wrzawę,
Bo prędzej udaruje pokojem tu nowym,
Chociaż klęskę i zrodzi, — aleienne trudy,
Gdy naród uciśniony, są wielkie i krwawe!
Wleciesz łańcuch i jarzmo, stopy ranią grudy,
Nie widzisz plonu... mety... a oczy już łzawe
Patrzą tylko w Niebiosy... ztamtąd ulga zleci...
■ Poranna chłodzi rosa tu stopy pielgrzyma, —
Dzienna łaska modlitwy... potem słońce świeci,
O Boskiej głosi pieczy, co ciemność powstrzyma...
Wieczór spokój zapowie ręcom spracowanym...
Do chatk wrócić musi z porządku Bożego!
W serca wieje otuchę wiernym zapłakany,
Że cierpieć można tylko do czasu pewnego...

.Gości miłych witała pani z Topolina,
A Wanda także spieszy, bo berło już wzięła,
Żeby przyjąć sąsiadów: stawia kawę, winą,
Rozmowę bardzo żywą z Romanem zaczęła.
Wielce kontent Skaliński mile patrzył z boku,
Podkręcał siwe wąsy i iskry roznieca;
Dawno Wanda nie miała taki wdzięk uroku,
A przytem naturalność, co zawsze poleca.
Roman trochę był zimny, ale dostrzegł zmiany,
Ztąd serce jego miękło pod ciepłym promieni...
Spiesznie przeszłość zacierał, szybko goił rany
Nadzieją dziwnie słodką, co lica rumieni.
Oczy błysły mu szczęściem... Wanda wzrok spuściła,
Zajrzała w serca głębię, czy przyjmie tę miłość?

Wierność każe się cenić, wierność duszy miła
I wierność tylko budzi serdeczną zażyłość.
»Szkoda«, — myślał Skaliński, — »trzeba przerwać pieśni,
Obojgu z serca płyną, lecz pierwsza tu sprawa;
Życie w swoich potrzebach dużo rzuca pleśni
Na kwiat młodości błogi... utarte ma prawa«. —
Zatem mówił Skaliński gospodyni domu,
Że zaczną liczyć razem i proszą do rady.
Wanda szybko się zrywa, jakby pełna sromu,
Lecz Roman prosił mile, — została bez zwady.
Pragnął Wandzie pokazać, ile los jej ceni,
Więc długo bardzo badał z dobroci uśmiechem.
Szczera jego opieka Wandy twarz rumieni,
Prawdziwna szczodroблиwość odbija się echem
W sercu panny rozumnej, która swoich kocha
I dach im zabezpieczyć pragnęła tak szczerze.
W duszy hardość się kruszy, wolność rzewnie szłocha,
Szlachetność górę bierze w wysokiej już mierze.
Miłość, wierność, szlachetność, — alboż błahe rzeczy?
Uczucia wzgardą płacić? A gleba jej droga?...
Głębę Roman podźwignie, — los im zabezpieczy,
Czy proste takie wyjście nie idzie od Boga?
Roman czuje zwycięstwo, — Wanda spokorniała,
I z wielkiem zaufaniem patrzyła na niego,
W końcu szczerze dziękując rękę, która drżała
Podaje Romanowi. — On, skarbu swojego
Bardzo będąc spragniony, — długo trzymał w dłoni,
Głęboko, ciepło patrzył w myślące jej oczy,
Potem głowę pochylił, całą postać skłoni
I moment w życiu ważny, dla serca uroczy,
Pocałunkiem naznacza, który ręce składa, —
Lecz pełen czci — szacunku, — a Wanda struchlała!

Matka widząc zmieszanie, pokryć sprawę rada,
Więc krótko trwała chwila, co szczęściem jaśniała.
Później przyszły i siostry, było dużo gwaru,
A wdzięczność w oczach wszystkich błyszczała gwiazdami.
Serca były na ustach, lica pełne czaru,
Za trudy Topolińska płaciła już łzami.
Dalej teraz prowadzić gospodarstwo może,
Złożono spory fundusz i ważne podpisy,
W ręku Boga jest wszystko, wdowie Bóg pomoże,
Spokoju znowu w życiu zakwitną irysy.
Wesół wracał Skaliński, w duszy wielka radość,
Anielską błogość sprawia uczynek szlachetny!
Roman pełen marzenia — czynił sercu zadość,
A gleby los utrwalił — więc wynik był świetny.

W pierwszą zaraz niedzielę przywiózł Tomasz żonę,
Nauce Hani zlecił, strofując jak dziecię.
Łucja zaraz na wstępie chłodzi war, — osłonę
Przedziwnie słodką daje: — »Ta żona — to kwiecie...
Słońca, światła potrzeba, żeby kwiat rozwinąć,
A mąż jest ogrodnikiem, co strzeże rośliny.
Serce — słońce zastąpi, w mrozie może zginąć,
Swoboda — światłem będzie! Nie zwiędnie bez winy!« —
Mówiąc bystro spojrzała w oczy doktorowi.
Pochylił kornie głowę, lecz serce wzburzone...
Jakieś przykre uczucie starą myśl odnowi,
Gdy ujrzy Oporowo... »Gdzie szczęście wrózone?...
Zosi umysł jest płytki, szorstkie zachowanie,
Uroda niknie w oczach, gniewliwość od rana...
Zamiast gwiazdy promiennej — trup mi, trup zostanie...!
I dolę taką daje ta moja wybrana?«

Szał go tylko opętał, inną wielbi duszę,
Dla niego jednak nigdy przystępną nie była..
»Czyli dzisiaj przez litość Hani myśl nie wzruszę?
Och! ona słońcem znowu w mem sercu odżyła!« —
Wzrok swój podniósł ku Hani, w oczach łzy zabłyśły,
Więc schmurzył nagle czoło i podparł je ręką.
Zosia widzi spojrzenie, krwią jej lica trysły
I znowu nagle zbladły, — ta zazdrość jest męką!
Łucja dawno dostrzegła tajne bólu głębie,
Do siebie Zosię bierze, łagodnie ją bada:
»Sądzę, miłość was wiąże, — dają wzór gołębie —
A chociaż nieraz chmurka na słońce zapada,
Wkrótce znowu pod dach wasz niesie blask pogoda«. —
Słuchała pilnie Zosia, tajemnic nie zdradza,
Hani boi się gniewu: — »Szkoda« — mówi — »szkoda,
Że Tomasz takim panem, — to karę sprowadza.
Czuje dzisiaj różnicę — wielkie wymagania..
Lecz w gruncie szorstkim zawsze, — spostrzegły to panie?
Zdrowem patrzę ja okiem — głosi lepsze zdania,
Prostakiem jednak tylko tu w świecie zostanie.«
Łucja Zosi tłumaczy: — »Dobra braciom szkoła,
Lecz również wychowanie potrzebne domowe,
Wiedza kruszec ukształca, ale blasku zgoła
Nie zrodzi jeszcze wcale! — Te światła, te nowe,
Idą z ręki sztukmistrza; różne daje zgięcia,
Promienie łamiąc zlekka w ognisko sprowadza,
Które gwiazdą się zatli. Miłe, piękne wzięcia
Rodziny tylko dziełem, — to braki wygładza«. —

Zosia z Łucją w pokoju była chwilę długą,
W salonie obok Hania dotyka klawiszy,

Grając rzewną melodię, — czar jej padał smugą,
Żalobną, dużą smugą wśród nocnej już ciszy.
Janusz popadł w zadumę, doktor milczy, słucha,
Pochłania sercem dźwięki, te dźwięki żaloby...
Potem zrywa się nagle, wielkim żalem bucha:
»Szlochanie słyszę w tonach... te jęki — to groby!
Pani w rozpacz popada... w duszy mojej głusza...
Tak duża jako puszcza... głęboka jak morze...
Twoja postać świetlana jeszcze biedną wzrusza...
Och, ona błyszczy jasno — jak słońce! jak zorze!
Jeśli jęczysz i moje serce wzbiera łzami,
A uśmiech budzi życie... O, gdyby współczucie,
Litość... litość wyżebrać temi cierpieniami...
Tajemne bóle duszy, to wielkie zatrucie!« —
Przyszedł bliżej do Hani, — ona z łękiem wstaje, —
»Nie uchodź, pani! błagam! posłuchaj wyznania:
Piękna, czysta twa postać wielką rozkosz daje,
Nie śmiałem wyrzec dawniej... dziś pierścień zasłania,
Pierścień ciężkiej niedoli! Przyjaźń użycz duszy
I uczyni z Zosi gwiazdę do ciebie podobną!
Jeden tylko ratunek... wzgarda serce skruszy,
Zapisze w życiu twojem już kartę żalobną«. —
»Ależ panie doktorze« — mówi blada Hania —
»Pracować będę z Zosią, lecz milczeć ja proszę...
Mówić z dawnym szacunkiem«. — »Alboż chytróść skłania
Do wyznań takich ważnych? Ja ulgę przynoszę
Duszy mojej zbolącej... pragnę uczuć ciepła...
Przyjaźni tkliwej siostry... i z serca opieki...
Dusza moja przy Zosi — dusza w lód zakrzepła!
Wyleczyć jedna możesz... wyleczyć na wieki!« —
W wielkim swoim zapale rękę Hani bierze
I składa pocałunek, — a Hania aż drgnęła!

Płomień palił mu usta: — »Wierzę«, — wołał — »wierzę,
Że duszę uratujesz, co rozpacz ugięła!« —
Nagle drzwi się otwarły, Zosia staje w progu,
Objęła wzrokiem scenę, pobladła śmiertelnie...
Hania mówi wzruszona: — »Zlećmy wszystko Bogu...«
»Nie można w ciszy znosić, bo pali piekielnie!« —
Dodał doktor porywczo, potem wyszedł spiesźnie,
Bo uczuł jako Hanię już ciężko obraża,
Wszystko dzisiaj wyznawać było nawet grzesznie,
Wszak jadę żonie, Hani, niewinność zaraża?!

Hania Zosi tłumaczy, jaki plan powzięła,
Od rana czytać będą, gotować w południe,
Wieczór spędzą w warsztacie, — potem mówić jął:
»Uważać ciągle, zawsze, to będzie ci nudnie;
Termin jednak jest krótki, idzie wilja, święta,
Do czasu tego mąż twój mi ciebie powierza.
Pragnę, żebyś ty była chęcią wciąż przejęta,
Bo doktor w tobie gwiazdę zobaczyć zamierza.
Można zaraz rozpocząć lekcję zachowania:
Przyjmować gości będziesz — więc w ciszy tu wchodzisz,
Postać zwolna posuwasz, — głowa mile skłania,
A kroki lekkie będą — jak w kwiatach pobrodzisz.
W łuk przegiętym ramieniem siedzieć prosisz gości,
Zajmując sama miejsce w układnej postawie,
Pięknym, czystym językiem mówisz wśród godności,
Wybrawszy temat jaki ku wspólnej zabawie«. —
Zosia lekcję powtarza, wchodzi, wita, siada,
A kroki chociaż chwiejne lekkimi się stają,
Skoro mówić zaczyna — wielce, wielce biada,
Tematu myśli biednej tu jeszcze nie mają.

Hania dalej poucza: — »Trzeba w myślach czytać,
Rozważać życie innych, — i duszę otoczyć
Gościa swego z rodziną, — sercem trącić — pytać
O drogich zdrowie, czyny, — natręctwem nie zboczyć«. —
Zosia oczy otwiera, chciwie chwyta słowa,
Odczuwa swoje braki i trudne pojęcie, —
Z wielką troską się chyli coraz bardziej głowa,
Jakgdyby Hani słowa — rozpaczy zakłęcie!
Hania ból jej pojęła, bierze rękę Zosi,
Swobody w duszy żąda, a znajdzie się wiedza,
Tylko ufać mężowi Zosię bardzo prosi,
O, zazdrość umysł truje, — bo troska go zbiedza.

Z świtem doktor z Januszem biorą strzelby żwawo,
W zagaje wyruszyli, by zdybać szaraki,
Idą prosto w milczeniu, potem zboczą w prawo,
Jesienią tutaj stały cukrowe buraki.
Wyżły naprzód skoczyły, wytropiły zwierza:
Z kotliny szarak skoczył, pomyka zawzięcie, —
Tomasz chwycił za strzelbę, szybko, nagle zmierza
I huka jakby z procy! To jego przejęcie
W wielki humor wprawiło — Janusz bucha śmiechem:
»Gorączka ciebie piecze, kochany doktorze!
Zając zakpił dziś z ciebie, gaj wtóruje echem,
O, patrzaj jako słupka ci stawił na górze!« —
»Słuszna pańska uwaga«, — odparł doktor z cicha, —
»Gorączką zawsze byłem, gorączką zostanę!
Wczoraj wulkan wybuchnął...« — idąc dalej wzdycha, —
»Wyrzucić żar musiałem, bo spieka mi ranę!
Ale taki postępek zraził siostrę pana,
A w bardzo dziwnem świetle postawił mą postać!

Zechciej siostrę przeprosić zaraz dzisiaj — z rana,
Jak grób już milczeć będę — i bólem się chłostać...
Może całkiem zatone w pracy uciążliwej,
A wróci Zosia inną, — to ulży mi w życiu...
Wdzięczność myślę zachować, — twarzy pań gniewliwej
Nie pragnę widzieć wcale, — choć zniknę w ukryciu...«
Umilkł doktor na długo, — chodził w zamyśleniu,
Osiadła czarna chmura na bladym obliczu...
Usta silnie zacisnął, — jakby w obliczeniu,
By płomień duży stłumić, co równał się zniczu!
Szarak wpadał pod stopy — doktor ból swój czuje,
Nie widząc wcale świata, tem bardziej szaraki!
Szczęście... szczęście stracone!... w duszy żal nurtuje...
Więc chwiejną trącał stopą skostniałe buraki. —
Janusz gaje okrążył, stanął, patrzy, czeka,
Za krzaki postać chowa bez szmeru, bez dźwięku:
Z pola zwierzę pomyka, — Janusz z strzałem zwleka,
By szarak przyszedł bliżej, lecz strzelba już w rękę;
Nagle huk się rozlega, pada kot od pola,
A inny z gaju szybko już w bruzdę pomyka.
Znowu strzelba zionęła, — poszedł strzał gdzie rola
I zając leży drugi, a z śmiercią boryka!
Wyżeł skoczył i zdusił resztę życia w kocie,
Lecz strzelec wkoło patrzy, by dojrzeć doktora,
Dźwiga potem szaraki w czoła swego pocie,
Zegarek szybko biorąc, — czy wrócić jest pora?
Ozimine też przeszli, ale próżne chęci,
Niebardzo obciążeni powrócą do domu;
Janusz dostrzegł, że strzelba gościa dziś nie nęci,
Więc prędzej skończyć można, a skończyć bez sromu.
Drogą idą już zwolna, nagle doktor pyta,
Czy Henryk często pisze, czy bawi w Londynie?

Janusz słucha uważnie, pilnie w oczach czyta,
O siostrę lęk gò bierze, — wszak młodość przeminie?...
»Dawno Henryk nie pisał,« — powie cichym głosem —
»Doktorze, byłeś w Troce? Czy może są wieści?« —
»Szczерze będąc przejęty siostry pańskiej losem,
Dokładnie powiem wszystko. Ten język niewieści,
Zwłaszcza cioci Klotyldy — dużo — dużo powie:
W Paryżu Wiktor siedzi — i związek bezczelny
Zawarł skrycie z śpiewaczką, — której tylko w głowie
Wyzyskać położenie! — O, pomysł piekielny!
Podła, lekka kobieta garścią rzuca sumy, —
U nóg jej Wiktor klęczy, spętany żądzami,
Gardzi wszelką przestrogą, idąc w ślad tej dżumy,
Co duszę, ciało strawi... zakłóje bólami!
August grywa na giełdzie, razem stracił z Klocią,
I bardzo nawet znaczna tu kwota przepadła!
Długo, długo w rozmowie siedzieliśmy z ciocią,
Samotnie żyje teraz, bo troska ją zjadła;
Bardzo była otwarta, upragniona ludzi.
Olimpia z ojcem w Wiedniu, — a Henryk — choruje,
Ciężko nawet i długo! wielce siebie trudzi,
Jedynie dzisiaj pracę w fabrykach miłuje.
Wracać jeszcze nie myśli, chyba los go zmusi!
»Ja sądzę,« — Klocia doda — »Amelia go nęci...
Ona siebie nie zmoże, ona wszystko zdusi!
Zdobędzie w końcu hrabię — i ślub swój wyświęci!« —
»Serce mając wzburzone, pytam zaraz śmieie:
A hrabi miłość zacna... Hanusia urocza?«
»Hania? Miłość swą złoży jako dar w kościele...
Bo w wierze wychowana, — do ofiar ochocza!
Sprawa torem swym pójdzie, — ale jestem szczerą...
Dodała prędko, z lękiem — »ratunek jedyny...!« —

»Sądzę,« — szorstko rzuciłem — »gorycz wkoło wzbiera...
Nie tędy pomoc przyjdzie. — Upadku przyczyny
Dawne grzechy żywota! Żaden posag panny
Nie dźwignie więcej gleby, — a Henryk zmarnieje!
Pani ratuj synowca, ratuj szczęście Hanny!
Fatalizm widzę bliski, nie dobrze się dzieje...
Klocia brew swą ściągnęła: — »Przykre głosisz sprawę,
A marna gadatliwość rozděła mi usta,
Wszystkie śnione projekty skryją czasu trawy,
A zresztą — wiemy przecież, że zmienne są gusta!« —
»Dosyc miałem rozmowy, byłem nasycony!« —
Dorzucił doktor jeszcze — »już niesmak mię gonil...
Wczoraj z dziadkiem mówiłem, — cały oburzony,
Zawołał głosem drżącym: — »Co ojciec przetrwonil
Syn ma płacić ofiarą? długą... niepojętą!?
Ofiarą serca... życia... nie dźwignie już Troki!
Chyba cud ją ocali — jeśli wola świętą —
W Niebiosach zapisaną! — O, dawno te mroki...
Nieurodzaj... i klęski rozpustnego życia...
Gdy tyle rąk rozrzuca, — nie zbawi już jedna!
Radzę także hrabiemu wracać z dróg, — z ukrycia —
Skrzywdzono dolę jego — i może być biedna!... —
August wolę narzuca, w więzy zakuć pragnie,
Szlachetna dusza hrabi nie może się zgodzić,
Swoich uczuć przezacnych nigdy syn nie nagnie,
By zmarnieć jako inni, — w podłości pobrodzić!« —
Janusz robi uwagę: — »Wybór bardzo trudny,
Bo wyjścia tutaj niema, a w Anglii pracuje,
Zawód prawda męczący, w jego stanie nudny,
Przyszłości jednak szczęście w tej pracy poczuje!« —
Doszli właśnie do dworu, — Janusz rzucił koty,
Z doktorem idąc razem, w kuchennej już sieni, —

Cicho zająrzą do kobiet, — pewnie z miłej psoty, —
Tu Zosia stoi z Hanią — i pieczeń rumieni.
»Widzę szkoła już w ruchu,« — rzucił Janusz żywo,
A doktor nisko skłonił oblicze stroskane.
Hania lodem zastygła, Zosia patrzy krzywo,
Więc poszli wystraszeni, — humory złamane.
Obiad minął w milczeniu, ciężka atmosfera
Nad domem zaciężyla, — zrodziły ją listy:
Pismo jedno dla chleba przykry zwrot zawiera,
Bo spłatę kapitałów, — interes był mglisty.
Druga karta jest z Anglii, — dopełnienie wieści,
Co doktor dzisiaj głosił, — tak, Henryk jest chory!
Pisał krótko do dziadka, ale w wielkiej cześci,
Nie może wrócić teraz, nie zniesie tej pory.
Doktor śledził Hanusię, była lodowata,
Lecz później tkliwa rzewność odbiła się w twarzy,
Jakby litość mówiła: — »Widzę w tobie brata,
A żądy płomień nigdy mi serca nie zwarzy.« —
Tomasz Hanię pożegnał pełen uwielbienia,
Nakazał cześć, szacunek i młodej swej żonie;
W drodze snując swe życie, Hani ból — cierpienia —
Rozpaczne rzucił słowa: — »Szczęśliwi po zgonie...!« —

Wieczór zmianę sprowadził, Zosia w szerszej mierze
Zajęta teraz z Hanią robotą w warsztacie.
Patrzy, wielce podziwia, jako w chęci, szczerze
Te drobne ręce czynne, choć w nędznej tu szacie.
Prace dzieci już rzędem zdobią całe ściany:
Więc kosze wyplecione, torebki, krzeselka,
Różne mocne słomianki kryją kąt zatkany,
A w szafie chustki, suknie, roboty szydelka.

Czyta z księgi Hańusia, kształci serce dzieci,
Uwagi swoje czyniąc przy każdym rozdziale;
Ciągłe chodzi Mateusz, razem pracę kleci,
Pochwałę, albo karę wygłasza w zapale.
W końcu Hania robotę krytykuje sama,
O zdrowie dzieci pyta i całej rodziny,
Wreszcie w pieśni pobożnej zabrzmiał tonów gama,
Skończona dzienna praca, — ta praca bez winy.
Zosia Hanią przejęta myślą ciągle błądzi,
Czy Tomasz winien bardzo, że wielbi tak skrycie?
Jakoś większa roztropność dzisiaj sercem rządzi,
Uwielbiać tylko można tak zacne tu życie.
Wkrótce w ciszy zamknęła smętne, duże oczy,
Gdy Hania noc tę z matką spędzała w pokoju,
Obok Zosi mieszkania. Cichą stopą kroczy
I jeszcze cichszym głosem i prawie już w znoju
Słowa szepce Tomasz, — matkę lęk pobiera,
Lecz widząc męstwo Hani pochwałę jej głosi:
»Praca twoja ratunek dwojgu dusz otwiera,
Ochłody niechaj kroplę w twym bólu przynosi.
Przykre wieści są z Anglii... ale czas wygoi
Henryka słabość ciała, — lecz troska uparta
Dzisiaj domu się czepia: Suma wielka stoi
Tu w aktach hipotecznych, — wiadoma ci karta
Wskutek śmierci jej żąda. Spadkobiercy pragną
Rozdzielić kapitały, — to ciężkie kłopoty!
Ojciec w głowę zachodzi, może myśl swą nagna...
Projekty jednak ojca nie znajdują ochoty.
Kwota płatna w półroczu... lodem krzepnie dusza,
Gdy termin wypłat przyjdzie, a grosza nie będzie!
Znaczny bardzo kapitał, zatem lęk nas wzrusza,
Bo nasze społeczeństwo w upadku jest wszędzie.« —

»Ojca kłopot ten złamie!« — powie Hania z łzami, —
Już klęska tegoroczna mu głowę zbieliła...
Boże, Boże dopomóż! zostań, Panie, z nami,
Bo chmura ołowiana nam spokój ściemniła!
Ona ogrom swój szerzy, kształtem, barwą gnębi,
W jej łonie dyszy burza i żarów pioruny,
Ona ogień już zieje... ale serce ziębi...
I strasznym lękiem stroi przeczucia tu struny.« —
Północ dawno minęła, — biła nawet druga,
A powiek sen nie krzepił w obszernym tu dworze;
Rano Hanię budziła zamówiona sługa,
Nie mogąc wcale pojąć znużenia w tej porze.

Pieśń X.

Wieczór wigilijny.

Troska wlokła się cieniem, gasząc światłoienne,
Wnikała w głębię myśli, szarpała i duszę.
Oczy w jamy zapadły, były mgliste, senne...
Popioły... życia zgliszczą... spalone przez suszę,
Suszę, którą rozdmuchał w pożar wielki, silny,
Ten ból, co siarką zieje trującej rozpacz,
Jeśli człowiek w zabiegach widzi jako mylny, —
A mając wątpliwe siły, — na życie nie baczy.
Czesław z bólu upadał, cierpi Łucja, Hania,
Najwyżej ducha dziadek i Janusz podnosi.
Hani głowę już częściej smutek teraz skłania,
Spojrzenie długie, smętne, o bólach jej głosi. —
Adwent w troskach przeminął, wilja zgromadziła
Istoty bliskie sercu: Galińscy zjeżdżają,
Tadzio ferje swe spędza, wolność chłopcu miła,
A z gwiazdą Topolińscy też przybyć tu mają.
Tomasz, Roman i Janusz, nawet Artur gładki,
W myśliwskie strojni szaty ścigają szaraki;

Artur dzisiaj już runął z wązkiej, małej kładki,
Co zwykle mostem bywa, gdy stoją baraki.

Ludzi burak wymaga, latem tutaj siedzą,
A dwór ich żywi całkiem swą czujną opieką;
Z strony idą przeróżnej, sami siebie biedzą,
Bo grosz to rzecz jest chciwa, — agenci ich wleką.
Płynie wprawdzie zarobek, ale nieraz dusza
Na zawsze zaprzędana zmysłowej ochocie,
Jeśli pan jest cnotliwy wszelki nieład skrusza,
Gdy żądzy składa hołdy, ugrzęzną i w błocie!
Czysty w swoich uczuciach gromił lud Skaliński,
Sarkali nieraz może, że dziedzic surowy,
Często starca podziwiał Stasi mąż, Galiński,
Jak wnikał w szczegół życia i karmił ich słowy.
Czystość mieszkań przestrzegał, czystość obyczajów,
Zakwitnąć zdrowiem mieli na ciele i duszy,
Serce piękne być miało jako kwiat ruczajów,
Co kryształ wody kocha, a mętów nie ruszy.

Młodzież starym zwyczajem lasy, gaje wstrząsa,
Obchodzi oziminę, za górką postoi,
Słucha, oczy wyteża, może lis popłasa...
O, zębów jego ostrych i wyżeł się boi!
Wreszcie z góry już schodząc, obsaczają bagno,
A wyżyły w gąszczu tropią. — Ogromne są jamy,
Mrozem ścięte rośliny ledwie łodyg nagną,
A stare zaspy śnieżne tu tworzą załamy.
Roman dostrzegł już ślady, ręką milczeć każe,
Bo śnieg pod stopą chrupiał, szeleszczą i trzciny,
Płatki lecą też z chmury, ślad się wszelki maże,
A wicher mrozi palce, podrywa czupryny.

Szeptem idzie od lasu jakiś szmer po śniegu,
Myśliwi dech wstrzymują, — lisisko się wlecze,
Sunie milczkiem, ostrożnie, lęk ma jakiś w biegu.
»Gdy wyżły zwierzę stropią na pewno uciecze!« —
Prędko Roman pomyślał, cicho zbliżył postać
I nagle trafnym strzałem położył włóczęgę.
Artur krzyknął z radości: — »Jednak można dostać,
Naturę lisią zdobyć przez ciszy miągę!« —
Królem Roman ogłoszon, pięciu zabił kotów,
A lis za kilku starczy, bo zwierzę drapieżne.
Roman stary myśliwy, sławny z rad, obrotów,
O nieraz szczęście łowów od niego zależne.
Wicek złożył na wózek wszelkie łowów łupy.
»Polityk lis, spojrzycie swe zęby wyszczerza,
Leży jako potęga, biedne tłumy trupy
Po śmierci nawet dzisiaj pognać zamierza!« —
Rzucił Tomasz szyderczo: — »Artur, jakie wieści?
Najpierwszy pisma czytasz, czy duże są fale?
Może wstrząsną tu domem, może sięgną cześci?« —
»Widnokrąg chmur jest pełen, a pędzą jak w szale!« —
Humor odbiegł ich nagle, poszli skrajem lasu,
Gawędząc cicho, długo, — wracali stłumieni.
Wieczór szybko się zbliżył, mało było czasu,
Już zachód cudną swoją purpurą rumieni.
Wiatr się zwolna układał, śnieg posrebrzył pola,
Niebiański jakiś spokój rozciągał całuny,
Ziemie całą sposobiąc: dzisiaj Boża rola,
Wieczorne biją blaski, — to Boże są łuny!
Czujesz hufce już w chmurach niebieskiego Pana,
W spokoju idą wielkim, a świętość u skroni.
Dusza ludzka dziś mięknie, wielką czcią zalana,
Ołtarze ziemia stawia, kadzidło już woni:

Ołtarz w duszy tu starca, ołtarz w duszy dziecka,
Po wonnych sosnach lasu, po górach śniegowych,
Ołtarz w wrogów komnacie, chociaż myśl zdradziecka,
Bo snują szkodę bliźnich z swych planów domowych.
W ciszy idą anieli, biorąc różne drogi:
Pałace, dwory, chaty witają skrzydłami,
W lochy idą podziemne, — ból i jęk tam srogi...
Tu usta słodko szepcą: — »O, spokój jest z wami!
Dzisiaj ziemia spowie w swoich bólach, w trudzie,
Potęgę wiekuistą w maluczkiej postaci,
Dzisiaj Niebo powierzy Skarb swój tobie, ludzie,
Uznając twoją godność, tę godność współbraci.
Połóż skargi na skrzydła, połóż łzy na dłonie,
Poniesiem Dzieciątkowi te dary cierniowe,
Niechaj tylko twe serce gorejące płonie,
A pojmie łzy twe Zbawca, utuli ci głowę«. —
Idą dalej cheruby, gwiazdy zapalają
I iskrzą szrony, lody, w brylantów tysiące,
Zorzy krasną purpurę majestatu dają,
W koronki zdobiąc zioła na srebrnej już łące.
Wioska w mroku zapada, pełna czaru, ciszy,
To wieczór wigilijny, ten wieczór uroczy,
Serce dziatwy i służby z upojenia dyszy,
A radość starszych troska o przyszłość zamroczy. —
Młodzież poszła się przebrać, — Zosia obok Hani
Kończyły stroić żłóbek i dary rozkładać.
Wicek, kucharz, Walenty, pełnią rozkaz pani,
Sposobiąc dziewięć potraw, co z gwiazdą podawać
Bywał zwyczaj już stary. — Uczta serca zbliża,
Przyjazne siądzie grono, zażyłe tak szczerze,
Chociaż troski niepokój ciepło domu zniża,
Nadzieja łączność krzepi, zasili i w wierze.

Wierzyć trzeba w swą przyszłość, wierzyć w lepszą
[dole!]

Zwątpienie rak jest straszny! roztoczy to ciało
Spółczeństwem nazwane!

. — »Ból mię w sercu kole«,
Wzdychała Łucja z cicha — »i słońce ściemniało...

Ale póki tu życia, póty łączność wszędzie;

Podpierać siły trzeba, choć chmura ogarnie.

Niechaj pamięć Skalińskich jednym węzłem będzie,

Co braci łączył zawsze, nie trwoniąc tu marnie«. —

Wkrótce przybył Topolin, dziadek witał gości,

A Wandę z matką zaraz poprosił do siebie.

Chwalił zmianę jej pojęć, oddał cześć miłości:

»Ja sędzę,« — mówił — »Roman, to filar cnej glebie.

Pani kocha tę ziemię, pani swoich ceni

I cześć należną oddasz zaletom człowieka.

Niechaj młode twe lica uczuć czar rumieni,

Obdarzy szczęściem serce, co kocha — nie zwleka.

Roman prosił, by zbadać dzisiaj pani chęci,

Ja dobrze pokieruję, nie pójdzie wam trudno;

Wigilijny ten wieczór uczuć kwiat wyświeci,

Swobodniej będzie w domu, nie będzie i zmudno.

Ani wiecie me panie, jaka troska gnębi,

Oporów może zmarnieć, a Czesław bezsilny!

Myśl ta gniecie ołowiem, lodem serce ziębi...

W starości człowiek słabnie i chwiejny, choć pilny.

Chociaż sercem i duszą waszej sprzyjam sprawie,

Nie będę więcej możny funduszem popierać,

Rady, serca nie cofam, czynu chęć — nie strawię,

Nadziei zawsze błogiej nie myślę zabierać.

Teraz panie uradźcie, wróćę niezadługo,
Bo Roman niecierpliwy, szlachecką ma wadę;
Proszę szczerze pomówić, jestem pań dziś sługą
I w szczęściu przyszedłem pragnę usunąć zawadę.« —
Wyszedł spiesźnie Skaliński, matka patrzy z trwogą,
Co Wanda postanowi: — »Nie żądam ofiary.« —
Rzekła czule, ze łzami — »jednak swoją drogą,
Ty zbadaj głębie serca, — Romana zamiary.« —
Wanda milczy, rozważa, mając spokój w twarzy,
Widocznie w domu jeszcze zbadła swe chęci;
Wielką, jasną bystrością Wandę Niebo darzy,
Przyszłego życia wątek wysnuła z pamięci.
»Niechaj mama nie płacze,« — rzecze cicho, tkliwie,
Z energią jednak w głosie — »szanuję Romana,
Nawet lubię dziś bardzo!« — Matka przenikliwie,
Głęboko spojrzę w oczy: — »Ty córka kochana,
Czuła siostra i Polka glebę miłującą,
Tę glebę ojców twoich! Niech Bóg ci pomoże,
Niechaj ciszy twej duszy żadna łza nie zmaca,
A szczęścia filar wdzięczność utrwali i wzmoże.« —
Matka krzyżyk jej kreśli, Wanda głowę chyli,
Roztwiera drzwi Skaliński, pytając: — »Skończone?
Sercem wróżę najlepsze, ono dróg nie zmyli! —
Czy męża wpuścić mogę, co szuka tu żonę?
Stoi jako skazaniec, śmierć mu, albo życie?« —
Skinęła głową matka, a córka pobladła, —
Nagle Roman już wchodzi, czekał obok skrycie:
»Ku twemu szczęściu, widzę, narada wypadła.« —
Rzucił w ucho Skaliński, Roman wzruszon szczerze
Do nóg się Wandy ściele, — a starzec już zginął,
Rzewność dziwna go wzięła, chował duszę w wierze,
Że Bóg go córce dawał, by chleb ich nie minął.

Długą chwilę przebyła matka z młodą parą,
Z uśmiechem, słodko patrząc, jak serca ich zgodne;
Potem wrócił Skaliński, idąc z wina czarą,
A siostróm Wandy wskazał jej lica pogodne.
Były sceny to rzewne, tkliwe, przejmujące,
Rodzeństwo bowiem Wandę pieściło jak matkę —
Ręce siostry całując, usta miłujące,
Za wybór taki cenny, co wspierał ich chatkę.
Prosił wszystkich Skaliński, żeby zmiana nowa
Tajemną jeszcze była, bo pierwszy ją zdradzi;
Pragnął chwilę tę uczcić, marzy siwa głowa,
Przenigdy piękne słowo nie psuje, nie wadzi.

Poszli wszyscy w milczeniu, gwiazda dawno świeci,
A żłóbek oświetlony w przeróżne światelka;
Czeka służba już rzędem, patrzą wiejskie dzieci
Na stosy tkanin różnych, na piękne pudełka.
Stasi dziatwa już sięga, ręce upragnione
Pochwycić cugle konia i lalkę pieszczotę,
Jakieś cacka srebrzyste, wdzięcznie ułożone,
Lecz matka nagłym ruchem wstrzymuje ochotę.
Hania nutę podała, płynie pieśń wspaniała,
Ta pieśń, co serca wstrząsa, do głębin przenika:
»W żłobie leży« — zabrzmiało, grono chórem działa,
Ogarnia chwila wszystkich, swoboda zanika.
W licach mężczyzn powaga, w oczach kobiet tkliwość,
A duszę pochłonięło wspomnienie przeszłości...
Łucja smutkiem wionęła, w Hani lęk — rzewliwość —
I Czesław drżący cały i chwiejny z żalości.
Proboszcz postać wysunął, zcichły pieśni w chwili,
A z wielką ciekawością spojrzała tu dziatwa:

»Drodzy,« — mówił tu kapłan, — »sercu memu mili,
Przemowa krótką będzie, w pojęciu i łatwa.
Dziecię Jezus nam Marja w nędznej stajni składa,
Bo ono pragnie cieszyć ubóstwo prawdziwe,
Dusza nawet nędzarza dzisiaj wielce rada,
Bo Dziecię świata będzie ogniwo już żywe,
Które ludzi powiąże z Stwórcą dobrotliwym,
Sprowadzi łaski z Nieba! To Dziecię też łączy
Węzłem dziwnie już mocnym, w sercach naszych
[żywym,
I chaty z dworem naszym! Ta miłość, co sączy,
Jako źródło wieczyste przyszłej naszej doli,
Niech wchłonie wszystkie warstwy, zwątpiałe i dusze,
Niechaj wrazi się w mózgi, jako siła soli,
Tej soli, która ziemi odejmie katusze!
Dziecię Jezus maluczkie przyszło wieże zwalić,
Te wieże, które pycha pogaństwa stawiała, —
Praca z ludem potęgi może blask zapalić,
Że ciemność z świata spłoszy, co oczy wiązała.
Światło niechaj nas zbudzi, miłość serca grzeje,
A łączność chaty z dworem niech rośnie i kwitnie!
Wówczas »gloria« już zabrzmie, zmieni czyny, dzieje,
A lud swą dolę pojmie, a pojmie dobitnie!
Ludu, kochaj twych panów, jako szczerze kocha
To dziecko Jezus małe tu wodza swojego!
Płakał Józef przy żłóbku, pan twój także szłocha,
Gdy świat twą szarpie dolę, tę życia przyszłego.
Rzucić musisz wędrówki! Pomry, Sasy zginą,
Gdy więcej uczciwości obudzisz w sumieniu.
Alboż duszę zaprzedasz? Wracasz z marną miną,
Nie zbawi grosz cię wcale, gdy serce w cierpieniu...
Pracuj tutaj, ta ziemia ciebie wychowała,

Z miłości pracuj tkliwej, jak gdyby dla matki,
Spłynie spokój w twą duszę, spłynie ziemi chwała,
A Gwiazda betleemska powiedzie ci dziatki:
Wskaże dziadów im wiarę, obyczaje zbudzi,
Ukochać język każe, ten język ojczysty;
Ona siły piekielne blaskiem swoim strudzi,
A duch twój płonąć będzie, jak ogień już czysty, —
Strzeli słupem w niebiosy, który chęć powiedzie
Przez morze znoonej pracy i zrodzi osłonę...!
Zginie wówczas to wszystko, co nam cierniem w biedzie,
A serce szczęście porwie tak dawno wyśnione!
Rok się kończy już stary, zapadł w otchłań wieczną
I nigdy niepowrotną... z nim razem i czyny,
Czyny świata! Znikomość... mędrcom niebezpieczną,
A zwłaszcza skoro pycha prowadzi do winy...
Wiemy cośmy przeżyli, ale mrok przesłania
Przyszłego lata drogi.. Nie łudźmy się, dzieci!
Niechaj męstwo do trudów dusze nasze skłania,
A chęci będą czyste, jak gwiazdy w zamieci.
Niechaj biją pioruny z czarnej, smoczej fali,
Niech huczą morza, góry, i duże i małe,
Bóg w swej wielkiej litości — Bóg swój lud ocali,
A chociaż z głębin rykną potęgi już całe!« —
Skończył słowa tu proboszcz, dziadek dłoń uściskał,
Z szacunkiem patrzy służba, a dziatwa lękliwie,
Głos ten dusze otrząsnął, głos przestrogą błysnął,
Że nawet Stasi malce czekali cierpliwie.
Wreszcie Łucja za rączki bierze wnuków troje,
Wskazując stół słowami: — »Tu mama przeznaczy.« —
Potem służbę obdarza; Hania dzieli swoje,
Ubogie wiejskie dzieci, — surowość wybaczy.
Pragnie tylko uczucia zbudzić jeszcze śpiące,

Ożywić przywiązanie w tych młodszych do dworu,
Wyrwać zazdrość, nieufność, niechęć w sercach tłące,
Wieczystą zawrzeć łączność bez żalu, bez sporu.
Służba kornie dziękując opuściła sale,
A dziatwa roztargniona gubiła swe cacka,
Wówczas rażniej ruszyły także gości fale, —
O, zawsze niespokojna natura ta lacka.
Artur dążył do Lodki, Tomasz szeptał z Felą,
A Roman rękę Wandy całował ukradkiem.
Tylko dusze domowych jakieś kiry ścielą,
Przyszłego roku one, czy będą zadatkiem? —
Prosi gości Walenty, waza stoi, czeka,
Z proboszczem idzie wdowa, a reszta dowoli,
Dążą wszyscy z poспіechem, post i głód dopieka,
Lecz humor przygnębiony, ni śmiechu — swawoli.
Starzec sięgnął opłatki, białe jako puchy
Z cheruba śnieżnych skrzydeł i dzielił wokoło,
Całe grono przechodzi w ciszy, niby duchy,
Pragnienia szarpia serca, a chmurzą i czoło.
Czesław dzieląc się z żoną szepnął słabym głosem:
»Ostatnia wilja z wami...« — więc Łucja zadrżała...
Dziadek mówił do księdza: — »Trzeba walczyć z losem,
Bo fala duża idzie, a ciemna, a śmiała.« —
Roman Wandzie zaręczał, jako chleb posili
I więzy ścieśni jeszcze, te więzy miłości.
Janusz dążył do Feli, żeby w takiej chwili
Tu miłe rzucić słowo, a choćby w żalości.
Tomasz krążył ponury, dzieli chleb i z żoną,
Nie znalazł jednak słowa radości, pociechy.
Zosia chmurą zachodzi, była urażoną,
O, z twarzy dawno pierzchły dziecięce uśmiechy,
Goni wzrokiem Tomasza, który szuka Hani,

I bledszy stanął nagle i chleb z nią przełamał,
Potem rzucił dobitnie: — »Wielem winien pani,
Bo żona dzisiaj inną...« — lecz uczuł, że skłamał!
Urwał nagle i spojrzał, — słowa kończył łzami,
W żrenicy jasno błysły i w krtani już dławia...
»Jakieś cienie się ścielą,« — szepnął — »między nami,
O chyba dni przyszłości... — niedoli nie zbawia!« —
»W pańskiej woli jest szczęście, ręczę, ręczę panu,
A Zosia godna tego!« — odpowie mu Hanna,
Zbierzesz plony obfite z domowego ładu,
Bo serce żony świeże, jak rosa poranna.« —
Wreszcie wszyscy siadają, zupa migdałowa .
Posila głodne ciało, zamilkła więc dusza, —
Ale tylko na chwilę, myśl ją budzi nowa,
Posępna jednak zawsze, czy wszystkich porusza?
Czesław siedział milczący, Łucja męża śledzi,
Bo lica jeszcze bledsze, a oczy gasnące,
Hania smutnem przecuciem duszę swoją biedzi,
A lzy się w mgłach ukryły, jak gwiazdy tlejące.
Szata ciemna ją zdobi, jakaś wdowia szata,
Tak zgodna dzisiaj z sercem, co w smutku tonęło,
Wzrok jej błdził w oddali... szukał duszy brata...
O, szczęście szybko mija... a życie jej wzięło!
Ani listu z daleka, ani nawet karty!
Tak, Henryk dobrowolnie zapadał się w tłumy,
Przecież serce nie wiąże... świat mu w szerz rozwarty,
A cielec złoty zdusi ambicje i dumy.
Tomasz badał ją wzrokiem, chwycił słowa, ruchy,
Spojrzenie śledził ciągle i głowę potrzasał,
Potem nagle zeszytywniał jako posąg głuchy,
Lub bryzgnął jadem wkoło, aż usta pokąsał.
Zosię bawia potrawy, ciągle dziewięć zlicza,

To pierwsza wilja taka, co spędza we dworze,
Nagle zazdrość znów chwyta, spędza blask z oblicza,
Nurtując w sercu zawsze, — nie była w humorze.

Widząc chmury Skaliński, które tłumią radość,
Uderza w kielich z lekka, prostuje swą postać:

»Czyniąc dzisiaj przeważnie swoim chęciom zadość,
Pragnąłem w dusze wnikać, słowami się wdostać.

Widzę czoła posępne, chociaż »gloria« brzmiało
I zagrzmiał dużym chórem po ziemskiej tu kuli,
Głosząc świetne zwycięstwo, które Niebo dało
Przez Dziecię ludziom smutnym, zgnębionym od bóli.

Ciężka troska zawisła po nad chaty, dwory,
Ołowiem pierś przygniata, a kłóje sztyletem,
Dotąd w projekt spowita, — ale przyjdą pory,
Ukują prawa sejmy, poświęcą bankietem.

**Prawo nowe »kolonij«... pomyśl, człeku biedny,
Czy ulgę tobie zrodzi? Czy chwyci cię w szpony
Jako orzeł drapieżny? Alboż cios bezwiedny?**

Ha, mądry czuwa zawsze, pilnuje zagony!

Może w lasach są wilki, może zbrodzień czycha,
By chatę twoją złupić, przetrzebić gromadę?!
Niechaj z przeczuć nadmiaru serce nasze wzdycha,
Lecz rozum wcześniej zwietrzy zamiary i radę.

Piękne sprawy kolonie! chłopek będzie panem!

Wszak dotąd nieraz jęczał w magnatów niewoli?!

**Czuwaj, czuwaj nad gwiazdą, która błysnie ranem,
By chłopek zamiast swobód, — nie czerpnął niedoli!**

Nieraz kryje truciznę złote jabłko nowe,

Że całe pokolenie i rody powali,

Zatem czuwać nam trzeba, miejmy zawsze głowę,

A wówczas nowość w życiu nie cięży na szali.

Magnat żądał pańszczyzny, ale bronił kraju

I chłopka strzechę biedną zastawił piersiami,
Jeśli wróg mu zagroził, stawiał broń u skraju,
By nawet progu chaty nie dotknąć trupami!
Dzisiaj nowe kolonie... alboż nasi kupią?
Czy wolno będzie rękę wyciągnąć do pługą?
Sądzę takie kolonie serca nasze złupią
Z wrodzonych uczuć swoich... O, czarna to smuga,
Która słońce zaciemnia, słońce przyszłej doli...
To prawo wydrze ziemię, zwyrodni nam synów!
Swojej Matki się zaprą, swojej krwi na roli,
Przekleństwem będą sobie, przekleństwem swych
[czynów!

Nowe, nowe kolonie... ziemię sprzedać trzeba...
Pod pługi obce... obce... o, rozważ to, bracie!
Ziemię tobie zapłacą... złotem! chwalisz Nieba!
Wystawisz ołtarz cielcom... przepomnisz o stracie!
Jeśli ziemię uronisz, ziemię przodków twoich,
Nie wróci... nigdy... nigdy! na wieki stracona!
Będiesz katem twej żony, wrogiem dzieci swoich,
Pamiętaj, świat ten piekłem — gdy gleba skurczona!
Gleba daje ci prawa, żywi dziatwę gleba,
I rodzi stanowisko i ojca i pana;
Lud twój tulisz do piersi, dajesz radę, chleba,
Bolesna w społeczeństwie zabił się rana.
Dwór jest ojcem ludowi, dwór jest przewodnikiem,
Co wiedzie jako hasło na głuszy zapadłej,
Dwór jest zniczem domowym, cichym serc ognikiem,
Rozgrzeje tłumy całe do pracy zajadłej.
Jakże cenić nam trzeba siostr i braci dusze,
Co pojną wcześniej sprawę, co ziemię kochają, —
Otóż dzisiaj z szacunkiem dwoje wspomnieć muszę,
Bo Roman z panną Wandą, jak filar tu stają!

Para młoda zachowa dawne obyczaje,
Zadanie pojmie swoje, że **dwór to — strażnica!**
Jako żeglarz przezorny znaki łodziom daje,
Gdy fala brzeg zasłoni i zadrży kotwica!
Widzę, jaka ich serca wiąże miłość święta,
A dusze myśl przenika głęboka, szlachetna;
Para młoda czynami będzie w szal przejęta,
Pogoda błysnie głębie i jasna i świetna!« —
Starzec ruszył z kielichem, trącił z młodą parą,
Rozchylił w uśmiech usta, zawrzało jak w ulu;
Każdy dążył z życzeniem, z napełnioną czarą,
Z nadzieją w sercu, w duszy, przepominał o bólu.

Młodszy salon zajęli, starszych komin nęcił,
A zwłaszcza Skalińskiego, proboszcza, Czesława,
Nawet Tomasz od zabaw dzisiaj chęć wykręcił,
Nie znajdzie szczęścia w domu... została mu sława.
Sławy nagle pożądał, sławy uczonego,
Więc będzie ludziom służył i wiedzą i radą,
Pragnął sławą przytłumić żary serca swego,
Inaczej byłby zawsze ciężarem i zwadą.
Sława jego uzacni nawet w oczach Hani,
Szacunek dawno traci... niech wielbi choć czyni!
Sława będzie kochanką, sława jego pani,
Odrzuci wszystko inne dla takiej przyczyny!
Zaraz wspominał do starca, jako pisma nowe
Założyć trzeba jeszcze po kątach zapadłych,
Żeby szerzyć oświatę, karmić radą głowę,
Co móżół pracy chyli — i czyni zajadłych.
Dużo biedy w przemyśle, dużo zacołania,
Nietylko kmiotków wspierać — i miasta spragnione!
Nieraz wskutek ciemnoty dziwne głoszą zdania,

A zwłaszcza, jeśli nędzą uczucia zdławione.
Doktór mówił o Śląsku, wskazał Warmię całą,
Pojęcia zdrowe, jasne obudzić potrzeba,
Rękę podać swym braciom, rękę bardzo dbałą,
A może z karmą ducha przybędzie i chleba.
»Słuszna twoja uwaga,« — mówił starzec mile —
»Słuchamy słów twych mądrych, pomagaj do pracy!
Grosze muszą popłynąć, żeby w całej sile
Oświatę niecić można. — Nie żądaj tu płacy,
Płacą chwała ci będzie, płacą błogie plony,
Gdy ujrzysz wiedzy błyski na starych tych błoniach,
Które pomną Jagiełłę, pomną mężów skony,
Rycerzy Bolesława z wawrzynem na skroniach*)«. —
Proboszcz nawet poruszył wybór redaktora,
Bo poznał ludzką słabość: — »O, młodość jest harda!
Tylko starszy zrozumie, kiedy mówić pora,
Nauka zawsze ludziom i przykra i twarda!
Także warto powiększyć nasze księgozbiory,
Wydania zrobić tanie, poczytność się wzmoże.
Każdy z naszych piszących dar swój złoży skory,
By służyć młodszej braci, a Bóg nam pomoże!« —
Czesław pytał Tomasza, ożywiony sprawą:
»Ludowe towarzystwo, czy kwitnie, doktorze?
Słyszę pono kierujesz całą dużą nawą?
Szanują twoje czyny, o, rośniesz w honorze!« —
Czesław rękę uściśnął, Tomasz spuścił oczy,
Bo chociaż lud ukochał i sławy był chciwy,
Nieraz człowiek w swych chęciach także w pysze broczy,

*) Bitwa pod Grunwaldem, którą stoczył Jagiełło z Krzyżakami d. 15 lipca 1410 r. — Bitwa na Psim Polu za Bolesławem Krzywoustego, na Śląsku, z Henrykiem V, cesarzem niemieckim 1109 r.

A ona bodźcem jego, gdy twardy — leniwy.
Wspomniał dzisiaj i Tomasz, że i Artur młody
Dorzuca również cegłę oświacie ludowej,
Chociaż w jego zawodzie ciągły trud, przeszkody,
Lecz chętnie wszystko znosi dla pracy tak zdrowej.

Z pracą radę wygłaszał jako lilja czystą:

»Oświatą podnieś duszę, a ukarz twe żądze,

Kochaj przodków szlachetność, porzuć pychę

[mglistą!

»O rada taka zdrową — i chyba nie błądzę!« —

Z słowa poszło do czynu, Tomasz ruszył z taczą,

Padają sumy znaczne i w srebrze i w złocie,

Roman dzień swój uświęcił dużą, znaczną płacą,

Poparcia chęciom trzeba — niech idą i w krocie!

Również panien rączęta sypią srebrne dary

I Kazio rzucił pieniądz i Tadzio nasz żywy,

Nawet Jędrzek pospieszył z iskrą pełną wiary,

Walenty, sługa stary i Wicek krzykliwy.

Grosz zbiorowy potęga, wielka, znaczna, można,

Nie zbiedzi jednej chaty, zaporę postawi,

Byle w chęciach i w czynach była myśl już zbożna,

Zbiorowa siła zawsze z kłopotu wybawi.

Wieczór święty pamiątkę zrodził w Oporowie,

Ten fundusz wigilijny na ludu oświatę,

Wieczór święty swym wiernym dużo, dużo powie,

By spokój gościł w sercu, utwierdził ich chatę.

Pieśń XI.

Rok 1886.

(Kolonizacya).

Minął w ciszy karnawał, — jakże radość sprawiać,
Gdy gromy huczą chatom, a grożą nam z góry?!
Jakże serca ożywiać, jakże myśl zabawiać,
Gdy płaczą nasi starcy, lękają się córy?!
Alboż przyszłość im świta słodka, jasna, miła?
Ostatnie chwile starców, czy będą pokojem?
Tylko w duszy młodzieży rośnie jakaś siła,
Co gardzi zabaw wrzawą, a trudzi się znojem.
Biorą książki do ręki, idąc w kąty ciche,
I czerpią wiedzę sami, bo szkoła zabrania.
Postęp wlecze się z trudem, dzieła nieraz liche,
Lecz ducha kształcić pragną, więc wola się skłania.
Tadzio, Jędrek i Kazio znojną wzięli pracę,
Bo innych zachęcają — i radzą — i uczą,
Wcale młodym nie chodzi, żeby zyskać płacę,
Choć dużo trudu mają i starsi dokuczą,
Ale przecież swój język każdy poznać musi,

Wyrzutkiem społeczeństwa nie myśli nikt zostać,
Chociaż strona przeciwna nieraz kuflem kusi,
Lecz podłość młodzież nasza już umie wychłostać!
Byli jednak i słabsi, którzy gnuśnieć woła,
Bo móżół ludziom ciężki, a chleb tu nie łatwy;
Może trochę wyrzuty w duszy jeszcze koła,
Lecz z czasem zginie wszystko — nie z samej tu dziatwy!
Starsi również już dążą, żeby tonać w tłumie...
Wygoda w życiu kwitnie, o ducha nie chodzi!
Tylko człowiek zacniejszy siebie dźwignąć umie,
Pobłądzić może zawsze, lecz w grzechu nie brodzi.
Grzechem wielkim i ciężkim, jeśli ducha tracą,
Bo duch jest darem Boga! to znamię narodu
Każdy z życiem przynosi, — żadną ziemską płacą
Nie wolno zmazać znamię — pod groźbą i głodu! —

Janusz widząc zgryzotę, która ojców gnębi,
A będąc ukończonym w prawniczym zawodzie,
Pragnął objąć posadę, ale żar ten ziębi
Stronniczość duża wszędzie w germańskim narodzie.
Pługą chwycić się musiał, pług mu wolność zrodzi,
Sumienie, myśli, chęci, wyksztalci mu gleba,
Ona wesprze w zachości, ona zawiść chłodzi,
A ducha razem z ciałem posilą tu Nieba. —
W ciszy minął karnawał, — nawet ślub Romana
Nie przerwał oczekiwań tak przykrych i smutnych...
Wielka, straszna nienawiść, całkiem wyuzdana,
Czy owoc dobry wyda w swych prawach okrutnych?
Wszyscy wiankiem stanęli obok młodej pary,
Swoboda pierzchła jednak, choć dzieło skończone.
Czesław uczuł w kościele jakby śmierci wary,

A Hani smutkiem dziwnym oblicze wieńczone.
Szczęście pierzchło daleko... w jakieś mgły zaszyte,
Bo chociaż Henryk wierny, zabraknie im chleba.
Myśli także Felicji w wielki ból spowite,
Janusza znała troskę, że chwieje się gleba.
Z glebą wszystko utracą, całą przyszłość swoją,
Możliwe ciche szczęście, swobodę wolności!
Jakże tryskać radością, jeśli mary stoją,
W twoj chacie straszne maryl! O, jęczysz z żalości...
Jedna mara kościotrup... nędza! nędza! nędza!
A druga wlecze woal żalobny, a długi...
Postać twoją oplącze jako wieczna przedza...
Rozłąka!... mara straszna! a ciemne jej smugi!
Ani trochę światelka, ani błysk nadziei,
A płyną fale czarne i piętrzą bałwany...
Jaka rozpacz w tych łodziach pośród burz — zawiei!
Ha, nigdy, nigdy brzegu nie ujrzą... zalany!
»Jeden Bóg nas ocali, jeden Bóg wybawi!« —
Szepnęły Hani usta i czoło się chyli,
Ale mocy zkad czerpać? — Ból ją całą strawi,
Wszak serce ciągle walczy, a rozum się sili!
Odgadł myśli Skaliński, podał wnuczce ramię,
Po drodze mówił długo i gromił surowo:
»Alboż próżno ty nosisz Polki dobrej znamię?
Podźwignij wiarą ducha i pracuj na nowo!« —
Wstyd ogarnął Hanusię, wzniosła czoło w górę,
Skaliński zajrzał w oczy, do serca przycisnął:
»Spędzisz, moja ty Haniu, jeszcze wszystkim chmurę,
Przy takiej woli silnej i kamień by prysnął!« —
Roman szczęśliw był bardzo, szczęście upragnione
Wchłonęło całą duszę, lecz rozum dojrzały
Kazał czuwać nad dachem, chwile wymarzone

Topolin poprzeć, dźwignąć, utrwalić tu miały.
Pryszow zmienił swą postać, ciepło z dworu wiało,
Zyskało społeczeństwo serdeczną rodzinę;
Roman krzątał się pilnie, szarpał pług niemało,
Nie można było w trudach zarzucić tu winę.
Plany sobie nakreślił, z wiosną dojrzeć miały,
Połowę Topolina odstąpi włościanom;
Był w ten sposób rodziny ocalony cały,
A ludność polską zwiększy, za trudno tu panom.
Obszar zmniejszyć się musi, koszt się ciągle wzmacza,
Lecz skoro ronić trzeba, — oddajmy to swemu!
Kołem idzie fortuna, prawda sroga, naga!
Ten kmiotek przyszedł dziedzic — ufajmy więc jemu!
Niechże bierze tę ziemię, ale razem z pługiem
Niech worze siłę ducha w te żyzne zagony,
Żeby chęci te były jednym pasmem długiem,
By zawsze czujnym bywał do zacnej obrony.
Oby pojął zawczasu, razem z pierwszą órką,
Że ciężkie obowiązki za pługiem się wloką...
Grady wiszą nad dachem, fala niby chmurką,
A życie nieraz bywa i twardą opoką.
Bronić trzeba ci, chłopku, także swojej wiary,
Języka, obyczajów, zacności swej chaty!
Pomnij, w glebie dziś twojej naszej krwi bez miary,
Walczyły hufce mężnie, a wróg był rogaty!
Zasiądź z pośły na sejmie, przyjmą ciebie pany,
Lecz ukształć wiedzę swoją, wypracuj swe zdanie,
Żeby znikła stronnicość; zginą wówczas rany,
Co toczą społeczeństwo, — w tem twoje zadanie!
Czas przynosi te zmiany, w Belgji, w Francji słynnej,
Wzorowe gospodarstwa, a drobne — a małe;
Mieszkać może na ziemi ludu huk — gościnnej,

Lecz trzeba znaczne cechy zachować swe całe. —
Wiosna przyszła nareszcie: — Roman ruszył w pole,
Połowę Topolina przemierzył, podzielił,
Dodał części i łakę, wodę, żyzną rolę,
Zrobiwszy — pismom doniósł, ogłosić ośmielił.
Sprawę zlecił Rolskiemu, który umiał radzić,
Z chłopkami chodził, mówił, rozbierał wsze sprawy,
Umiał wnikać w potrzeby, umiał złe wygładzić,
A czynił wszystko chętnie, jak gdyby z zabawy.
Miejsce zjazdu wyznaczył: karczma topolińska,
Rozstajne miała drogi, gospodarz porządnym,
Polak, dobry katolik, żadna karczma mińska,
Gdzie żydek wódkę leje, a chłopiec jej żądny.
Z ranną bardzo godziną przybył Roman, Rolski,
A z nimi wózki, bryczki, i chłopów gromada;
Jeden wszystkim doradzał, sołtys, mądry Wolski,
Zadanie jednak główne Rolskiemu przypada.
Z chłopkiem zażył tabaki, dając plan, warunki,
Odpowiedź zawsze znalazł i radę życzliwą,
Mówił chłopom o zyskach, wskazał posterunki,
Bo sprawa gleby naszej nie będzie leniwą.
Chłopiec dobrze zrozumiał, gleba zawsze droga,
Od wieków serce polskie złączone jest z pługiem,
Zatem chętnych do kupna była ilość mnoga,
Nie nudził targowaniem i Rolski ich długiem.
Sprawa obrót już wzięła nawet bardzo gładki,
Gdy zdala przybysz nowy powiększył gromadę, —
Niby zbierał na szpital jakieś pilne składki,
Lecz wmieszał słowa swoje i dawał im radę.
Oczy jego ukośne kłóły niby szpilki,
A nigdy prosto spojrzeć nie śmiały nikomu! —
Rolski spostrzegł najpierwszy: — »Alboż radzą wilki,

Że jakiś przybysz obcy zasiądzie jak w domu?
Podział — wszystkim już znany, będę w Topolinie,
Więc radą, słowem służę każdemu we dworze.
Plany nasze tu pewne, Pryszow z słowa słynie,
Ztąd całą sprawę włości zakończy w honorze.« —
Poszli chłopci w spokoju, przepadł przybysz krzywy,
Bo jakżeż w czystej sprawie spodziewać się brudu?!
Lud nasz w gruncie jest zacny, chociaż trochę żywy,
Dlatego w nagłych razach nie szczędzi i trudu.
Roman, jadąc z powrotem, witał Oporowo,
Z Skalińskim wszystko dzielił, układał i plany,
Dzisiaj myślał omówić jakiś zjazd na nowo,
Wiadomość jednak straszna zadała im rany.

W sejmach przeszła uchwała, prawo straszne, nowe,
Kolonie tworzyć będą, więc ziemię zabierać!
Prawo gromem dla serca, chyli naszą głowę,
Bo cielec złoty silny i umie wydzierać!*)
Złoto świeci, och świecił milion przecież nęci,
A sto ich poświęconol a bieda się wkrada!
Straszna idzie pokusa, ileż słabych skręci...
Wyciągną ręce chciwie — nie pomnąc, że zdrada!
Zdrada czycha u chaty, zdrada czycha z góry,

*) Dnia 26 kwietnia 1886 r. uchwalono w sejmie ustawę, *dotyczącą popierania kolonij niemieckich* w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i w Prusach zachodnich. Fundusz na ten cel składał się z początku z 100 milionów marek. Ziemię skupywano od Polaków, płacono dobrze (tem gorzej!) dzielono na osady i sprzedawano tylko Niemcom i lutom, lub Niemcom ewangelikom, wyjątkowo Niemcom katolikom. Czas jakiś kupowano majątki i od Niemców. W r. 1903 uchwalono 150 milionów na ten sam cel.

Do 1904 r. wydało państwo 350 milionów na kolonizację.

Bo dwór i pałac może zachwieje się w duszy...
 Jęczeć będą spodleni, włosy zrywać córy,
 A los im wydrze złoto... i dusze pokruszy...
 Ziemię ojców zaprzedać w takich prawach srogich,
 Że tylko obcy przybysz zaorze te łany,
 Nigdy, nigdy nie będzie ziemia żywić drogich,
 A lud za progiem stanie — jak z chaty wygnany?!
 »Dokąd,« — woła — »pójdziemy? dokąd dzieci twoje?
 Szaleńcze, rozważ, rozważ, zdradzieckie to grosze!
 Stracisz ziemię i honor, stracisz życia zdroje!
 Ja trwogą moją wielką przestrogę przynoszę!« —
 Ziemię ojców zaprzedać w takich prawach srogich,
 To tylko podły może, bo spełnia tu zbrodnię!
 Jeśli dwór jest na straży, strzeże pokus mnogich,
 Oświaty, zrozumienia tu nieci pochodnię.
 »Rozważ, rozważ, dziedzicu!« — woła duch narodu,
 »Ty z ziemią ojców swoich i lud ten zabierasz!
 Lud ten może zmarnieje z duchowego głodu,
 Na rozcień obcym dwory i chaty roztwierasz! —
 »W lud ten wsiąknie trucizna, jako moda wsiękła,
 Bo strój swój zarzucono dla próżnych tu wygod!« —
 Przyszłość wiary tem prawem niby widmem zlekła,
 Uczuwa troskę życia, nie minie bez przygód.
 Wiara wiecznym jest zniczem w naszym polskim
 [ludzie,
 Z niej czerpie w nieskończoność swe ciepło duchowe!
 Póki wiary iskierka, póty mocy w trudzie,
 Jedyny, pewny środek na śmierci głodowej!
 Ziemię ojców zaprzedać w takich prawach srogich,
 Że obcy innowierca zasiądzie na łanach,
 Znaczy dusze zaprzedać tylu rodzin mnogich,
 Zacięży straszna wina na ojcach — i panach!

**Przyszłość ojców osądzi, przyszłość klątwę rzuci,
Zdrajcami nazwie sprawców, na chaty ich splunie!
Wytknie palcem rodziny... męki nic nie skróci,
A gmach szlachetnej sławy na wieki tu runie!**
Klątwa będzie tu ścigać ojca, syna, wnuka,
Olbrzymi ciężar przyszłość przykuje do stopy!
Próżno odtąd twa głowa wypoczyнку szuka...
I próżno wzywać będzie i panów i chłopcy!
Klątwa ciernie ci wbije w ranne stopy twoje,
Wysączy krew twą z serca i dusze zatruje...
Upiór z zdrajcy powstanie! w ręku trzyma zwoje...
Układy z obcym straszne... bo piekło buduje!
Zwoje krwią tu pisane... zwoje wilgne łzami...
A twarz upiora trupia... piekielna... i dzika...
Cuchnie grobów zgnilizną... zieje płomieniami...
I w drganiach strasznych jęczy i w bólach boryka...
Postrach padnie na zacnych, postrach wielki padnie,
Niewinne dzieci tulić do matek się będą...
Młodzież jeszcze pomyśli — »pracą zdobyć snadnie...«
»Za późno!« — wrzaśnie upiór — »bo inni już przędą!
Przędą nić swą wytrwale, złotem podsyconą!
Sprzedałem glebę swoją i lud nasz i wiarę!
Ból jest moją rodziną, hańba moją żoną,
Przeklęty czynem straszny! więc piję tę czarę!« —
**Glebę ojców zaprzedać w takich prawach srogich,
To znaczy kraj zaprzedać! zabory wyjątkiem!**
Naród ciężko trapiiony w swoich sprawach drogich...
Te plagi rozmaite poparzą jak wrzątkiem!
**Gleba w takich warunkach własność społeczeństwa,
Szafarzem dziedzic tylko, a sąd jest w narodzie!**
**Płacą będzie korona, lśniąca łzą męczeństwa,
Ta zacność rodzin, chęci, w rolników zawodzie!**

Ona sławą wyrośnie, jako posąg wielki,
Olbrzymi w objętości, a twardy w granicie,
Blaskiem z góry uderzy, — uzna świat w nim wszelki
Zasługi — bohaterstwo — te gwiazdy w zenicie! —

Straszne były te prawa! Roman zwiesił głowę,
Skaliński wzrok zasepił, lecz czoło podnosił:
»Słuchaj« — mówił do niego — »twoje włości nowe
Tu opór stawiać prawy, to prąd ich wyprosił.
Czuwa Boża Opatrzność, czuwa zawsze, wszędzie,
By jeź nie wyrosł słońcem, pagórek już skałą!
Włości trzeba namnożyć, więcej ducha będzie,
Odporność zrodzi sprawę tu wcale nie małą!
Jeśli groszy nie znajde, które płacić muszę,
Odstąpię kawał ziemi, niech biorą włościanie, —
Jednak pierwszej sprężyny jeszcze wszystkie ruszę,
By całość przeszła w spadku! — Och, boli jak w ranie!
Czesław słabą rośliną, która wegetuje,
Lecz lada powiew zmrozi, a Janusz choć pilny,
Pracą tylko przysporzy; czuje chłopiec, czuje,
Że fundusz rzecz poważna, to filar jest silny.
Kłęski idą zbyt często, zatem dobre grosze,
By pokryć niedobory, lecz skarb się przebierze...
Lęk ja straszny o przyszłość w duszy mojej noszę...«
»Z Felicją,« — odparł Roman — »pomówię w tej mierze,
Niechże Janusz posażnej szuka sobie panny!« —
»Powstrzymaj dobre chęci!« — zawołał tu dziadek, —
»Los Felicji — jest losem naszej młodej Hanny,
Ja sąde, — praca zrodzi szczęśliwy wypadek.« —
Roman milczał uparcie, ale Felcia czuła
Porówno z Hanną młodą, że trzeba ofiary!

Smutek zbliżył ich dusze, każda ból swój snuła,
Do serc swych chyla głowy, bo równe zamiary, —
Jako kwiatów kielichy pełne srebrnej rosy,
Łodygi nagną swoje i tulą do siebie...
Dusze żalem wezbrane, zacne w myślach głosy,
Opierać tylko mogą swą siłę na Niebie...
Wytrwać, wytrwać potrzeba, palić dym ofiarny,
Tu szczęście osobiste — to rzeczą podrzędną,
Głównem, żeby nie ronić! chociaż chleb jest czarny...
O, nasza czynność wszelka tu musi być rzędną!
Fundusz skromny w obiegu, potrzeb milion wszędzie!
Obliczaj gospodarzu i pokaż tu sztukę!
Sława tobie udziałem w przyszłej chwale będzie,
A młodsze pokolenie zaczerpnie naukę.
Ile walki i cierpień, ile łez i bóli
Rozdziera piersi nasze, oślepia nam oczy,
Bóg tu tylko jest świadkiem, Bóg co Królem króli!
Co każdy włos z twej głowy policzy i zoczy!
Ale wróćmy do wątku: — Wkrótce nowe prawa
Już czynność swoją wiodą, komisje się tworzą,
Pełno wszędzie agentów, niemcom pilna sprawa,
Germańskie pługi gwałtem tę ziemię zaorzą! —
Agent zwiedził Oporów, Czesław mówił z sługą,
Lecz dziadek jednej chwili przybysza wyprawił;
Płaca była olbrzymia, nęci jasną smugą...
Czesława zgromił ojciec, że złotem się bawił.
Agent zwiedził Topolin, Pryszów nawet możny,
Lecz Roman zmierzył wzrokiem i pięknie wyprosił;
Agent w Trokach więc utkwiał, August chciwy, próżny,
Nie zaznał wyższych uczuć i nigdy nie głosił.
Pole było otwarte... nagle Werner stary,
Rozpoczął swoją czynność w agenta już roli.

Snuły znowu się w Troce, snuły czarne mary,
Co jad przysporzą ziemi, nie dadzą jej soli.
Dziadek, Roman i Janusz śledzą sprawę silnie,
A widząc jaka glebie tu grozi zagłada,
Pismem proszą Henryka, żeby wracał pilnie,
Bo gwałtem czynu trzeba i przyda się rada. —

List ten zastał Henryka prawie gotowego,
Czytywał zawsze pisma, więc pojął, że pora!
Wracał chęcią wzmocniony fabrykanta swego,
Zrozumiał w domu zgrozę — i przeczuł upiora!
Cicho przybył do Troki, wcale niespodzianie,
Od dworca najął konie, — lecz stanął jak wryty!
Sprawa była już w biegu: — »Hrabio, drogi panie« —
Klucznica wita stara — »uczynek jest skryty!
Sprawy Werner pilnuje, ciotka wyjechała,
Podobno w Oporowie, — agenci na łańcach!
Wczoraj służba we dworze z troski tajnej drżała...
O, jedna pani tylko rozpozna się w planach.« —
Henryk milczał jak posąg, twarz marmuru bieli
Kamienny miała wyraz i trupie spojrzenie!
Ból go zakuł w martwość, niby śmierć w topieli:
O, piekło chłonie szczęście — i sławę — i mienie!
Stara, wierna klucznica budzi z odrętwienia,
Lecz Henryk stoi w miejscu, oczyma nie rusza...
Wówczas przyszło jej z duszy wysnuć nić marzenia,
Więc imię Hani wspomni — Henryka tem wzrusza.
Szybkim zerwał się krokiem, dążąc w róg pałacu,
Komnata dawna jego... pamiątki... obrazy...
W duszy słyszy wołanie: — »Rycerz broni placu,
A mężną swoją chęcią oczyści z zarazy!« —

Widzi portret pradziada, widzi godność hrabi,
Prababki z wojewodów tu herby, zaszczyty,
Widzi obraz Hanusi, wdziękiem swoim wabi...
Pożądał czystej sławy, to jego zenity!

»Boże,« — wołał — »w uczynkach niechaj będę
[czysty!

O poprzej zasną pracę, błogosław me chęci,
Pomnij, lud nasz był wierny... ratuj łan ojczysty
I sławę przodków naszą ku wiecznej pamięci...«

W chwili właśnie tej ważnej, w naszym Oporowie,
Hanusię wiodła Klocia do cichej komnaty, —
Cały zamiar określi, wszystko dzisiaj powie,
Na wieki pewnie prysną marzenia i swaty.
Łucja myśląc, że Klocia dobre żywi chęci,
Nie strzegła Hani kroków, wszak tkliwa i czuła?!
Wreszcie długa rozmowa matkę także nęci,
Bo lęk ją jakiś chwycił, co z serca wysnuła;
Wchodzi cicho i zwolna... jakież przerażenie,
Gdy Hanię bladą zoczy, jak lilji tu płatki...
»Miała Klocia tę śmiałość, miała chęć, sumienie,
To dziewczę dręczyć jeszcze? — jęknęło u matki.
Łucja strojna w powagę, mierzy Klocię śmiało,
A ona z słodkim głosem panuje przemową:
»Okoliczność to przykra! trudno, Niebo dało,
Pracuję dawno sercem, pracuję i głową.
Córka pani rozumna, córka przeszłość kocha,
Potrzebę ofiar pojmie i sławę uzyska!
W duszy mojej też jęczy, w duszy mojej szlocha,
Lecz jedno wyjście tylko rozsądek mi ciska:
Jeśli Hania podpisze kartę, którą wręczę,

I August cofnie chęci i gleba zostanie!
 Może panie uwagą moją dziwną męczę...
 Lecz miennej szukać żony, Henryka zadanie!« —
 Hania drżała jak listek, matka rzuca słowa:
 »Czy może pani ręczyć za czyny hrabiego?
 Alboż w śmiałych zamiarach chęć Henryka nowa?
 Ja sędzę, pani działa z pojęcia swojego!« —
 »Działam jako potomek wojewodów rodu!
 Nie pragnę zdradzić ziemi i sławy rodziny, —
 Trzeba ofiar tysiące, trzeba trosk, zachodu,
 Bo włości żyzne zginą! a z Hani li winy!« —
 Hania zrywa się z miejsca, jako liść miotany
 Przez burzy wichur srogi... stanowczo zawoła:
 »Proszę kartę i pióro! cios! och cios zadany!
 Pojmuję jasno honor, nie splamię tu czoła!« —
 Patrzy Łucja zdziwiona: — »Haniu, rozważ sobie,
 Niech Henryk słowo powie, a wolność odzyska.« —
 »Sądzę,« — mówi Klotylda — »ułatwienie robię,
 Bo dawna obietnica Henryka przyciska.
 Jeśli Hania zachęci w Polki zacnej roli,
 Zrozumie Henryk lepiej i pojmie zadanie!
 Niechżeż pani nie więzi Hani dobrej woli,
 Bo sprzedaż Troki będzie tu zdrady zaranie!« —
 Łucja z bólem umilkła, Hania pióro bierze,
 Dyktuje słowa Klocia, a wreszcie i czyta:
 »Wracam wolność Ci, Hrabio, niosę chęć w ofierze,
 Od dawna cisza w sercu — »konieczność« — wyrzyta!
 Pierścień razem załączam!« — ,
 — Słucha Hania blada,
 Ściągnęła pierścień z palca i wyszła z pokoju.
 W swojej cichej komnatce z jękiem strasznym pada
 Przed twarzą Boga w cierniach — i mdleje od znoju, —

Wreszcie głośnie szlochanie buchło z głębi duszy...
Że Czesław w lęk aż popadł i drzwi swe uchylił,
W jednej chwili zrozumiał, — ból i jego skruszy...
O lęk ten w chorem sercu przenigdy nie zmylił!
Hanię ujął w objęcia, płacze, tuli, pyta,
Lecz ona niema tylko, bo łązy ją tak dławia...
Dziwną rozpacz, bezbrzeżną, w oczach dziecka czyta...
Tak pragnął szczęścia córki, a bóle ją strawią!
Odtąd często zapadał w jakąś słabość dużą,
To było odrętwienie i ciała i duszy.
Nagle takie wstrząśnienia słabe siły nużą,
Roślina wątła ginie i z burzy i z suszy.
Susza była tu straszna, ani kropli rosy,
Co może trzeźwić, krzepić... Oporów się wali...
Trudno znaleźć funduszów, — straszne dzieci losy!
Ofiary gleba żąda, — bo honor ocali!
Ale żona! och żona! dzieci żebrakami!
A śmierć u wrót już stoi, zabierze to ciało...
Dobrobytu tu siła alboż między nami?
Komisja złotem płaci... jak wybrnąć przystało? —
Nieraz w mózgu przepalał Czesław takie zdanie,
Bo duch osłabion ciałem, oporu nie żywił;
Jedną siłą tu jego, duży lęk — biadanie —
Nad losem drogich swoich, — pojęcia już krzywił.
Zdało nieraz się jemu, jako samo złoto
Odpędzi czarne mary od rodzin zachwianych,
Wówczas ojciec go gromił: — »Alboż grzęzniesz w błoto?
Czy pragniesz zdrajców widzieć w twych dzieciach
[kochanych?
Pomnij, lepsze ubóstwo, jako łąza tu czyste,
Niż bogactw złudne blaski z Judasza znamieniem!
Ogół miewa pojęcia dzisiaj jeszcze mgliste,

Lecz sława nasza czysta, jedynem zbawieniem!
Ona ducha podnosi, ona sił nam doda,
Że opór mocny stawim i wrogiej nawale!
Ona skarbem narodu, ona z źródła woda,
Co wlecznie w trudach krzepi, choć huczą i fale.
Ogół miewa pojęcia jeszcze bardzo chwiejne,
Każdemu jednak biada, co sprzeda tu włości!
Życie będzie rozpaczne, będzie beznadziejne,
Prawnuki jęczyć będą i cierpieć w żalości. —
Ufaj radzie tu mojej, ucisz bóle, jęki,
Pożyczkę wezmę z banku, lecz tylko chwilową,
Burzę trochę zażegnam, — jednak główne sęki
Pościera z włości kórzyć, — pracują tu głową.» —

Skończył dziadek przestrogę, Janusz wchodzi młody
I z zgrozą opowiada, że spotkał Wenera;
Oczy ogniem pały, szukał chwil ochłody,
Bo serce z oburzenia i z żalu przymiera.
Dyszał ciężko, och ciężko, kamień pierś przygniata,
A pięści zaciskają w bezwiednej obronie:
»Znowu,« — mówił — »Amelię Klocia z hrabią swata
I głosi jako Hania już sercem nie płonie!« —
»Pono magnat się stara, Hania zaręczona?« —
Guwerner pytał chciwie — »Ha, idą tu lata,
Słuchaj, panie Januszu, pewna tylko żona,
Gdy kieszeń lśniaca złotem! Ja kocham jak brata...
Życzę lepszej ci doli, sprzedaj Oporowo!
Szanuję dom wasz szczerze i chleba przymnożę!« —
»Żal odpowiedź mi wyrwał: W radzie jad, niezdrowo!
Ja sądę z biegiem czasu dobytek się wzmoże.
Badał wzrokiem guwerner, wreszcie znowu rzecze:
»Ha, z biegiem czasu może komisji nie będzie...

Czerpaj póki tu możesz, wstyd fałszywy piecze,
Kusiło zawsze złoto, — zwycięży i wszędzie.
Wszystko pięknie urządzę: sprzedasz wieś swojemu,
Ja znajdę człeka łatwo, co ciebie osłoni,
Honor czysty wyniesiesz, ufaj sercu memu,
Od wiecznej, przykrej nędzy was złoto ochroni!
August Trokę sprzedaje, rady ukończone,
Opinię lekceważy, pokazał, że silny!« —
»Słuchaj,« — wówczas krzyknąłem, — »serce urażone,
Do zdrady ucznia wodzić — uczynek ci pilny?!
Póki serca tu w piersi, póki życia w duszy,
Skaliński jeszcze żaden nie splamił honoru!
Nędza może nas zdławi, nędza życie skruszy,
Lecz sława czystą będzie — z godności oporu!
Każda zacna jednostka naród zastępuje, —
Im więcej czystych będzie, tem sława wznioślejsza!
Każdy kocha tę glebę, przeszłość w żar miłuje, —
Im bardziej honor czysty, tem przyszłość jaśniejsza!
Chciałem splunąć z pogardą, ale wzgląd na głowę,
Co praca w naszym domu zbieliła przez lata,
Chęci moje złagodził; — czułem, plany nowe,
Co chytróść narzucała — z zacnością pobrata.« —
Janusz umilkł na chwilę, żeby myśli zbierać,
A potem dodał jeszcze: — »I Henryk powrócił,
Wątpię jednak by pragnął ojca plan popierać,
Powinien jednak przybyć, by męki ukrócić.« —
»Jakżeż przybyć mu tutaj,« — mówił dziadek smutny,
Gdy Klocia fałsze głosi, że Hania niewierna,
Śmiała żądać pierścienia... jakież czyn okrutny,
Szlachetny tylko pozór, intencja tu mierna.
Działa razem z Amelią w szacie patryotki,
A w gruncie brudy, brudy i straszna zgnilizna!

Oby los się nie zemścił, robiąc z nich idiotki,
Bo posiew obcy zdradny... trująca wścieklizna!« —
Drzwi tu z lekka skrzypnęły, weszła cicho Hania,
Jak cień ponury, smętny, stanęła w komnacie...
Dziadek mówić o hrabi wobec wnuczki wzbrania,
Bo jako mgła już blada w żałobnej swej szacie.
Hania okiem powiodła, ojca, brata mierzy,
Aż wreszcie wyjęknęła: — »Czy wieści są z Troki?« —
Siła wiodła przeczucia... ona hrabi wierzy...
Ofiarę jednak składa... ha! boskie wyroki!
Dziadek wspomniał przelotnie: — »Sprawa bardzo krucha,
Przepadnie Troka, Haniu, pokusa za wielka!
August mężstwem nie grzeszył, obcych pochlebstw słucho,
Ofiary wszystkie próżne i rada tu wszelka!« —
W ciszy wyszła z komnaty, jako kwiat milczący,
Co wtedy kielich zwiesi, gdy skwary dokuczą...
Spokój miała na twarzy, — w duszy ogień wrzący!
Ofiarę mężnie znosić tu trudy nauczają...
Wieści zbierał Mateusz, dzielił wszystkie z Hanną,
Henryka powrót głosi — jej serce rozdziera...
Płacze z blaskiem księżycy, płacze z rosą ranną,
Lecz wobec słońca — ludzi — tu smutek przymiera...

Pieśń XII.

Cios.

W Troce wrzało jak w ulu, kmiotek szuka kmiotka,
Siadają w kącie razem i myślą — i gwarzą,
Nieraz wpada wesoło dziecka postać wiotka,
Wypędzą zaraz z izby, na troski się skarżą.
Matki głowy zwiesiły, młodzież kłątwy rzuca,
Na ustach dziewic piosnka zamiera od dawna,
Starzec cichem westchnieniem bóle swoje skróca,
Na dwór z przestrachem patrząc—o, zdrada tam jawna..
Praca ciężko się wlokła, myśli cięższej jeszcze,
Bo jakże tryskać życiem, gdy burza nad strzechą?!
Chmura idzie z pałacu... gromy fal złowieszcze,
Najśmielszych w lęk zakuły, nie będą pociechą.
Czasem stary Mateusz wlecze drżące nogi,
Po nocach w Troce staje i kmiotków posłucha, —
Wówczas jego oblicze miewa wyraz srogi,
A w końcu — z żalu płaczem i jękiem wybucha.
Widział hrabi zamożność, widział świetne czasy
I honor czysty jeszcze, — hrabicza cne chęci,
Dzisiaj z sławą boryka, idzie los w zapasy..
Synowi głębę straci... bo honor nie nęci!

Żal przypomniat Henryka, ziemię, przyszłość Hani...
O szczęściu dwojga marzył, jak ojciec rodzony...
Takiej, jaką jest Hanna pragnął w Troce pani,
A sen ten szczęścia pierzchnął, choć dawno wyśniony!
Z smutkiem wracał nad ranem, noc znów spędził w Troce,
On czuwać, myśleć musiał, by złemu zaradzić;
Chociaż wiedział, że August utkwi chęć w opoce,
O cięty, straszny upór tu trzeba zawadzić! —
W Troce wrzało jak w ulu, pełno obcych ludzi,
Zwiedzają, piszą, radzą i plany rysują.
August ciągle zajęty, wielce siebie trzodzi,
Układy idą dalej, aż sprzedaż ukuja.
Henryk troską udręczon, ojciec wita chłodem,
Jak gromem w twarz mu rzuca: — »Przybywasz nie
[w porę!« —

Ojciec duszę zamroził przykrym, dziwnym lodem,
A pragnął ducha ogrzać, bo serce tu chore:
»Losy ziemi się ważą... Hania zdradza! Hania!
Czy wierzyć uszom można? Czy oczy nie mylą?!
Serca przecież nas dwojga czysta miłość skłania...
Czy wszystkie z jadem czary me usta wychyła?
Alboż Hania jest złudna, jako mgły obsłony,
Brylantów blaskiem lśniące, a błahe, powiewne?
Alboż duszą kłamała...? Byłem w czar olśniony!
Czy mogą zdradzać usta tak tkliwe i rzewne?
Pismo jednak dowodem... ofiar pragnie gleba...
Oporów chwiejnie stanął — tak dawniej zamożny!
Bogacz Hanię posiadzie... alboż żadna chleba
W pałacu dużym, świetnym...? O, sąd ten bezbożny...!
Serce moje nie wierzy, dusza opór stawia!
Tę zdradę ciotka snuje... tę zdradę ja zduszę!
Czuwał przecież Mateusz, myśl, ta myśl mię zbawia, —

Od niego tajemnicy dowiedzieć się muszę!« —
Kartę spiesznie nakreślił, wyszedł cichym krokiem,
Pamiętny gniewu ojca na służę starego.
W chacie znalazł posłańca, potem wrócił bokiem,
Naznaczył schadzkę nocą u stawu małego.
Ulęgę sprawił uczynek, ale inne troski
Ciężarem pierś mu wała! — »A Troka? mój Boże!
Alboż idzie zagłada? alboż wyrok boski?
To ludzkie niedołęztwo ratować nie może!
Pewnie przykrzą się trudy? Może serce chciwe,
Rozpusty, zabaw żadne i złota bez miary?
Ostro sędzę tu ojca... serce moje mściwe..
Komisja jednak słabość ujęła tu w czary!
Pisze, biega i jeździ, jako nigdy czynny,
Nie dośpi ranka nawet, a północ przesłęczy;
Ciągłe liczy z Wernerem, agent dzisiaj słynny,
Szatańska praca obcych mą duszę zamęczy!
Każde słowo żarzewiem, które serce pali,
Skrzypnięcie pióra szmerem, co zdradę zapowie..
Jeden podpis małuczki... całą sławę zwali!
Zaprzeda ziemię ojców! O, pęka mi w głowie!
Tysiąc myśli się ciśnie... biją, huczą młotem,
A jednak słabe tylko, bo rady nie dają!
Runie szczęścia kolumna, runie w przepaść... z błotem!
Litości czyny ojca dla dzieci nie znają!« —
Głowę ujął w swe dłonie, jako ogień pała,
A oczy w głąb zapadły, bo błyszczeć nie mogą..
Twarz pobladła jak chusta, postać zgięła cała..
Z szacunkiem patrzą kmiotki, lecz także i z trwogą:
»Jeden panicz tu może, jeden uratuje!
Odciągnie ojca pewnie od czynu brudnego..
Henryk sprawę zrozumiał, ufność chłopków czuje,

Doleją jeszcze waru do bólu strasznego...

Dręczył głowę nocami, dręczył smutną duszę,
A dniami czuwał pilnie, by ojca zachęcić.

»Dzisiaj« — mówił do siebie, — »dzisiaj skończyć

[muszę!« —

O chwilę prosił ojca, by raczył poświęcić.

August syna unikał, Henryk czekał, czekał,

Lecz widząc nagłość sprawy nie może odkładać;

Los mu kmiotków i Troki jako żar dopiekał,

Zapragnął radzić jeszcze i ojca wybadać.

August skrzywił się mocno, ale wyszedł z synem,

Bo Werner słuchał obok, spisywał tu akta,

Salon wybrał odległy: — »Alboż idziesz z czynem?« —

Przez zęby pytał hrabia — »gotowe kontrakta?« —

»Ojczy, pozwól, że radę rzucę jedną jeszcze:

Ułagam fabrykanta, funduszu udzieli...

Może plany me śmiałe, ale będą wieszczę,

Z przemysłem świta słońce — i szczęście ośmieli.« —

»Dosyć było tu męki!« — syknął August hardo, —

Tam Paryż nęci blaskiem i ruchem swym gwarnym,

Kością w gardle mi Troka, spałem dotąd twardo,

Nie myślę gnuśnieć więcej na placu tym marnym!

Miałeś pojąć Amelię, czasu dużo było,

Usłałeś sobie łożę... lecz litość mię wzięła...

W świat wam ruszyć potrzeba, tu się tylko gniło...

Z zamiarem moim śmiałym się przyszłość zaczęła.« —

»Przyszłość... ojczy, lecz straszna! palcem wytkną Trokę!

Potępi świat, opinia, władczyni tak można!

Sława, honor stracone! Uczyni, ojczy, zwłokę, —

Załatwię w sposób inny, a rada jest różna.

Może spółkę zawiazać?« —

. — »Dosyć było męki!

Powtarzam bezustannie, nie cofnę swej woli!« —
 Odparł August już z gniewem — »Honor, sława... sęki,
 Pokrzymą trochę pisma i zgaśnie powoli.
 Zresztą bogacz ma źródła zawsze bardzo pewne,
 Bo złotem zamknie usta opinii wszechwładnej!
 Będiesz kiedyś mi wdzięczny, — dzisiaj myśli rzewne
 Zatrwały duszę twoją w rozpacz bezradnej.« —
 »Rozpacz... rzekłeś, mój ojciec, rozpacz w sercu wzbiera,
 Gdy myślę jako ojciec, mój ojciec rodzony,
 Glebę obcym wydaję! myśl ta, myśl pożera!
 W żalości krzykną »zdrajca!...« i będziesz zelżony!
 Zdrajca! krzykną powtórnie, — wydał lud na zgładę!
 Przeklęta będzie pamięć i ojca... i dzieci...
 Jeśli syna odtrącasz, daje rodak radę,
Nie wolno shańbić cześci, co naród ukwieci!« —
 Dziko spojrzął tu August, gromy rzucił z czoła,
 A dysząc ciężko krzyknął: — »Powstrzymaj twe sądy!« —
 Henryk upadł do kolan: — »Porzuć syn twój woła!
 Och zgubią przyszłość całą zawistne te prądy!
 Zdrajcą ojciec... mój ojciec!« — szeptał, szlochał w jękach.
 Zsiniła twarz Augusta, a wargi się ścięły,
 Nagłym ruchem odtrącił syna, który w mękach
 Przypomniął Laokona *), gdy węże go zgięły.
 August wypadł jak wichra, trzasnął ostro drzwiami,
 Ofuknął służbę dworską, co trwoga przejęta,
 Tysiąc krzyknął rozkazów, huknął piorunami,
 Jak gdyby Troja dzisiaj już była przeklęta!

*) Laokoon (w skróceniu Laokon) był kapłanem bożka Apollina w Troi, uduszony wraz z dwoma synami przez olbrzymie węże. Chwila ta straszna uwieczniona w przepysznej rzeźbie starożytnej, znajdującej się w Rzymie, w Watykanie, w zbiorach papieskich.

Wreszcie wydał depeszę, żeby z sprawą spieszyć,
Rodryka wezwał pismem, bo razem spiskował;
Chcieli ziemię zaprzedać, żeby życiem grzeszyć,
O, Paryż z ruchem swoim i Rodryk miłował.
Sprawę razem zaczęli, była umówiona,
Opinji trudniej będzie już z dwoma borykać,
Walka prędzej przeminie, była ułatwiona,
Bogactwo siłę daje, — więc można pobrykać!
Ciotka dalej spiskuje, krążą ciągle wieści,
Amelia coraz bliżej, a z Hanią zerwane, —
Niby broni Kłotylda narodowej cześci,
A w mózgu myśli chytre i fałszem wysłane.
Chciała sobie zapewnić dobre stanowisko,
Henryka ślub z Amelią jej furtę otwiera:
Będzie gościem ich stałym, będzie Paryż blisko,
Wszak w nudnej, starej Troce już dusza zamiera...
Z góry, dawno wiedziała, robiąc swoje plany,
Że zacne serce Hani ulegnie ofierze...
Jeden środek to pewny, zadał wprawdzie rany,
Lecz w końcu Henryk przyzna i słuszość w tej mierze.
Zginie Troka i Hania! świat w swe porwie wiry!
Zakwitnie radość, szczęście! tu — wieczne mozoły!
Zginą ciemne te widma, zginą czarne kiry,
A miód swój z łąków zbiorą, bo mądrzy jak pszczoły.

W Troce wrzało jak w ulu... każdy dąży, spieszy,
Gorączka w słowach, w czynie, a służba strwożona,
Lud spogląda na pałac: — »Kto nas, kto pocieszy?!« —
Wiedzieli, wola syna już nawet zelżona!
Wieczór kmiotków jednoczył, stali w chmurę zwarci,
Gdy proboszcz jadąc bryką pozdrowił gromadę.

Radość w oczach im błysła: — »Może pójdą czarci?
Bo proboszcz świętobliwy, więc zdrową da radę!« —
Krzyknął stary Witowicz, doświadczony życiem,
I zaraz począł mówić, że kapłan jest możny!
Winien czuwać nad trzodą: — »Wilki« — prawil —
[»wyciem
Już dawno dobrych straszą, — a cios ich bezbożny!« —
Potem wsunął w kieszenie swoje ręce chude,
Za bryką ciągle patrząc, — utonął w marzeniu.
Mierzył czyny Augusta, mierzył fałsz, obłudę,
Z proboszcza czystą cnotą i uległ zwątpieniu.
Machnął ręką w żłości, głową długo kiwał,
Milczały jednak usta, — czekają kmiotkowie,
Czyli słowa nie rzeknie, — sędzią w radzie bywał, —
Nie pragnął jeszcze gorszyć, aż końca się dowie.
W Troce wrzało jak w ulu... August zagryzł usta,
Gdy sługa doniósł hrabi, że proboszcz go czeka.
Sala była znów wolna, sala była pusta,
Więc tutaj prosić kazał, a złość mu dopieka.
Cicha była rozmowa, ale bardzo długa,
Padaly jednak słowa jak sztylet i cięte;
Niosąc wino już dostrzegł nawet czujny sługa,
Że proboszcz cierpiał dużo, bo chęci nie zgięte!
Całą przeszłość przedstawił przodków z pełnią cześci,
Opinię przyszlą hrabi i Troki zniszczenie,
Ludu rozpacz, gdy krążą takie straszne wieści,
Łagodnie nawet wspomniał, że kała sumienie.
Potem ręczył, Skaliński, Roman, Tomasz — inni,
Na pewno spółkę zrobią, by ziemię ratować! —
»Niechże służy im spółka, siebie dźwignąć winni,
Ja radzie Skalińskiego nie myślę folgować,
Dawno przyjaźń zerwana! — Sądzę, moje progi

Nie będą miały szczęścia powitać tych gości!
W moich żalach i czynach jestem twardy, srogi,
Od dzisiaj obce sercu i ludu żalości.« —
Urwał hrabia i milczał, proboszcz powstał z wolna,
Badawczem zmierzył okiem hrabiego Augusta,
Ukłon złożył z słowami: — **»Bywa chęć swywolna,
Lecz sąd swój każdy pije, aż skrzepną i usta...! —**
Wyszedł potem bez szmeru, hrabia buchnął warem,
Już zrobił kilka kroków, by zgromić kapłana,
Ale stanął przykuty jakimś dziwnym czarem, —
Proboszcza droga życia cnotami zasłana!
Henryk żegnał już w sieni, jako cień dziś blady,
Z żalosnym bólem w oczach: — **»O księżu Wojciechu,
Wszystko, wszystko stracone! Udziel dobrej rady,
Upada z troski dusza... ni słońca! uśmiechu!« —**
Proboszcz dłoń mu uściśnął, łzy go także dławią,
Lecz wreszcie drżący szepnął: — **»Oporów cię ceni,
Znajdziesz serca przychylne, jeśli smutki trawia...
O, zacność równa zawsze i chęci nie zmieni.« —**
Henryk odszedł pocieszon: Klocia intryguje,
Widocznie teraz poznał — **»Och, gdyby tak było!**
Jeden jasny promyczek duszę uratuje,
Miłości czystej źródłem by serce odżyło!« —
Długo tonął w marzeniu, wreszcie wspomniał sobie,
Że dzisiaj Mateusza zobaczy przy stawie,
Może dojdzie tu prawdy... **»Haniu ufam tobie...«**
Szeptały słodko wargi — **»nie stracisz na sławie!« —**

W ciszy palto zarzucił, chwycił laskę zręczną,
Bocznemi wyszedł drzwiami — tu ogród okrążył,
Przeszedł łąkę i pole, duszą czułą, wdzięczną,
Jak gdyby ojca witał — do sługi podążył.

Spostrzegł starzec już z dala postać pańską hrabi,
Naprzeciw wyszedł spiesźnie, do kolan mu runął;
»Starcze, wierny, jedyny, chęci nic nie zwabi!
Odrąca ojciec wszystko, proboszcza usunął.« —
»Wiemy wszystko, och wiemy! Troka, Oporowo,
Jak gdyby jednym sercem związane ze sobą!« —
Starzec z łzami zawoła — »Wczoraj pan na nowo
Z proboszczem radził długo i jego osobą
Dużo myślał podzielać, ale próżne czyny,
Gdy woła wąta, słaba... paniczu mój drogi,
Ileż cierpieć ty musisz z ojca twego winy!
O, poskarż, pomów szczerze, bo ból twój jest srogil!« —
Henryk milczał jak widmo blade, ciche, łzawe...
W tej chwili duszę cisnął ten ogrom — nieszczęście!
Postać oparł o drzewo. — »Hani serce prawe,« —
Mateusz cieszył zwolna — »czy wierzysz w zameęcie?
Gwałtem pierścień wydarła ciotka twoja, panie,
Konieczność smutną głosząc, a Hania ofiarła!
Miłość własną poświęci, żeby ulżyć ranie,
Co gnębi naród biedny, intryga to czarna!
Wczoraj w Troce mówiono, jako ślub wyprawia,
A mężem bogacz sławny... to kłamstwo i zdrada!
Ona w bólu serdecznym tobą myśl zabawia,
Lecz życia szczęście swoje na ołtarz tu składa...
Pragnąc Trokę ratować, wolność hrabi daje,
A sama w przepaść żalu rzuciła się cała...
Smutna błądzi po łąkach, łzawa idzie w gaje,
Na wieść, że zginie ziemia rączęta łamała!« —
Henryk słuch swój wyteżał, każde słowo chwycił,
A łzy jak perły lecą i czyste i cenne,
W oczy starca spoziera — w myślach jego czytał,
W obliczu życie drgnęło, że było promienne!

»Słuchaj« — rzecze do starca — »można mówić z Hanną?
 Nim Troki los zapadnie wyjechać ja muszę...
 Trudno patrzeć na zradę! Może porą ranną?
 Lecz wieczór dogodniejszy — ja fałsze pokruszę!« —
 »Hanna z mrokiem przy brzozie, którą ukochała,
 Tam łyzy popłyną zawsze... a serce jej drżące
 Jako liść tej brzeziny... wczoraj nawet dała
 Z konara zrobić krzyżyk... lecz spokój ja macę...« —
 Henryk głośno zaszlochał: — »Było szczęście blisko,
 A ojciec wyrok wydał na własne swe dziecię...
 Żeby poszło po cierniach! Dzisiaj zrad siedlisko
 Ta Troka droga nasza... ja tułacz na świecie...!« —
 »Jakto, hrabio, a pieniądz?« — woła dobry sługa,
 Inaczej w duszy myślał
 — **»Ten pieniądz przekłęty!**
 Jedna praca zostanie, praca zacna, długa,
 Nie dotknę grosza z Troki, **bo w zdradzie poczęty!**« —
 Słyszac słowa Mateusz zasłał łakę ciałem,
 Całując stopy hrabi: — »Szlachetny mój paniel!
 Tobie włożyć koronę! gdyby dar ten miałem...
 Obronić sławę twoją, to moje zadanie!« —
 Hrabia sługę podnosi, objął ramionami,
 Na pierś mu głowę skłonił: — »Ty jeden mi wierny
 Z moich czasów dziecięcych... rozstrój między nami,
 Rodzeństwo, ojciec zradza... o ból jest niezmierny!
 Gdyby chociaż cząsteczkę ziemi posiadać małą...
 Odrzuca plany ojciec i litość swą głośi.
 Nędznem życiem nazywa pracę naszą całą...
 I więcej jeszcze żaru do rany mi wnosi.« —
 Długo siedział Mateusz obok pana swego,
 Połykał każde słowo, a księżyc przyświecał,
 Podniósł wyraz oblicza hrabi szlachetnego,

Że sługa w zachwyt wpadał, choć spokój zalecał.
Poszli wreszcie w skupieniu... jasna światła smuga
Padała pośród krzewów, srebrzyła i łąki.
Sługę wiodła do domu przykra droga, długa, —
Nie dzielią jednak serca te chwile rozłąki.
Rankiem widział się z dziadkiem, potem Hannę cieszył,
I znowu stare nogi zawłóczy do Troki,
Starzec z innym już planem dążył, chodził, spieszył,
Choć dawno w piersi duszno i słabe widoki.
Chaty wszystkie obiega, mówi, radzi, prosi,
Henryka cnotę chwając i zachość tak wielką,
Wreszcie plan swój wyraźnie kmiotkom wszystkim głosi, —
Dla pana swego zyskał już miłość tu wszelką.

W Troce wrzało jak w ulu... dzisiaj Rodryk będzie,
Amelia, baronowa, rodzeństwo Henryka!
Wrzało w chacie... na łąkach... w dworskich domach...
[wszędzie!]

A Henryk przytłumiony z myślami boryka:
Wieczór spędzi u Hani... jutro, Boże! Boże!
Zapędzą straszne losy daleko... daleko...
Nigdy gleby mu drogiej jego chęć nie wzmoże...
O, prędzej cichej trumny uchyli się wieko...
Myśli czarne go wzięły... siedział pochylony,
Gdy szmer przed dworem zbudził te smętne marzenia:
Widzi z ludem Mateusz stoi przygarbiony,
Gromada hrabię żąda, a woła wśród drzenia.
Z chatek wszyscy wylegli, chłopci, młodzież, dzieci,
Zgrzybiałe matki, żony i hoże dziewczęta;
Tłum ten przyszedł od drogi, jako wichur leci,
Jak fala, groźna, wielka, co w gromach przekłęta.

August spojrział przez okno, zbladły trochę usta,
Lecz nagle war go oblał i pięści zaciska,
Przeszedł sień i werendę, była jeszcze pusta,
Więc kroków zrobił kilka — i stanął już z bliska.
Okiem zmierzył ponuro: — »Cóż to?« — pyta twardo. —
»O ratuj lud i ziemię!« — błagała gromada.
»Milczeć! wrócić do chaty!« — krzyknął ostro, hardo.
»Nie pragnę waszych sądów, nie pilna mi rada!« —
Jęk się rozszedł wśród tłumu, jakaś drobna postać
Na klęczkach idzie z cicha, wyciąga ramiona...
Chciała bliżej przystąpić, rękę hrabi dostać,
A wielką, dziwną mocą tu była olśniona:
»Udziel chociaż kawałka gleby synaczkowi,
Nie ruszy grosza tego, co ziemię zaprzeda!« —
Jęknął z cicha Mateusz — »Sławę swoją wznowi...
Niech pamięć ojców głosi choć mała tu scheda!« —
Ręce pana całował, schylił głowę białą,
By nogi objąć nisko, najniżej jak można...
Wówczas poznał go August, budzi myśl już całą,
Podnieca chęć mu zemstę i tryska bezbożna!
»Łotrze!« — krzyknął z wściekłości — »takie dzieło twoje?!
Buntujesz lud i syna, ty żmijo zajadła!« —
Starca kopał nogami: — »Oto słowa moje!« —
I kopał... kopał dalej... aż głowa opadła!
Tłum się rzucił już z wyciem, ale Henryk wbiega,
Porywa starca z ziemi, w ramionach unosi,
W chacie ciężar składając. — Jęk się — płacz rozlega,
A Henryk z żalem wielkim o ciszę tu prosi.
Starca trzeźwi, ratuje, wreszcie żądał koni,
Cichaczem wywiózł z Troki do księdza Wojciecha;
Proboszcz zacny pomoże, proboszcz ból osłoni,
Dla Hani cios ten — przestрах! — konieczna pociecha...

Proboszcz oczom nie wierzył, — wzdychał, mówił rzewnie,
Gdy ciężko zranionego obejrzał tu sługę.
Słabo życie już drgało, starzec umrze pewnie,
Pamięci przykrej, smutnej, zostawi tu smugę...

Henryk głosił swój wyjazd, nic go nic nie wstrzyma,
Dziś będzie w Oporowie, a jutro w podróży;
Dusza bunt w nim podnosi, serce z gniewu zżyma,
Unikać zemsty musi, w tem palec jest Boży.
Zatarg z ojcem był duży, hańba wkoło czycha,
A chciałby czystym zostać w sumieniu, — w honorze!
Wszystko zrobił, co można! myśli — zważa — wzdycha..
Zapragnął jeszcze widzieć Hanusię w tej porze.
Zatem konno dojechał, pieszo park już zwiedza,
A mrok swe cienie ściele żałosne i smutne..
Nagle, widząc te miejsca, — ból go straszny zbiedza..
O, jacy ludzie twardzi! a życie okrutne!
Wraca, — wraca po latach... pocóż? żeby jęczyć..
Usłyszeć może wyrok tej drogiej istoty...?
Pragnie pracą ją zdobyć, pójdzie dalej ślęczyć,
A ona cierpieć będzie z swej zacnej prostoty!
Myśli przykre go zgięły, stanął drzewem wsparty,
Gdy lekki krok od dworu szeleści liśćmi..
Patrzy Henryk i zważa, mając dech zaparty:
»Czy nigdy szczęścia blaski nie będą tu z nami?« —
Hania przeszła aleję... — jaka szczupła! blada!
W żałobną szatę zdobna uroda jej lśniąca..
Krzyżyk wiesza na brzozie, potem ręce składa,
Modlitwę szepce długą, a płynie gorąca.
Henryk patrzył w zachwycie, — wreszcie płacz posłyszał;
Lecz cichy, smutny, rzewny, jak postać Hanusi..
Pierś mu bólem wezbrała, ciężko łzami dyszał,

Bo dalsze idą męki... nieszczęścia nie zdusi!
Długo walczył z cierpieniem... nagle przyszedł bliżej,
Najczulszym mówiąc głosem: — »Hanusiu jedyna!
Dziewczę słucha, nie wierzy, — głowę schyla niżej —
Ten głos w marzeniach bywał... to złudzeń przyczyna!
Wicher jęczał żałośnie, zrywał liście z drzewa...
A z wichrem płynie skarga: — »Odpychasz Henryka?
Jedne tylko rozkosze dusza z tobą miewa...
Codziennie ból i męka... z tem serce boryka!
Ręce Henryk wyciągnął, — Hanię drżenie chwyta,
A przestach w oczach smętnych, że pamięć traciła...
Tonie w hrabi ramionach... łzami twarz pokryta...
Czy szczęście wraca dawne, czy przeszłość się śniła?
Nagle z jękiem powstaje, twarz purpurą zlewa,
Potęga błyszczy z oczu, choć postać kamienna: —
»Człowiek słabem stworzeniem... dziwne chwile miewa...
Ty, hrabio, wolny! wolny! ofiara niezmienna!
Wracaj, wracaj do Troki, ratuj lud i glebę —
I honor ojca twego, — i dziadów zaszczyty!
Uznaj smutną konieczność, uznaj gwałt, potrzebę!« —
Wołały mężnie usta, a ból był ukryty.
Henryk pragnął tłumaczyć, próżne tylko chęci,
Jak stał jej były słowa: — »Ty wolny, Henryku!« —
Jedno widzi Hanusia, chociaż miłość nęci,
Że Troka z ludem ginie... z nią wpływy bez liku! —
Przeszedł z Hanią do ojców, prosi, błaga, żali, —
Niezłomna jako skała, aż dziadek się wmieszał:
»Póki Troka zachwiana, chęć się Hani chwali,
Nie straci Bóg swych dzieci — i będzie pocieszał.« —
»Jeśli los mię doświadczy,« — mówił Henryk z cicha, —
Niech w oczach Oporowa ja czystym zostanę...
Huczy burza zawzięcie, zdrada mściwa czycha,

Śmiertelną pewnie sławie już zada tu ranę!« —
Żegnał wszystkich najczulej, fala w dal go bierze
Na ciężkie trudy, męki, moralne katusze...
Dziwna moc nim władała, w dużej, w dużej mierze!
Przettrzymał dawne burze, przetrzyma i suszę!

W Troce wrzało jak w ulu... sługa sturbowany
Zakończył życie swoje, — a Henryk w podróży:
Płakał pono nad sługą, płakał pan kochany,
Zamówił suty pogrzeb i usłał wśród róży.
Ojca pismem pożegnał: — »Jadę w świat — na lata!
O, gdyby znaleźć spokój i kącik choć gleby!
Grosza z Troki nie przyjmę... giną drodzy... chata...
Ratować honor muszę z koniecznej potrzeby.« —
List Henryka i wyjazd, sługi śmierć i żale,
Co głośno wrzały w chatach, — wstrząsnęły Augusta:
Najpierw wściekłość go wzięła, krzyczał, biegał w szale,
A potem zwolna przycichł, — pobladły mu usta.
Widzi starca na klęczkach, — widzi ręce chude,
Błagalnie wyciągnięte... to łzawe spojrzenie...
Głos ten drżący, lecz silny... alboż strąci złudę?
To widmo wraca... grozi... i lęka sumienie...
»Udziel chociaż kawałka gleby synaczkowi...
Nie ruszy grosza tego, co ziemię zaprzeda...!«
Słyszy — błaga znów widmo — »sławę swoją znowi,
Niech pamięć ojców głosi choć mała tu scheda...!« —
Głos ten, głos ten okropny! jako dzwon pogrzebu!
Zaciężył w uszach hrabi... a straszne te ręce...
Jakby chwycić go miały... wydać w sądy Niebu...
A wreszcie piekłu rzucić... ku wiecznej już męce!
Postać starca i oczy, słowa pomnikowe,

Jak cień się wlokły ciągle i hrabię dręczyły!
Próżne wszelkie rozrywki, próżne plany nowe...
Na wieki, dniem i nocą z Augustem się zżyły!
Zbывał teraz Wernera, radził z siostrą żywo,
Wiktora zdanie sięgnął, Olimpię zaczepił;
Sądził sprawa z wypadkiem pójdzie w świecie krzywo...
Więc olśnić ludzi trzeba... i gwiazdkę ulepił.
Kłocię wysłał na pogrzeb, chodził długo smętny,
Zapłacił wszelkie koszta, po grobach też błądzi...
Bywał ludziom zagadką, bywał w sobie mętny...
»Nie można krzywdzić syna!« — tu nagle osądzi!
Znowu lecą depesze, zjeżdża agent inny,
Na nowo plany, akta, rysują — gromadzą;
Werner siły wytęży, bardziej jeszcze zwinny,
Wszak sprawę wygrać trzeba! ztąd nocą już radzą.

W chatach wrzało jak w ulu... jako grom te wieści,
Że tylko część Troki dla syna została!
Cztery padły majątki! płacze lud z boleści...
Fortuna, sława pańska runęła tu cała! —
August spiesznie wyjeżdżał, pilna była sprawa,
Nie pragnął słyszeć sądu i panów — i ludu;
Złoto w kufrach wywoził, ale czarna... łzawa...
Opinia śladem poszła... przydała i trudu!
Chłop się w chatach pochował, słysząc dziedzic jedzie,
I zaparł drzwi swe szczelnie, bo lękał zarazy,
Żeby w dzieci nie wsiąkła... — »Zdrajca! lud nasz w biedzie
Zaprzedał z ziemią ojców!« — wyjęczał z odrazy.
W Troce wrzało jak w ulu... Wojna w każdej celi,
Jak gdyby dwie królowe rządziły tu spolem!
Jedna zginać tu musi w krwawej walk topieli,

A chociaż blask męczeństwa zabłyśnie nad czołem!
Walka była zacięta, — albo śmierć — lub życie!
Witano obcy żywioł z przekleństwem na usty...
Idą rządy stanowcze, idą głośno, skrycie,
Wygnano lud nasz z chatek... a łan dziś jest pusty!
Mowa obca po chatach — wiarę obcą głosi,
Wyśmiewa przodków zacność, ich czyny, mozoły...
Ona lęk nam po błoniach — niby jad roznosi,
Czuwają zatem wszyscy, pracując jak pszczoły.

Pieśń XIII.

Walka o byt i honor.

Brzoza miła, pamiętna, w mgły jesienne zwita,
Odwiedza jednak Hania i długo tam marzy...
Dzisiaj poraz już trzeci list Henryka czyta,
O, jakim zacnem słowem i cieszy i darzy:
»Dużo, dużo, tracimy, moja Haniu droga,
Nie wróci nigdy gleba na własność narodu!
Sława przodków shańbiona, moc tu obcych wroga,
By bronić świętej sprawy — potrzeba zachodu.
Dzięki Niebu za częśćkę chociaż małą gleby,
Konieczny posterunek, by radzić i działać!
Może zdołam tu czynem poprzeć chęć, potrzeby,
O, serca nasze muszą płomieniem zapalać!
Może zdołam choć trochę zmniejszyć ojca winę
I zmazać grzechy ciężkie w obliczu narodu!
Los mię wprowadzie już ugiął... jako słabą trzcinę,
Nie siedzę jednak tutaj bez trudu, powodu.
Pragnę zbadać tu przemysł, potem Haniu miła,
Przecierpieć musi serce te męki, katusze,

Które strata sprowadza... jakaż winy siła!
Tęsknota, wstyd i hańba rozrywa mi duszę! —
Ojciec osiadł w Paryżu, hańba w ślad się włości...
Ha, karcą, gromią pisma i duże i małe,
Echo w dworach i chatach, pójdzie w świat — dokuczy...
I zawsze dzwonić będzie przez wieki już całe!
»Zdrajca! zdrajca! sprzedawczyk!« ciągle słyszysz, Haniu,
O, jakżeż syna gnębi opinia rodzica...
Jaka chmura to czarna w naszych prac zaraniu!
Tysiące razy w życiu rumienia się lica!
Ciotka pisze, że ojciec coraz bardziej smętny,
Zakazał wglądać w pisma całemu domowi,
Ale czyta skwapliwie! — Każdy gość mu wstrętny,
Bo Trokę, — sprzedaż trąca, — torturę odnowi.
Potem w pismach tłumaczył, popadł w sieć obłudy:
»To kłamstwo!« — w łamach czyta »uwierzyć nie zmusi!« —
Posłał pieniądź na biednych, — próżne były trudy...
Krzyknęły pisma wszystkie: **»Upiora nie zdusi!!**
Czarna księga umieści sprzedawczyków słynnych
Ku wiecznej, wiecznej hańbie!« — I Rodryk w rozpacz,
Swoją ziemię zaprzedał...! Iluż takich winnych?!
Czy kiedy Bóg uczynek złagodzi — wybaczy?!
Ojciec grywa na giełdzie z całą namiętnością,
Czy ból swój myśli stłumić? Czy mało mu złota?
Wiktor siedzi w Monacco, siedzi z zaciętością...
Czy więcej zrodzić wstydu ich bierze ochota? —
Haniu droga, jedyna, kiedy wrócę, kiedy?
Aż trochę echa zcichną, za bardzo mię trują!
Tobie, twemu dziadkowi, zlecam pieczę schedy,
Bo dusze wasze zacne tę stratę pojmują!
Cząstka Troki małańka wobec wszystkich ludzi,
Lecz w naszym sercu, Haniu, to skarb i krynica!

Niechże świeci nadzieją, siły nasze budzi,
Aż jasny życia promyk rozjaśni nam lica!« —
Hania pismo składając, wniosła w niebo oczy,
A w twarzy blask zajaśniał nadziejskiej wdzięczności,
Myśl jej tonie w błękitach, każdą gwiazdę zoczy,
Z księżycą srebrną falą płynęła w błogości:
»Chwała Tobie, o Boże, wielki, niepojęty,
Za każdą piędź tej gleby, co dusza łaknęła!
Mała bryłka nam droga, każdy zagon święty,
Pragnienia wszystkie życia ta ziemia wchłonięła!
Ciebie wielbi ta chmura, która łany rosi,
I miłe ciepło wiosny, co pąki rozchyli,
Każda rosy kropelka, która moc przynosi
I skwar słoneczny, wrzący, co ziemię rozpyli.
Niechaj głosi twą chwałę każdy listek drobny
I kwiatki z wonnej łąki, — i kłosa na łanach,
Dużo czci też przymnaża ptaszka śpiew ozdobny,
Co idzie borem sinym i tonie w polanach.
Nawet cicha mogiła starca zbiedzonego
O Boskiej głosi mocy, — on życie postradał,
Ale glebę ocalił, broniąc pana swego!
Kierunek Stwórcy chęciom rozkazał i zadał!« —
Hania długo marzyła... srebrna mgła jesienna
I szmer pożółkłych liści nastrojał ją rzewnie,
W duszy czasem błysnęła jakaś myśl promienna,
Że Henryk pracą honor ocali tu pewnie.
Zwolna wreszcie powraca wiarą pokrzepiona,
Gdy wieśniak z białym włosem zastąpił jej drogę,
Stary, wierny Witowicz; postać przygarbiona,
Czy radość Hani niosła, czy jaką przestrożę?
Z Troki przyszedł Witowicz, w Troce przebył lata,
Na wszystko pilnie patrzył i myślał — i sądził;

Dzisiaj prawie rozpacza, chociaż cieszy brata,
Po drogach, wioskach chodził — i pytał — i błdził.
Ciężko, ciężko na sercu, idzie skarżyć Hani,
Dziedziczka przyszła jego pod pana opieką, —
Uniósł czapki baraniej, objął nogi pani,
A lzy mu napływały pod ciężką powieką:
»Troka nasza przepadła! Troka nasza śliczna
Nazwana Bismarckshausen *)! O, tęskno, rzewliwie,
Szumią drzewa nad stawem, płacze diatwa liczna,
Żałobne płyną żale po chatach i niwie.
Straszne dzieją się sprawy w naszych dawnych włościach:
Włodarze, rzemieślnicy i rządcy są inni,
Wszystko obce, zawzięte! Jęczy lud w żalościach
Na los swój wyrzekając... o biedni! niewinni!
Stają w progu, po drogach, załamując ręce,
Obczyzna gnębi z dworu, do chatek się ciśnie!
Tułać, tułać się muszą, wydać dzieci męcę...
A z pracy ciężkiej, krwawej, aż ręka tu wiśnie.
Rzucić muszą te chaty, które wychowały
Już całe pokolenia w ojczystej swej mowie,
Rzucić święte ołtarze, które wiarę dały,
Krzepiły dzieci, wnuki, w gorącym tu słowie.
Rzucić muszą tę ziemię, w którą lzy nasiękły
I pot ich krwawy, dzienny, — i prochy ich ojców...
Wszystko stracą, co drogie! Bóle duszy jękły...!
O, ileż przebyć muszą żalosnych ogrojców!
Ciężka troska przygniata, serce skargę miota:
»Przekłęte ręce takie, co swoich wydały!
W chatach, w dworze, w kościele, rozwarł obcym wrota!

*) Nazwy dawne, polskie miejscowości bywają często zamieniane na niemieckie.

Kamieniem będzie duszy nasz smutek tu cały!«
Chodzę wszystkich pocieszać, ale próżne słowa,
Po rosie skarga płynie od włości do włości,
Płynie dołem i górą, płynie w dal dąbrowy,
Żalobną pieśń wydzwania o ludzkiej podłości.« —
Hania głowę zwiesiła pełna bólu, sromu,
Sprzedawczyk przyszyłm teściem... »O Boże, mój Boże!
Alboż wiecznie się czepia boleść duszy, domu?
Czy wróci sława hrabi, czy kiedyś się wzmoże?«
Smutnem echem jej dusza nagle odpowiada:
»Nie wróci sława nigdy, stracona na wieki!
Czarnym kirem na życie nawet syna pada...
Do grobu łzami zwilżać tu będzie powiekil!«
Boleść Hanię ugięła, ale wzmogła siebie,
Do dziadka wiedzie starca i żali — i radzi, —
Potem książki przyniosła, darząc lud w potrzebie,
Duchowa strawa krzepi i braki wygładzi.
Czujną swoją opieką, niby nicią przędzy,
Obwiodła glebę Troki, co hrabi została,
Daje pomoc duchową, daje wsparcie nędzy,
Aniołem swoim Troka Hanusię nazwała.
Ona w rannych godzinach, w dziennej swojej pracy,
I w nocnej długiej ciszy — o jednym pamięta:
Honor trzeba ocalić, miarą trudu płacy,
Niesława wówczas z syna tu będzie odjęta!

Strata Troki i w innych budzi dawne chęci,
Topolin rozsprzedany w połowie na włości,
Skrzętna praca Rolskiego naszych chłopów nęci,
Pragnęli mając glebę, hamować podłości.
Dużo rąk nam przybyło, dużo myśli zdrowych,

Uderzył Roman w dłonie, że wygrał szczęśliwie!
Rosną chatki na glebie, pełno stertów*) płowych,
Włóścianie silnym duchem pracują na niwie,
Łącząc przemysł z rolnictwem: — Rolnik orze pługiem,
Uderza młotem kowal przy drodze krzyżowej,
Krawiec mieszka na górze, szewczyk z szydłem długiem
Rozmachął chude ręce w swej chacie też nowej.
Nawet sklepik już mają z chlebem, z kaszą, z solą,
A dwór dostarcza książek, do wiedzy zachęca,
Razem idą do pracy, razem krzywdy bołą,
Bo silny zwykłym trybem nad biednym się znęca.

Janusz często tu bywał, z Rolskim pisał, radził,
Romana zdania słucha, zaprawia się w pracy,
Czoło chmurne Felicji szczerą chęcią gładził,
Nagrodą bywał uśmiech, a łaknie tej płacy.
Ile razy Felicja wolność jemu dała,
By możnej szukał żony, — to cierpiał dotkliwie...
Ona, jako Hanusia, jedno w myśli miała:
Upadek Oporowa — tę stratę na niwie!
Smutne były widoki, Janusz naglił dziadka,
By również tworzyć włości, lecz starzec się chwieje,
Pragnął całość ratować, — alboż sprawa gładka?
Tysiące złożyć trzeba, więc tracą nadzieje!
Choćby folwark rozsprzedać? — »Ale, Boże miły,« —
Zajęczał zwykle Czesław, — »tu czasu nie mamy!
Burza trochę ucichła, ale mało siły,
A przyjdzie — rady żadnej już sobie nie damy.« —
Werner kusił Czesława, ale kusił skrycie,
A w słabem ciele dusza odporu nie miała,

*) Stert - stóg

Z piękną jego fortuną nikło także życie,
Lecz woła silna żony pobłądzić nie chciała.
Pisma wszelkie agenta razem z mężem czyta
I zdrową rzuca radę, o honor potracą,
Wreszcie z lękiem stanęła — jakby w ziemię wryta,
Gdy Werner zjechał nagle i spokój zamąca.
Tadzio jeden był w domu, reszta w Topolinie,
Agentą przyjął Czesław, a przyjął go mile,
Niby sługę dawnego, topiąc sprawę w winie,
Lecz czuwał Tadzio obok, a czuwał w swej sile.
Werner honor przedstawiał jako bańkę pustą,
W milczeniu słuchał Czesław, lecz czoło pochylił,
Pot ocierał kroplisty batystową chustą,
A w twarzy lęk się przebił, by drogi nie zmylił.
Tadzio patrzył i czekał, iskra błysła w oku,
Postąpił kilka kroków i słuch swój wyteżył,
Siłę ramion próbował, przyszedł bliżej — z boku,
A pierś swą wyprostował, muskuły wyprężył.
Werner winem podniecon znowu złotem nęcił,
Korzyści obiecując olbrzymie — olbrzymie!
Gromem Tadzio uderza, kołnierz nagle skreślił
I drzwiami wyprowadza: — »Za honor i imię,
Które kalać zamierzasz!« — krzyczą młode usta,
A ręce popychają agenta i szpiega.
»Zdrada!« — Werner wyjąkał — »Jaki czyn! rozpusta!«
Wyrywa z rąk się chłopca, gwałtownie nalega.
Poszły w górę ramiona, jako cepy wałą,
Postacie walczą z sobą od ściany do ściany,
W końcu zwarły się w bryłę, żarem dłonie palą,
Aż wreszcie runął Tadzio, posoką zbryzgany.
Wówczas puścił go Werner, umykając z cicha...
A Łucja Tadzia wiedzie do ojca i męża:

»Słuchaj,« — mówi w rozpaczy — »kuszą ciebie licha,
Aż w dzieciach krew się burzy! odepchnij ty węża!« —
Czesław zerwał się nagle, pragnąc karać syna,
Lecz krew buchnęła chłopcu ustami i nosem...
Pobladł ojciec straszliwie, jęcząc: — »Moja вина!
O, chciałbym w szczęściu widzieć, nie gnębić was
[losem!« —
»Szczęście nasze to honor, nieskalany, czysty!« —
Wyszeptał Tadzio z cicha blademi wargami,
Potem opadł na sofę, z trudu w oczach mglisty...
»Kołują ciągle sępy« — dorzucił — »nad nami!
Wszystko pragną rozszarpać, odrzeć z ziemi! z sławy!
Na hańbę rzucić światu... o Boże, mój Boże...!« —
Głos się chłopcu przełamał... Czesław cały łzawy
Przygarnął syna ręką: — »Niech Bóg ci pomoże,
Obyś został tu czystym!« — dodał słabym głosem,
O fotel oparł postać zmęczony zdarzeniem.
Łucja Tadzia pociesza, przestraszona ciosem,
A Czesław stoczył walkę ostatnią z sumieniem! —
Chłopiec popadł w gorączkę, ojciec cierpi z synem...
O, sprawy Oporowa marnują te siły,
Które gasną w Czesławie. — Janusz działał czynem,
A dziadka zdrowe rady nadzieją żywiły.

Werner płazem nie puścił, szukał zemsty chciwie,
Podburzył wierzących, zlecieli jak kruki,
Żeby całość rozszarpać! — Cios zagroził niwie...
Skaliński stanął skałą, — a razem i wnuki.
Roman zjechał na miejsce, widząc czyn Wenera,
Proboszcza wezwał spiesźnie, Tomasza, Artura,
Kilku zwołał sąsiadów. Rada szybka, szczerą,

Rozwiała przykrą burzę, co niosła tu chmura:
Spółkę myślą zawiązać, żeby ziemi bronić,
Wzajemne sprawy poprzeć i groszem i radą,
Spółka winna ocalić, spółka dach ochronić,
Za silnie wieją prądy, a grożą zagładą.
Roman chęcią zagrzany wołał z piersi głębi:
»Czuwajmy, bracia mili, jak czuwać przystało,
Walał gromy nad chatą, ostry prąd nas gnębi,
Ofiary gleba żąda, gdy wybrnąć ma cało.
Złączmy ramię z ramieniem, praca cicha, wspólna,
Na zacnych wsparta chęciach tu z bólu ochłodzi!
Siły w przemysł gromadzić, — zdrowa myśl ogólna,
Z jednostek olbrzym wstanie i prądom zagrodzi.» —
Roman działał z Skalińskim, ster im powierzono,
Choć zjazdy były liczne — i spółka stanęła!
Pełną życia energią chęci zaogniono,
Lecz w zamian złość i ludzka swe żagle rozdeła.
Werner działał skwapliwie, działał sztucznie, skrycie,
Jak kret się podkopywał w podziemne roboty,
Zdobyć pragnął pozycję, stłumić nowe życie,
Co cuda zdziałać mogło z swej szczerzej ochoty.
Oporowo dzierżyło ważne stanowisko,
Graniczy z Troką można, co niszczyć tu miała
Wszelki zaród polskości, — obcy prąd za blisko,
Koniecznie plac ten zdobyć komisja zechciała.
Zbór tu stawiać zamierza, swoją podnieść wiarę,
By ogół gwałtem wchłonać, — a wchłonać na wieki!
Dużo popsuł Topolin, przebrał Roman miarę,
Skaliński uporczywy, — czy tryumf daleki?
Werner lisa udaje, kusi niebezpiecznie,
Przeprasza natarczywie za scenę ostatnią,
Pyta nawet o Tadzia, w końcu wtrącił grzecznie,

Że zdwaja sumę kupna, — by chwycić już w matnię.
Czesław leżał obłożnie, walka siły trawi,
Nie wróżył życia Tomasz i badał go właśnie.
List Wenera wręczono, — chociaż serce łzawi...
Godziny policzone... na wieki li zaśnie?
Słabą ręką rozerwał pismo guwenera,
Przeczytał, — z wżgardą cisnął i zemdłał na chwilę..
Potem zerwał się z słowy: — »Podły czyn Wenera!
Korzysta z położenia... czujnością się siłę!
Pójdę śladem mych przodków, śladem nieskalanym!« —
Po ojca rękę sięgnął, do ust swych przycisnął:
»Byłeś, ojcze, mentorem, zacnym, ukochanym,
Od dawna jad pokusy przez ciebie tu prysnął!
Siły moje już gasną... dzięki jednak, Boże,
Że schodzę czysty z świata — gdy działać nie mogę!«
Żonie ręce całował, tulił dzieci hoże,
Powtarzał: — »Idę czystym... w wieczności tę drogę..
Niemoc znowu ogarnia, ale niemoc inna,
Oblicze światłem błysło, nadziemskim spokojem..
Z walki trudnej tu dusza poszła w lot niewinna, —
Męczeńską niosąc palmę... wleciała aniołem! —
Straszne idą pokusy, nacierają gromem,
Że zachwiać nawet mogą i zacne tu dusze!
Chwała temu, co zbudzon, pojmie cios nad domem:
Wyniesie honor czysty, choć przejdzie katusze! —
Smutek kiry swe ściele, zabrzmiał płacz i łkanie,
Żałobne płyną modły i pieśni do Boga,
W duszach bólem znużonych słyhać głos — wołanie,
„Wytrwałość, ona jedna zbawienia tu droga!“

Działał ojciec złamany, działał Janusz smutny,
Bo ciężkie obowiązki na barki spadają,

Z glebą tyle zachodu, przybył cios okrutny!
Czy serca, pilne ręce tej pracy zdołają?
Cios ten jednak zapalił jeszcze więcej chęci
Gorliwość zbudził w ziomkach, by zacnych ratować.
Czysty honor zajaśniał, blaskiem swoim nęci,
Więc najpierw zjazd był liczny, by zwłoki pochować,
Potem spółka działalność nakreśliła swoją:
Odpadła częśćka ziemi, lecz częśćka nieznaczną,
Swoim kmiotkom oddana, — zatem ranę goją,
Skończona była sprawa dla serca niesmaczna;
Ale ludu przybyło, ludu z dobrą wolą,
Co kochał język, wiarę, najdroższe spuścizny,
Ludu, który dla Troki bywał w oku solą,
Zamiary niszczył tajne, hamował trucizny.
Cios ten zbudził Henryka, przybył płakać z Hanią,
Zarazem czynem działać jak godność kazała,
Pragnął spokój jej zwrócić, była serca panią,
Ambicję jego stłumić ta boleść musiała.
Tulił ręce dziewczęcia, dając obietnicę,
Że odtąd częśćka Troki królestwem mu będzie!
Chociaż los się nasroży, buchnie z chmur śnieżycę,
Wraz z glebą swoją drogą i spokój nabędzie!

Henryk działał podwójnie, w kraju, także w dali;
Poruszył w Anglii Watta, by stawiał fabryki,
Dochód stały przybędzie, dochód klęskę zwali,
Pokryje niedobory i dawne wybryki.
Sprzedaż Troki jak widmo prześladuje syna,
Że z bólu jeszcze dzisiaj przyciskał swe skronie!
Pragnie cudów dokazać, pomysł nowy wszczyna,
Za kordon wysłał pisma — ku gleby ochronie.

Bracia pojną potrzebę, zrównoważą sumy,
Co naszych skupić mają, przeczują urazę
Ciężko, strasznie, dotkniętej narodowej dumy,
Przyniosą ulgę w klęsce, tu tworząc oazę:
Ona w puszczy nas krzepić, w skwarze winna
[chłodzić,

Pragnienia zaspakajać i poprzeć w możliwości,
Jako twierdzy dowódzca okiem pilnem wodzić,
Popierać radą, czynem, w szlachetnej dążności.
Sprawa była już w biegu, bank utworzyć mają,
Ratunkiem będzie braci, doraźną pomocą.
Wielcy, zacni magnaci znaczne sumy dają,
Galicja górę bierze, aż czoła się pocą.
Szlachta składa swe grosze, możliwe sfery inne,
A wszyscy wyczekują, jak gdyby zbawienia!
Cele znaczne, — szlachetne, — cele wskroś niewinne,
Wszak braci uciśnionej potrzeba wytchnienia?
Ziemi naszym ubywa, — z ziemią stanowiska,
Co wolność czynu daje — i wolność tu słowa!
Sprawa groźna w następstwach, sprawa sercu bliska,
Że dusza z trwogi mdleje — i chyli się głowa!
Henryk dobrze zrozumiał, — nagli, woła, prosi,
Skaliński dopomaga i Tomasz jest czynny.
Doktór wszystkim ludowcom groźną przyszłość głosi,
Zacięty w sprawach pilnych i nader tu zwinny.
Rozpacz prawie go pchała, działał w podnieceniu,
Nie znając szczęścia w domu, — zapragnął go w czynie!
Zosi obłęd zagrażał, wrzała w posądeniu,
Że Tomasz Hanię wielbi, — przeczuła, że ginie!

Tomasz częściej, niż zwykle, bywał w Oporowie,
Społeczną party pracą, — w niej zazdrość tu rosła...

Rosła w chwilach samotnych, w sercu, jako w głowie,
 Aż zmysły odbierając — na falach uniosła.
 Próżne Hani zaklęcia, próżne Łucji słowa,
 Namiętność wielka, straszna, szarpała jej duszę!
 Włos już troska zbieliła... tryska myśl znów nowa,
 Że topiąc swoje ciało... ukróci katusze.
 Tomasz czuwał nad chorą, ale widząc chęci,
 Załamał z bólu ręce — i uznał zbłąkanie!
 Zosię woda — ta zimna — Zosię woda nęci...
 Zatopi żar zazdrości... zatopi płakanie..!
 Piekło w duszy i w sercu, ogień, płomień, wary!
 A zemsta straszna w myślach, a dzikość w spojrzeniu,
 Z głębin zieje zmysłowość, jako smok z pieczary,
 Rozciąga szpony swoje i truje w uśpieniu.
 Ani jednej już chwili... Tomasz winien! zdradza!
 Szalenie przecież kocha... o Boże! mój Boże!
 Ona niczem do Hani... Hani rozum — władza!
 Już nigdy wiedzy swojej nie dźwignie, nie wzmoże!
 Woda... woda... tam zimno... w sercu... w duszy pali...
 Tam cisza długa... wieczna... tu bóle bez miary...
 Biegnie z włosem rozwianym, — spojrzysz w głąb tej
 [fali:
 Porywa! ciągnie... ciągnie... i żąda ofiary!
 W piersi płomień znów buchnął, w głowie wir
 [straszliwy!
 Ustanie wszystko z chwilą... więc dalej — i śmiało!
 Nagle rzuca się Zosia... słysząc jęk dotkliwy...
 Plusnęła woda w górę... i w nurtach zadrzało...
 Kręgi idą po tafli... płyną szerzej... płyną...
 Plusnęło znowu zlekka... to ręka kobieca...
 Kręgi toczą się mniejsze... zwolna całkiem giną...
 Aż śmierci w fali srebrnej gromnica przyświeca:

Księżyc cichy wypłynął w całym majestacie,
Zajaśniał światu pięknem przybrany w swe blaski.
Dusza Zosi odeszła w rozszarpanej szacie...
Rozgrzeszą chyba biedną zbłąkanie — i łaski. —

Tomasz wracał z podróży, — pilnie szukał Zosi,
Więc rozruch powstał w mieście, lecz próżne starania;
W pismach głosi i błaga, rozpacz ból przynosi,
Nie daje sercu ulgi, nie znając płakania.
W kilka długich tygodni dziwne krążą wieści:
Znaleźli ludzie ciało nadobnej kobiety!
Tomasz w swojej rozpacz prześzedł szczyt boleści:
Cuchnące Zosi ciało... bez wdzięków podniety...
Rozpacz w sercu się wzmogła, — wołał, krzyczał,
[szlochał!

Jak wulkan zionął ogniem, — lecz buchły popioły!
Świat zakryły i życie... przecież Zosię kochał?
Opadły wreszcie dymy — przez bólu mokoły,
Ujrzał światło prawdziwe: kochał Zosi ciało...
A dusza obojętna i była i będzie!
Wówczas — w głębi — sumienie dziwnym lękiem drżało,
Nie znalazł spokojności ni w domu — ni wszędzie.
Z warem chwycił się pracy, z waru niepojęty!
Olbrzyma chyba zmęczy, a niczem mu trudy!
Czynem głużył sumienie, ducha czynem wzięty,
Pogardzał śpiącą ciszą, nie znosił i zmudy.
Jeździł, pisał i wpływał, wszystkie oddał grosze,
Co tyle lat gromadził — na ludu oświacie,
Mówiąc: »Dobrym uczynkiem ulgę w dom przynoszę,
Nieszczęsnym ceniom Zosi oddaję zapłatę!«
Poparł pisma na krańcach, poparł księgozbiory,
Zakładał towarzystwa ludowe, kupieckie,

Pracą ciało przygnębia, z pracy bywa chory,
Lecz duszę uszlachetnia, choć żądze zdradzieckie.
Jedno widział, och widział... cenił godność Hani!
Zapragnął czci kobiety, nie mogąc miłości...
Hania sercem przeczuła... gromi, prosi, gani,
Wskazuje cel uczynków, szlachetnych dążeń.
Pojął dziadek Tomasza, razem idą w parze,
Zaleca spokój w czynach, aż dusza odżyje.
Tomasz radę odrzucił, tonął w pracy gwarze,
O, wszystkie bóle serca w tym ruchu ukryje!

Pojął także go Henryk, ileż cierpi zawsze,
Gdy przeszłość ojca wspomni... i teraz znów wieści!
Wieści straszne, dotkliwe... alboż będą krwawsze?
Na giełdzie hrabia stracił, co zyskał bez cześci!!
Poszły grosze zdradzieckie, poszły niepowrotnie!
Niegodne zacnych ludzi... w tem sprawa jest Boga...
Poszły w ręce drapieżne, jako dym — sromotnie!
Niebiosy sprawiedliwe, lecz skryta ich droga...
Poszły grosze, och poszły! chociaż miały siłę,
I gleby nabyć mogły tu kawał wyborny,
Ale w duszy zasady były wskroś przegniłe,
Choć pozór miały gładki i nawet wytworny.
Poszły grosze, — niesława — jednak idzie, gnębi,
Krzyknęła prasa cała: — »Sprzedawczyk to traci!« —
»Znowu czyny wytknięto, znamię hańby ziębi,
Że przeklął ród swój cały — i dzieci — i braci!
W swoje strony nie wróci, lęka cienia swego,
Bo palcem wytkną zdradę — i spluną z pogardą,
Ciężkie dni znów powstały z szczęścia promiennego!
Wszak pojdziesz duszę ojca...?! Jak dawniej jest hardą!« —

Wszystko pisze Klotylda, sama udręczona, —
»Amelię pojął Cezar,« — dodaje z nienacka —
»Z stratą giną przyjaźnie, — odkąd Melcia żona,
Pogardza biedą naszą i żyje z junacka.
Życie wiedzie książęce, sypie złotem z góry,
Przepłaca konie, stroje, baluje bez miary!
Nosi imię niegodne polskiej naszej córy,
Oddana żądzom ciała, — nie bojąc się kary.
Cezar patrzy przez szpary, ale chęć się budzi,
By zbadać tajemnice powabnej swej żony,
Dzisiaj nawet sam siebie, chociaż niezdrów, trudzi,
Amelia jednak czuwa, pilnuje obrony.« —
Oczom Henryk nie wierzy... czyta po raz czwarty:
»Więc ojciec stracił wszystko! Amelia bryluje...
Biednym teraz pogardza!« — długo myślał wsparty,
Aż nagle serce syna i litość uczuje.
Twarz zasępił w boleści... — »Cóż tu począć z ojcem?«
Wtem Wiktor w myślach stanął... »Ha, przecież
[zamożny!«

Głowę nisko pochylił — jego los — ogrojcem...!
Lecz woli życie takie, bo cel tu jest różny.
Odtąd więcej się silił, szukał ukojenia,
Z Tomaszem tonął w pracy, — zwycięstwo być musi!
Całą siłę skupili w jeden punkt marzenia:
Spółeczna czujność nasza — intrygi przydusi! —
Praca wspólna więc rosła, jako moc potężna!
Owoce Roman zbierał już nawet wyraźne,
Los ustalał rodzinie: Iza cicha, mężna,
Złożyła śluby Bogu, — a wcale pokaźne
Sumy wniosła zakonom; również Lodka młoda
Artura żoną będzie i także posażna.
Kazio kształci się dalej, Roman radę poda,

Posada inżyniera doniosła i ważna.
Wanda czuwa nad ludem, nieci światło w chatach,
Zagrzewa serca zimne do piękna i cnoty;
Znała swoje zadanie, jako mąż na czatach,
Gdy zewsząd podstęp grozi, przymnaża roboty.
Felcia z Hanią czekały innej, lepszej doli,
Tu szczęście osobiste hamować nie miało!
Położenie zbyt groźne! wszystkich silnie boli,
Zaledwie chwilę ulgi niekiedy i dało. —

Pieśń XIV.

Przedświt.

Świta wiosny poranek... jaka woń i blaski
Do oczu, piersi cisną! to zorza powstaje!
Barwi złotem, purpurą, światła dając łaski,
Zapala obłok jasny — i lasy — ruczaje,
Budzi kwiaty na łąkach, — budzi ptaszki śpiące —
I mrówek liczne gniazda — i serca tu ludzi!
Wszystko w blaskach skąpane, wszystko chęcią drżące...
O przedświt — dusz powstanie... do życia więc budził!
Kwiaty wonią trysnęły, ptaszki dzwonią pieśnią,
A mrówek całe gniazda ruszyły gromadą.
Człek zwątpieniem pogardził, jako zimy pleśnią,
I dźwignął ducha swego zamiarem i radą.
Świta przecież ratunek! Poznań bank ustala!
Skupywać włości będą i duże i małe,
Swojej braci oddając! — Czyn ten chęć zapala,
Odżyje społeczeństwo zgnębione już całe.
Ileż budzi nadziei! zorza świta, zorza!
Nie zginie gleba nasza i ojców spuścizny!

Idzie radość po łąkach, płynie głos od morza,
Od Warty, Wisły naszej: — »Nie strują zgnilizny!« —
Bracia dalsi wsłuchani, — jakie będą wieści?
Wszak grosze z sercem dali, — nie dzielą kordony; —
Sprawa wielka, poważna, narodowej cześci!
A każdy zacny, prawy, tą sprawą wzburzony! —
Świta wiosny poranek, jaka woń i blaski!
Tą wonią chęci nasze, a blaskiem tu praca:
Rusza mrówcze się gniazdo, działa z wspólnej łaski,
Nagrodą pamięć będzie, — a przyszłość ją splanca.
Pracy dużo, och dużo! wisną nawet ręce,
Nie starczy dłoni, grosza, — zachwianych bez miary!
Nowe płyną fundusze, dając ulgę męce...
Ha, prędeż, bracia, prędeż! nim zbraknie tu wiary!
Wszystkiej gleby nie zbawią, ale część pewną,
O, gleba posterunek choć w części jest ważny!
Praca zatem niech kwitnie, chociaż z pieśnią rzewną,
A czyn niech każdy będzie roztropny, uważny!
Poznań dzisiaj stolicą, mieści oba prądy:
Komisja bank swój gnieździ — i nasze są banki.
Płyną prądy pod falę, — słychać plusk — to sądy, —
Dwa nowe pancerniki tu staną już w szranki.
) Jeden duży i możny, milion głów wypreża,
Olbrzymią pierś swoją porusza tu fale,
) Drugi mniejszy, lecz silny, zapał w szal wyteża,
Na żaglu widne hasło: — »Ja ciebie ocalę!«
Płynie duży pancernik, bierze kawał morza,
Chorągwie wiesza swoje... wtem mniejszy przybywa,
Klinem sadi w tę przestrzeń... Zorza! świta zorza!

*) Komisja kolonizacyjna, niemiecka.

**) Bank ratunkowy, polski.

Bo skałę zdobył sobie, a świeci jak żywa!
Zatlił morską latarnię, która blaski nieci,
Zagrzewa serca, dusze do chęci, ofiary, —
Światło, które spuścizny narodowe kwieci,
Ojczystej mowie, wierze, roztacza sztandary.
Walka długa, och długa, ileż cierpień, nędzy!
W obronie swojej własnej pancernik pracuje,
Sieci snuje ostrożnie z delikatnej przędzy,
Olbrzyma śledząc ciągle, — kotwicą nurtuje.
Niechaj wpije się w skałę chociaż tylko jedną,
Nie zginie ślad jej nigdy, bo tkwiła w granicie!
Mając taką oazę, chociaż nawet biedną,
Nadzieja błysnie gwiazdą, roziskrzy to życie:
W chatach, w dworach pojęcia zatli wyższe, inne,
Rozbudzi miłość gleby i miłość do wiary,
Drogiej broniąc spuścizny, wyda myśli czynne,
I zrodzi środki zacne, szlachetne zamiary. —
Olbrzym siły wyteżą, pada cios po ciosie,
Umysły słabe, chwiejne, a złoto jest silne!
Idą wieści żałobne, jako dzwon po rosie,
Że obszar przepadł duży, te wieści niemyłne!
Tworzy włości komisja, stawia gumna, szkoły,
I zbory murowane i swoich tu zwabia,
Zapał budzi nienawiść, idą w ślad mozoły —
I coraz więcej ziemi pochłania, zagrabia...
Ileż sławy straciła! iluż zdrajców rodzi!
Z boleści dusza krzepnie i korzy się głowa...
Ucho ciągle wyteżasz, czyli zdrada płodzi?
O, pada cios po ciosie... aż gleba już woła:
**»Byłam tobie tu Matką, byłam karmicielką,
Wpajałam cnoty przodków i wiarę praojców!
Dajesz, synu, kajdany... wielbiąc podłość wszelką!**

O, ileż dni w tem życiu... och! tyleż ogrojców!« —
Próżne jęki i skargi, chociaż święta — Ona!
Niewierni poszli w lewo, a było ich wiele!
Poszli słabi z magnatów, poszli z szlachty grona —
I z sfer pomniejszych włości — bo zdrada się ściele!
Idą zacni w zapasy, filie banku tworzą,
Skupując, włości robią, — z poważną tą chwilą
W każdą skibę na łańcach zdrowe myśli worzą,
Najlepsze budząc chęci, — w przemyśle się silą.
Idą zacni w zapasy, z pracy karki wisną,
A pot się leje z czoła i garbią się krzyże!
Wolą torbę żebracza, z wżgardą grosze cisną,
Lub papier wartościowy, co podłość tu strzyże!
Wolą jedną koszulę, wolą kosztur biały —
I stratę nawet gleby, — by honor ocalić!
Honor godło tu zacnych, honor naród cały!
W przyszłości sądów gromy nie zdolne nas zwalić!
Jakakolwiek tu przyszłość... pamiętają silnie,
Że cześć ocalić winni narodu swojego!
Jeśli byli łotrowie, którym bluźnić pilnie,
To jednak ogół nosi tu cechy zacnego!

Świta wiosny poranek! — Henryk, Janusz, dziadek,
W przemyśle zatopieni, — dziś święto jest w Trocel!
Henryk jakby odebrał duży, znaczny spadek,
Bo Watt tu przybył z dala, a trudził się w noc.
Wierzył w zacność Henryka, wierzył w jego chęci,
Więc w planach dopomaga i radą i czynem.
Roman także przyjechał, — zorza świta! nęci!
Radzono długo, szczerze, krzepiono się winem.
Matka Watta Irlandka, poznał kraju bóle,

Z współczuciem wielkiem patrzył na walkę zaciętą,
Chwytał szczegół tu każdy, — badał, pytał czule —
I głośno myśl rozwinął, co w duszy poczęta:

»Przemyśl winien ratować, — znana Troki gleba,
Cegielnię buduj, hrabio, praktyczną, wspaniałą,
Rurki, cegłę, dachówki, wszystko robić trzeba,
Bo sprawę okolicy załatwiać ma całą.

Bierzcie także Oporów, niechaj pójdzie razem,
Parowych młynów wziętek podźwignąć tu musi,
Wspólnie idąc, nie będzie praca wasza głazem,
Podniesie gleby dochód i kłęski przydusi.«

»Widzę, pan jest tu czynnym« — mówił Daleskiemu —
»Pójdziemy ręka w rękę, weźniemy i Prysów.

Trzeba zwołać sąsiadów, zlecić trud Rolskiemu,
Do narad naszych wciągnąć i wszelkich przybyszów«. —
Plany chętnych znalazły: Rolski jeździ, działa,
Zwołują zjazdy liczne, stanęła gromada.

Jednym głosem mleczarnię dużą tworzyć chciała,
Więc słucha z namaszczeniem, gdzie hrabi jest rada.
Henryk jasno przedstawiał: — **»Mnogość chat przybyła**
Przez włości, które tworzą li z naszej poręki;
Można stawiać mleczarnię, masą będzie żyła,
A zwolna spłaty pójda, bez nagłej tu męki.

Dzisiaj ziemi ubyło, w zamian chęci silne
Rozwinąć w przemysł trzeba, a moc się tu spłodzi,
Moc, co glebę utrwali, — sprawy zatem pilne, —
Co siłę społeczeństwa w funduszach tu zrodził!
Trzeba ducha podźwignąć, ale w dobrobycie,
Utrwalić wieczność jego i równość nie zgietą,
Wówczas błysnie nam, bracia, przedświt, nowe życie,
Narodu dusza zacna nie będzie ujętą!
Pójdzie chatą i dołem, pójdzie dworem — górą

**I wnuknie w każde sfery, czy jawne, czy skryte,
Pójdzie rosą ożywczą, pójdzie dżdżową chmurą,
Posili łany, serca, co trudem zużyte!**

**Żadne groźby, katusze, żadne kajdan szczęki
Nie zrobią w duchu szczerby, — fundament zbyt
[mocny!**

**Zatem razem do pracy! jakby z jednej ręki!
Rozwińmy skrzydła ducha, jak orzeł północny!» —
Hrabia skończył i spojrzał... ojciec w myśli staje...
Więc zadrzał... pobladł nagle... i zachwiał się cały.
»Cześć mu!« — krzyknie gromada — »nowe drogi daje,
Wytyczną jasno stawia, o przyszłość tu dbały!« —
Proboszcz dodał z okrzykiem: — »Wiwat Henrykowi,
Choć pan to z panów naszych, lecz lud nasz rozumie,
Jako ojciec przymierze wszystkich stanów wznowi,
Ideje pojął wyższe i szczepić je umie!« —
Henryk nagle pokraśniał, wrzało w sercu,**

[w duszy,

**O, byłby mówił długo, lecz żalność go wzięła,
Rękę tylko wyciągnął, z miejsca żywo ruszy
I dłoń podaje braci, co myśli pojęła.
W progu spotkał się z dziadkiem, — zjazd był w Oporowie,
Zgromadził wszystkie sfery i małe i duże.
»Synu!« — rzecze Skaliński — »czas już spocząć głowie,
Bo widzę wiernych tylu... a pracą się nużę!« —
Objął głowę Henryka, złożył pocałunek,
Do Hani zaprowadził trzęsący z wzruszenia:
»Zacnych przodków tu Henryk żywy wizerunek,
Niesława z syna spada, ni plamy, ni cienia!« —
Hania blaskiem spłonęła, Henryk dłoń jej chwyta,
Do nóg się ściele miłej: — »O, moja ty biała!
Twoja czystość w mej duszy stałą w głębi ryta,**

Nie zmylę drogi nigdy, bo władasz nią cała!« —
Razem plany swe snuli, razem pracowali,
Bez jęków, skargi wszelkiej, nie patrząc nagrody! —
Świta wiosny poranek... **praca lud ocali!**
Nadzieja rośnie w sercach, bo ważne powody.
Watt ich zacny porzucił, ale czynem blizki,
Rozpoczął wszelkie prace, — że huczą już młoty;
Ruch i życie się wzmacnia, — widać mur wprzód nizki,
Lecz wzrasta groszem ludzkim i chęcią roboty.
Kilka mija miesięcy, — w gmachach ruch fabryczny:
Cegielnia, młyn już stoją, mleczarnia też działa;
Życie wzmacnia się ciągle, odbiór bywa liczny;
Gromada jaśniej patrzy, otuchą zadrżała.
Nawet Jędrrek już marzył, będzie maszynistą,
Fabryki poprowadzi, że wzorem tu będą!
Swoje chęci połączył z myślą bardzo czystą,
Oświecać lud tu może, bo razem osiedą.
W chatce z ludem się chował, z ludu życie bierze,
Doszedłszy zrozumienia rozpoznał i dusze;
Zacność wskazać chce braci, wytknąć wady szczerze;
»O, masy całe« — wołał — »do wiedzy poruszę!« —
Tadzio chłopca popierał, razem idąc z Kaziem,
Karjera inżynierów tu młodzież zachęca:
»Będziesz, Jędrku, technikiem, będziesz naszym paziem,«
Żartował Tadzio nieraz, — lecz pychę nie znęca.
Była miłość w młodzieży, dziwna, wielka miłość,
Jak gdyby z pnia przeszłości wyrosła tu zdrowa,
Radość, boleść im wspólna, jako blask zażyłość!
Złożywszy pychę rodów, — pracuje tu głowa.
»**Silni tylko jednością, zawsze, wszędzie silni!**« —
Skaliński mawiał ciągle, szlachetni głosili,
Szerzą zdrowe zasady wszyscy zacni, pilni,

I Henryk przyszłość pojął, — korzystał też z chwili:
»Niechaj chęci nie zwodzi era Caprivego *),«
Do braci mawiał nieraz — »musimy tu czuwać...
Żadne zmiany nie złudzą człeka uczciwego!
O, jad jest nieraz słodkim, a umie zatruwać!
Różnych środków próbował, myśli w żar wyprężał,
By łączyć wszystkie stany, zacierać różnice;
Bywał często na wiecach, zgody blask wytężał,
Na opór nieraz trafiał, lecz stawiał kotwice.
Silni zawsze jednością, silni zawsze, wszędzie!
Już hasłem w tłumach rosło, jak sztandar olbrzyma!
Przedświt zorzę swą pali... jaśniej w duszy będzie,
Choć złość pancernik sili i żagle rozdyma.
Henryk radość odczuwał, — może blizki mety?
Lecz znowu wieści przykre zatrwały mu duszę...
Nawet marzył o szczęściu... złączyć los kobiety
Z ciernistą drogą swoją... i znowu katusze!
Przyszła nagle depesza, przyszła z brzegów morza,
Wiktora śmierć wygłasza! tak straszną i smutną!
Pierś, co kula przeszyla, ranna widzi zorza...
Zakończył życie marne igraszką okrutną!
Przegrał wszystko w Monacco! padła suma znaczna,
Ostatnia pomoc ojca, choć niecne fundusze.
Ileż nieszczęść tu zrodzić może chęć niebaczną!
Skamieniał Henryk z bólu... o, tracił już duszę!
Znowu widna opinia, jako moc potężna,
Jak skała duża, zimna... i twarda w granicie!
Wieki w sobie zamyka, — woła z góry mężna:
»To zdrajca zginął, zdrajca! a podciął swe życie!« —

*) Następcą Bismarcka był Caprivi (r. 1890) — chciał łagodniejszych rządów.

Razem z straszną opinią szydzi wróg zawzięty,
Krzyknęła obca prasa: — »Dawajcie im grosze!
Pójdą ślepo się bawić, humor mają cięty,
Charakter lekkomyślny! — ja z zdrajców to wnoszę!« —
Ręce Henryk załamał, szlochał w głos, jak dziecię...
Że Hania w rozpacz wpadła, utulić nie mogła!
Znowu zorza się ścmiła... życia jego kwiecie,
Aż wreszcie iskra wiary pociechę tu wzmogła:
»Wierzę!« — wołał na klęczkach — »wierzę jednak,
[Boże!

**Ty Panem ponad pany! choć szczęście odkładasz...
Huczą burze, jak piekło, pada lud w bezdroże...
Lecz zorza błysnąć musi, bo prawdą Ty władasz!«**

Henryk cierpiał straszliwie... dziadek wpajał radość,
Że postęp wielki widzi, świadomość się budzi,
Lud zrozumiał zamiary, czyni sercu zadość,
Pilnuje obowiązków, korzyścią nie ludzi.
Jeśli który pobłądził, zaraz wrzawa wkoło,
Witowicz, Krysiak czuwał, śledzili tu braci:
»Słuchaj,« — mówił Witowicz — »myślisz kłaść czoło
Frymarką ziemi straszną, bo dobrze tu płaci?!
Wzięłeś glebę dla siebie, zostaw dzieciom twoim,
Nie wolno wydać obcym zagonu małego!
Jeśli dług cię przygniata, oddaj glebę swoim,
Nie doznasz wówczas w duszy wyrzutu żadnego!
Swój ma wiarę jednaką, swój ma język równy
I równe obyczaje — i przeszłość już wspólną!
Naród wiarę ratuje, dzisiaj cel nasz główny,
A działa w oświeceniu, bo sprawa ogólną!
Naród język ratuje, który gubi szkoła,

Ten język ojców twoich, ten język twych matek!
Ileż młódzież przecierpi! pot jej kipi z czoła!
Ulituj własnej nędzy, ulituj się dziątek!
**Naród honor ratuje, honor ojców, króli,
Przeszłości wielkiej, swojej, ratuje spuścizny!**
Alboż ducha chcesz stracić? Dodać bólu z bóli?!
Czy zdrajcą tutaj będziesz? Dolewasz trucizny!
Pan się trzymać ma ziemi, chłopiek również musi!
Nie wolno gleby oddać w zacięte tu ręce...
Jeśli złoto cię nęci, jeśli obcy kusi,
»Zawołaj:—»**Dźwigam naród, choć w strasznej tu męce!**
**Podłość z wzgardą odepchnij, — zadrga wola silna,
Poniesiesz krzyż ten wspólnie tu czasu wszelkiego!**
**Sprawa jedna i święta, wszystkim równo pilna,
O pokaż, czyliś członkiem — narodu żywego!» —**
Zwiedzał włości Witowicz, wchodził nawet w gumna,
Zaczeptał, pytał, radził, po drogach też staje,
Słowa jego wymowne, rada wskroś rozumna,
Szlachetny wyraz w twarzy — powagi nadaje.
Mowa jego wnikała w każdy chaty kątek,
Czepiała muru, szczelin, w powietrzu zawisa...
Dzieci, młódzież i starsi znają rady wątek,
Do mózgu, duszy, serca, gwałtownie się ciska.
W święta chadzał z gromadą, zwiedzał cmentarz stary,
Rozmawiał długo, żywo, o dawnych tu czasach,
Ludziom prawił o wojnach, śmierci widział mary,
O szlachcie, karabeli, o panach w kolasach.
Dzisiaj nędza, oj nędza, ^{nie}blasku ani śladu!
Co możliwe — jeszcze ginie chciwością przejęte!
Moc jest w złocie piekielna, razem tyleż jadu,
Że wszystko duszą słabsze ku prochom ugięte! —
Prawił ludziom bez miary, poszli udręczeni,

A starzec w zamyślenie popadał straszliwe,
Okiem wodząc po grobach, pytał — »Wyzwoleni?
O może jad już znali... a serca leniwe...!?» —
Naród każdy ma zdrajców, czytał nieraz, czytał,
O pocóż jednak ziemia ta jego ich płodzi?!
Żał mu serce zacisnął... w pierś powietrze chwycił...
On wołał bohaterów, bo męstwo ich rodził!
Mrok już padał na ziemię, — wkoło szaro, cicho,
Szeleści wiatr liśćmi i wilgoć dopieka —
Szmer do uszu dochodzi... alboż błądzi лихо?
Na duszę może czycha biednego człowieka?
Powstał zwolna Witowicz, nagle wzrok wyteżył,
To znana z ruchów postać do grobów się zbliża...
Patrzy, — oczom nie wierzy, — brew swą ściągnął,
[zweżył: —
Sprzedawczyk! hrabia August! do ziemi się zniża...
Szuka grobu Czesława, grobu Mateusza,
Ugina drżących kolan i z jękiem upada!
Długo modli i płacze, starca łzami wzrusza,
Z grzesznikiem w duszy cierpi i ręce zakłada.
Patrzy, czeka i słucha, — próżne myśli, chęci —
Nie powstał August z klęczek, rozpacza i szlocha...
Powłókł nogi Witowicz, — Oporowo nęci,
Podąży, Hani powie, Henryka wszak kocha?!
W drodze myślał: »To grzesznik! ale Bóg litosny,
Nawrócić jeszcze może... i winy tu zmazać...«
W duszy znowu się zbudził hrabi jęk żałosny...
On w dawnej swojej włości się lękał pokazać!
Lękał kmiotków i służby, lękał dzieci swoich,
Wszak każdy z okolicy go wytknie palcami...?
»Boże!« — szepnął Witowicz — »zlituj dni się moich!
W starości dusza słabnie... o, czuwaj nad nami!« —

Dworu doszedł już starzec, Hanię z cicha prosi,
Zadrżała, z wieści naglej, radziła też z dziadkiem:
Bryka wkrótce jej postać szybko w dal unosi,
Przed cmentarz wiedzie stary, z bojażni zadatkiem.
Wchodzi z zacnym proboszczem,—patrzy—klęczy hrabia,
Mogila żony jego, a drżący tu cały!

Szmerem budzi go zlekka, słowy z cicha zwabia, —
Nie może twarzy unieść, bo z wstydu skostniały!

Głos zabiera więc proboszcz: — **»Dźwignij, hrabio,**
[ducha!

Wszak Bóg jest miłosierny... pokuta jest silna!

Patrzą z Nieba anieli, naród żalu słucha,

Odrodzić możesz duszę, — gdy chętna i pilna!« —

Hrabia spojrzął, lecz jęknął: — **»Kłątwa idzie z zdradą**

I dniem i nocą idzie... aż tutaj przygnała...!« —

»Kłatwę, hrabio, odejmiesz, jeśli czynem, radą,

Pokażesz odtąd braci, że dusza czuwała,

Swoje błędy uznając, liczbę kar bez miary!

Pokuta trudną będzie... lecz w bólu ochłodzi,

Ona zbudzi drzemiącą iskrę twojej wiary,

Wybieli duszę żalem i czynem odrodzi!

Nową obierz tu drogę! Haniu, prowadź śmiało!«

Gołąbka, hrabio, wiedzie w stracone cię raje!« —

Hrabia chwycił jej ramię, które dźwignąć chciało,

Do ust gorąco cisnął, lecz z klęczek nie wstaje:

»Przebacz!« — wołał — »Hanusiu! przebacz w imię

[syna!

Co zrobisz — dobrem będzie i z jego tu woli!

Kłątwa wszędzie mię ściga... znany jad... przyczyna!

Spokojem odżyć waszym niech Bóg mi pozwoli!« —

Hania hrabię powiodła z płaczem rzewnym w głosie,

Pociechę lejąc w duszę... to ojciec Henryka!

Hrabia mówił o wszystkim: Padał cios po ciosie,
Zatracał grą swe zmysły... o, żądza tu bryka!
Bóg ukarał ślepotę, Bóg ukarał chciwość!
Ofiarą gleba! — dzieci! — i lud ten tak mnogi!
»Zbrodnie moje są straszne! budzą twoją tkliwość...
Do grobu jednak chwili tu los mój jest srogil!« —
Henryk z bólu upadał... ojciec złaman losem,
Tygodnie jęczał w łożu... krzepiła go Hania:
»Walnę duszy przetrzyma, pójdzie zacnych głosem,
Zabłyśnie zorza twoja, choć chmura przesłania!« —
»Walnę duszy przetrzyma, pójdzie śladem
[chrobrych,« —
Odpowie Henryk zcicha — **»lecz straty nie wróci!**
Naród w ciężkiej swej walce różni złych od dobrych,
Nie zmaże ojca winy! cierpienia nie skróci!« —

Świta wiosny poranek, jaka woń i blaski!
Czy zorza światło daje, czy złote kaplice?
Z wonią wiosny padają z Jasnej Góry *) łaski!
Z powagą młodzież wie dzie szlachetne dziewice:
Hania, Felcia w kontuszach, białych jako puchy,
A twarz przysłania woal z koronek misternych;
W strojach dawnych i Henryk, Janusz, — niby duchy,
Bo brzęczą karabelą swych przodków tak wiernych.
Pary stają tu w blasku, w blasku Nieba — duszy!
Po cierniach przeszły ostrych, dziś zorza już świta...
Gleby sprawa się wzmaga, lud swą ciemność kruszy,
Narodu pojał honor, więc przedświł go wita!
Orszak stanął wybrany z cechą męczenników,
Bo boleść wyżłobiła cierpienia na twarzy:

Jasną Górą nazywamy Częstochowę.

Huczą prądy zażarcie z siłą pancerników,
Rozdyma złość znów żagle, tryumfy już marzy...
Orszak stanął poważny, — wszyscy byli swoi,
A w twarzach wola silna, szlachetność bez miary!
Jedna myśl ich ożywia, rany wszelkie goi,
Że wspólnie zwalczą trudy — i zniosą ofiary!
Idzie zwolna i August, spojrzał w twarz Królowej...
Więc z jękiem krzyżem pada... i łzami się zlewa...:
»Wina moja! och wino! gleba w władzy nowej!
Umilkły pieśni Twoje...! Stworzyciel się gniewa!« —
Straszne hrabi oblicze, jadem obrażone,
Spojrzenie mgliste, senne, jak dusza — gdy kona!
Ciało żółte i suche, — jakby udręczone, —
Daleki jeszcze spokój od serca — od łona! —
Z grona wszystkich ostatni stanął starzec biały,
Na kuli nawet wsparty, lecz szczęście w spojrzeniu,
Łuna biła mu z twarzy, duch promieniał cały!
Skaliński ukląkł środkiem, zatopion w myśleniu,
Oko zwrócił do Matki, świętej naszej Matki,
I wołał z głębi piersi: — »Królowo, my Twoi!
Gleba nasza się chwieje, ciosy walą chatki...
O, ratuj! pomoc Twoja pocieszy — i zgoi!« —
Wyszedł przeor ze stulą, pary błogosławi,
Na wieczne wiąże czasy, na dolę — niedolę! —
»Veni, veni Creator« — głosy chór już dławi,
Śpiewają starsi, młodzież, śpiewało pacholę.
»Veni, veni Creator, panuj w sercu, w duszy!« —
Skaliński w myśli nucił — **»i porwij Twe tłumy!**
Niechaj miłość i praca wszelki jad tu skruszy,
Niech wzmocni ciało nasze, oświeci rozumy!

K O N I E C.



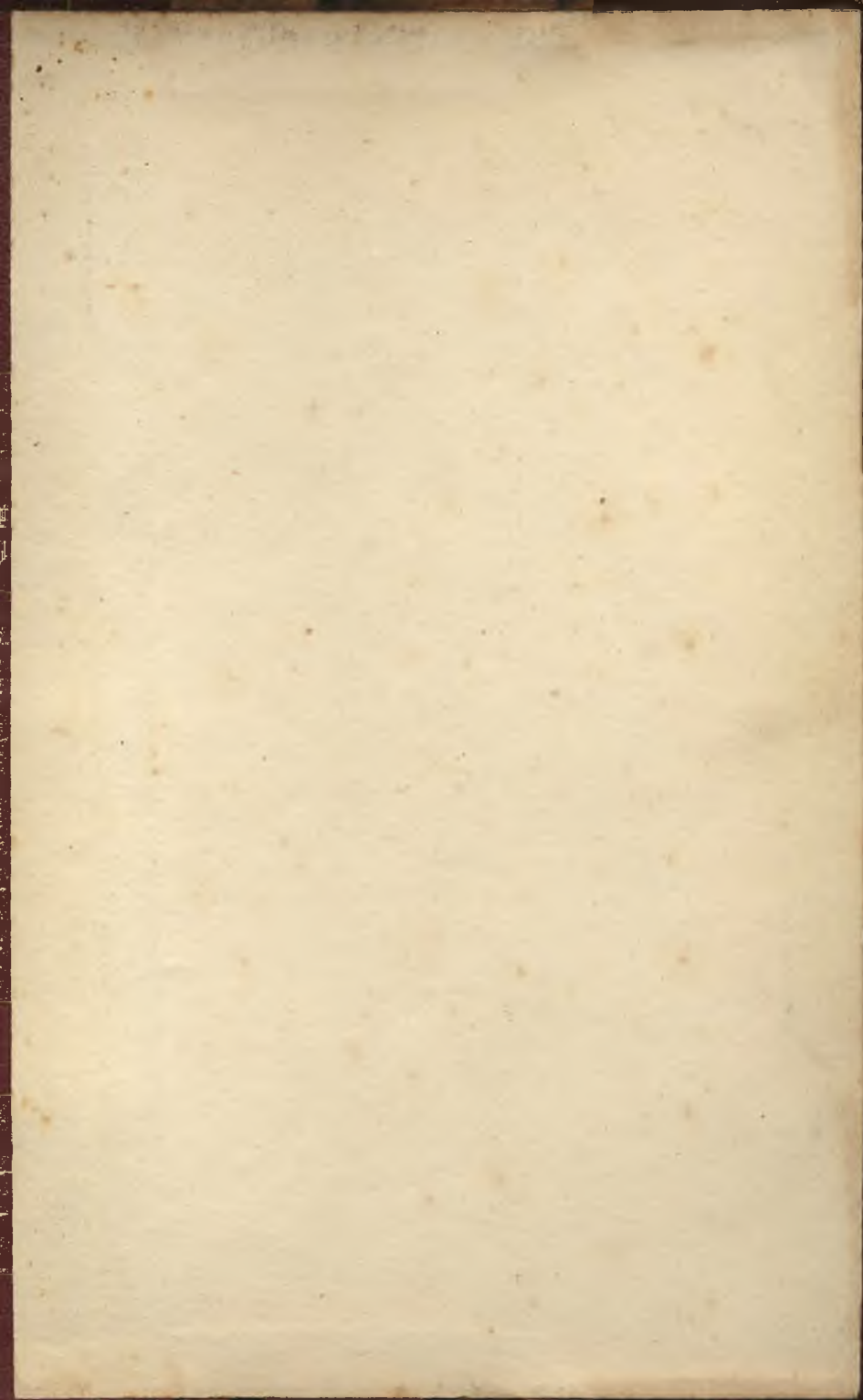






75

✓
466690/241070



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000397050



II 372812